MAGAZYN OPINII

Pismo.

CZERWIEC 2026 | NR 6 (102)

SPOŁECZEŃSTWO
Cisza nocna w monopolowych

ROZMOWA
Agata Turkot: grzeczna już byłam

LITERATURA
Książki, które dają dzieciom siłę

WĘGRY
Żegnaj Fidesz, witaj demokracjo

EKONOMIA
Wszyscy jesteśmy zadłużeni

MUZYKA
Czego słucha Beirut

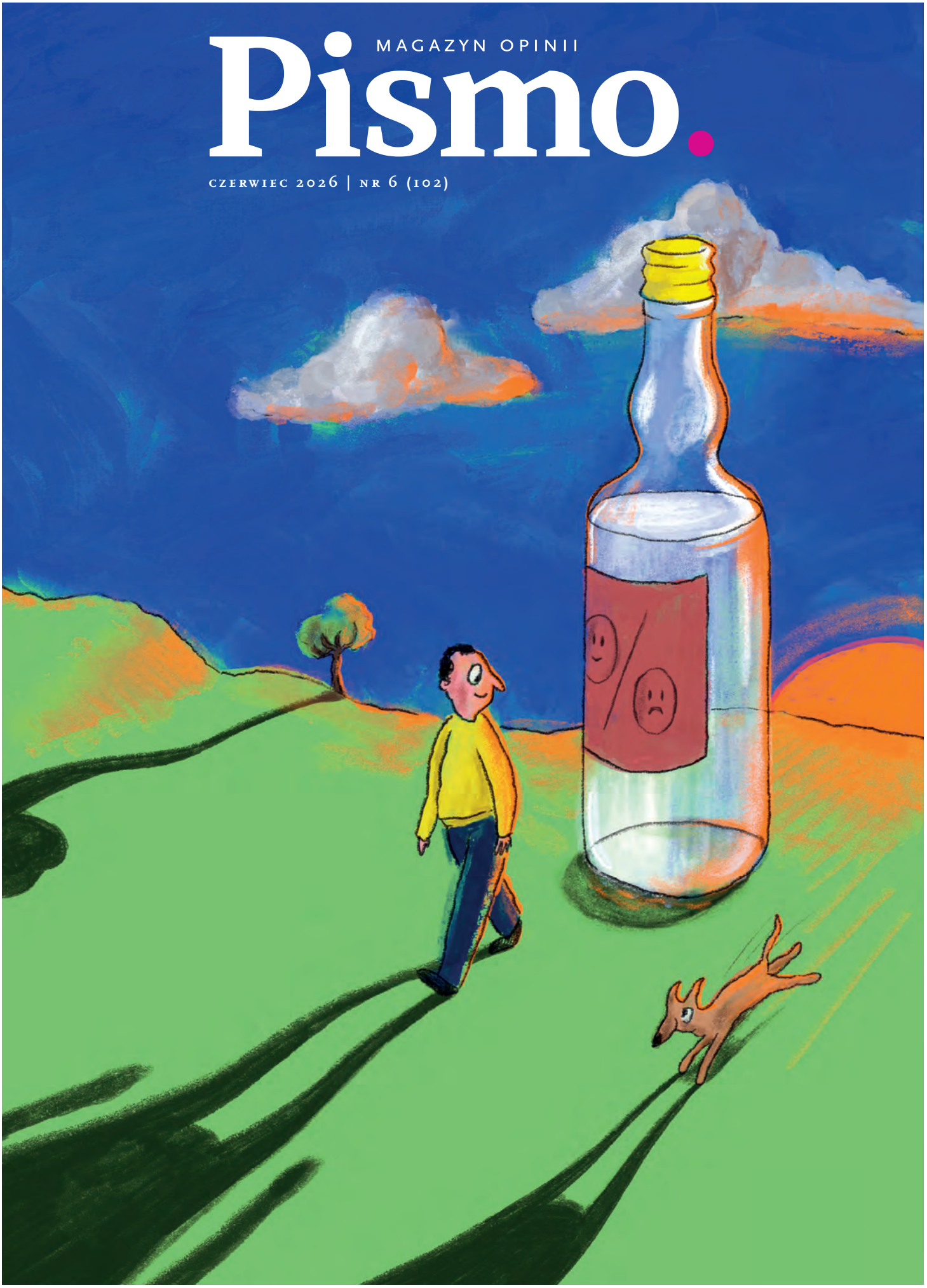


CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
06>
9 772544 502609

MAGAZYN OPINII

Pismo.

CZERWIEC 2026 | NR 6 (102)



Kulturalny planer

Pismo. MAGAZYN OPINII

MATEUSZ ROESLER
wybiera najciekawsze wydarzenia kulturalne,
na które warto wybrać się niebawem.

Czytaj co miesiąc w serwisie i aplikacji.
Więcej na magazynpismo.pl/rzecz-gustu



rysunek PAWEŁ SMARDZEWSKI

ART & SCIENCE

Przybliżamy świat kultury i nauki. Dzielimy się emocjami i wiedzą.
Mecenasem kultury w „Piśmie” jest **ORLEN Art&Science**.

MAGAZYN OPINII
Pismo.
CZERWIEC 2026

TEKST OKŁADKOWY

12 | **Polska nocą bezalkoholowa**
MARTA MAZUŚ sprawdza, jak działa tak zwana nocna prohibicja

PROZA

Lewe oko Luizy | 6
LENA SZUSTER

Ile zdołasz znieść | 90
MELINDA MOUSTAKIS

POEZJA

******* | 3
KAROLINA TALAGA

Zastanawiam się często czy tam, gdzie jesteś | 31
ANA BLANDIANA

******* | 40
MARIANNA KIJANOWSKA

APTECZKA

Co w niej trzyma… | 73
BEIRUT, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

Korzenie i gigant | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOREPORTAŻ

Węgry wyobrażone | 44
MICHAŁ ADAMSKI

KOMIKS

Ludzie ognia | 74
WIKTOR TALAGA, ALEKSANDRA MACHOŃ

ŻARTY OBRAZKOWE
DERWICH, LENGREN | MUZEUM KARYKATURY

OKŁADKA

Wschody i zachody
DOMINIK NAWROCKI

ROZMOWA

24 | **Aktorstwo bezkarne**
ANNA SAŃCZUK rozmawia z AGATĄ TURKOT

PODRÓŻ

32 | **Życie na wulkanie**
MIROSŁAW WLEKŁY opowiada o Chile, kraju wstrząsów i erupcji

ESEJ EKONOMIA

54 | **Gdzie jest sufit?**
KAMIL FEJFER tłumaczy, czym jest dług publiczny

PORTRET

64 | **Kevin Kelly, kaznodzieja technoentuzjazmu**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA odpytuje założyciela magazynu „Wired”

WOKÓŁ KSIĄŻEK

80 | **Dzikie stwory uczą emocji**
AGNIESZKA SOWIŃSKA o tym, jak książki mogą budować w dzieciach odporność

FELIETON

2 | **Sznurówki**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

88 | **Miecz dwubiegunowy**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o PRZEMYSŁAWIE PINIAKU // W RAMACH

94 | **O ADHD z TikToka i medykalizacji życia**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Najwyżej odlecę**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

Pismo. MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja „Pismo”
ul. Świeradowska 47,
02-662 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Zastępczyni redaktorki naczelnej:** Katarzyna Kazimierowska
Redaktorki prowadzące: Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Redaktor ds. fact-checkingu:** Marcin Czajkowski
Felietony: Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Dorota Śrutowska
Dyrekcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu:** Inez Jaworska
Marketing: Anna Galewska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

Sznurówki

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd.

Więcej na **magazynpismo.pl/mysli-znikad**

KAROLINA LEWESTAM, dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

Dzieci nie lubią wiązać sznurówek – a jeśli nawet lubią, to zwykle robią to kiepsko. Zawiązana przez nie sznurówka wytrzymuje krótko i szybko wypełza z pętelek, niepostrzeżenie przeistaczając się w kaskady śmiercionośnego sznurka, na który można nadepnąć drugim butem i rymsnąć na twarz. Ponieważ żyję zanurzona w kulturze terapeutycznej, za swój nadrzędny obowiązek uznałam uchronienie dziecka od traumy związanej z utratą twarzy, a ponieważ żyję w globalnym kapitalizmie, postanowiłam wesprzeć się w tym celu na jego najważniejszej instytucji, czyli sklepie internetowym z dziadostwem z Chin. Tylko bowiem w takim sklepie można nabyć gumkowe sznurówki, które wkłada się w buty na stałe, zabezpiecza specjalnym klipsem, a one trzymają tenże but na nodze zasadniczo bez aktywnego udziału jej właściciela.

Można co prawda przyjąć, że takie rozwiązanie jedynie odracza traumę. Gumkowy sznurówkowiec przecież pewnego dnia pójdzie w świat, w którym wszędzie – w pracy i w tramwajach – zaczają się nań wielkie, parciane sznurówizdy o przekroju cumy okrętowej, które będą go smagać na odlew po nerach i twarzy w losowo wybranych momentach – ale skądinąd wiadomo, że wszystko, zwłaszcza traumę, najlepiej zawsze przełożyć na później, więc kliknęłam na to, co zasugerowała mi wyszukiwarka, żeby zobaczyć oferty i podjąć decyzję. I sklep, do którego trafiłam, miał informacje spisane, jak przykazania mojżeszowe, w punktach, które zaczynały się tak: „1. Zaoszczędź czas: W codziennym życiu musisz tylko dokręcić sznurowadła za pomocą sznurowadeł. Tak długo, jak sznurowadło jest zainstalowane, zaoszczędzisz to czas na zawiązanie sznurowadeł. Bez niezauważonych luźnych sznurowadeł podczas chodzenia, joggingu lub pracy".

Te słowa dowodziły czarno na białym, że automatyczne tłumaczenie bywa wciąż zawodne, były bowiem jak ten kotlet z psa, o którym mówił w pamiętnym filmie Boguś Linda („przemielony razem z budą"). Ale, co dziwne, mimo odpięcia od znaczeń, sformułowania te nadal miały sznyt rzetelnego opisu produktu, jakieś uspakajające echo formy („2. Łatwe w instalacji: Po zainstalowaniu sznurowadeł wystarczy przejść sznurowadła przez elastyczny zamek, wyregulować odpowiednią długość, odciąć nadmiar części, a następnie zainstalować klips na ogonie") – jak zdekonstruowana gitara Picassa, która niesie nadal w sobie powidok pierwowzoru i wywołuje dokładnie te same emocje i tiki co on, pokazując, że nasze reakcje nie domagają się tak naprawdę jakichś tam rzeczy samych w sobie, ale mogą zostać wywołane przez trik wprawnego iluzjonisty, neurologicznego manipulatora. Zaraz potem, w punkcie trzecim, następowały szczegóły techniczne: „3. Łatwa do regulacji: Długość koronki wynosi 120 cm, opakowanie koronkowe zawiera 6 sznurowadeł, 6 sprzączek sprężynowych i 6 klipsów na ogon. Odpowiedni dla dzieci, dorosłych, dzieci, biegaczy i butów w każdym wieku".

I to, co najbardziej mnie przeraziło, to nie owa sieczka słowna, ale rozpad mojego rozumu praktycznego, czyli zdolności racjonalnego wyboru – bo oto czytałam te punkty, szukając informacji; informacji owych nie otrzymywałam, ale w jakiś dziwny sposób mi to nie przeszkadzało, bo liczył się fakt ślizgania po informacjopodobnym artefakcie słownym, liczyło się poddawanie się nawykowi sprawdzania, a nie rzeczywiste sprawdzanie; to było jak LARP deliberacji, jak pusty rytuał myślenia. Gdy dotarłam do „4. Silne przełączniki: Dzięki mocnym przełącznikom nie będzie nagłych sztuczek podczas uprawiania sportu lub długotrwałego użytkowania. Nie musisz się już martwić, jeśli sznurowadła się skończyły", poczułam, że naprawdę się nie martwię, że zdołano mnie uspokoić, że wszystko będzie dobrze. Niech mnie cuma pochlasta, jeśli czytając te bzdury, nie podrapałam się skutecznie tam, gdzie swędziała mnie atawistyczna potrzeba researchu.

Co prawda sznurówki, kiedy już dotarły z Chin, były w strzępach, ale co tam, przynajmniej przez chwilę czułam się, jakbym faktycznie coś kupiła. Kto by pomyślał, że zamiast myślenia wystarczy wrażenie myślenia, zamiast wiedzy wystarczy poczucie, że się ją zdobywa, zamiast sztuki wystarczy AI slop, zamiast rozmowy – talk show, a zamiast życia – potrzaskane symulakrum.

Cyklu *Myśli znikąd* sponsoruje **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku.

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/lewestam-karolina**

rysunek ANNA GŁĄBICKA

POEZJA

***

KAROLINA TALAGA

—

W końcu kobieta zalewa się łzami:
– Bo ty nigdy nie zrozumiesz,
jaki to jest wstyd i ból dla matki
mieć takie dziecko...
że ja nigdy nie zobaczę tej białej sukienki!
– Jeśli w tym kraju wreszcie coś się zmieni,
to zobaczysz nawet
dwie białe sukienki, mamo – odpowiadam.

KAROLINA TALAGA

absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Z zawodu dziennikarka, redaktorka i copywriterka. Obecnie pracuje nad debiutanckim tomem poetyckim *Art déco i inne style bliskości*.

Feta

XXVIII Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych FETA
XXVIII International Street and Open-Air Theatres Festival FETA

9-12.07.2026
Gdańsk



www.feta.pl

GDAŃSK

GAK. Gdański Archipelag Kultury

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

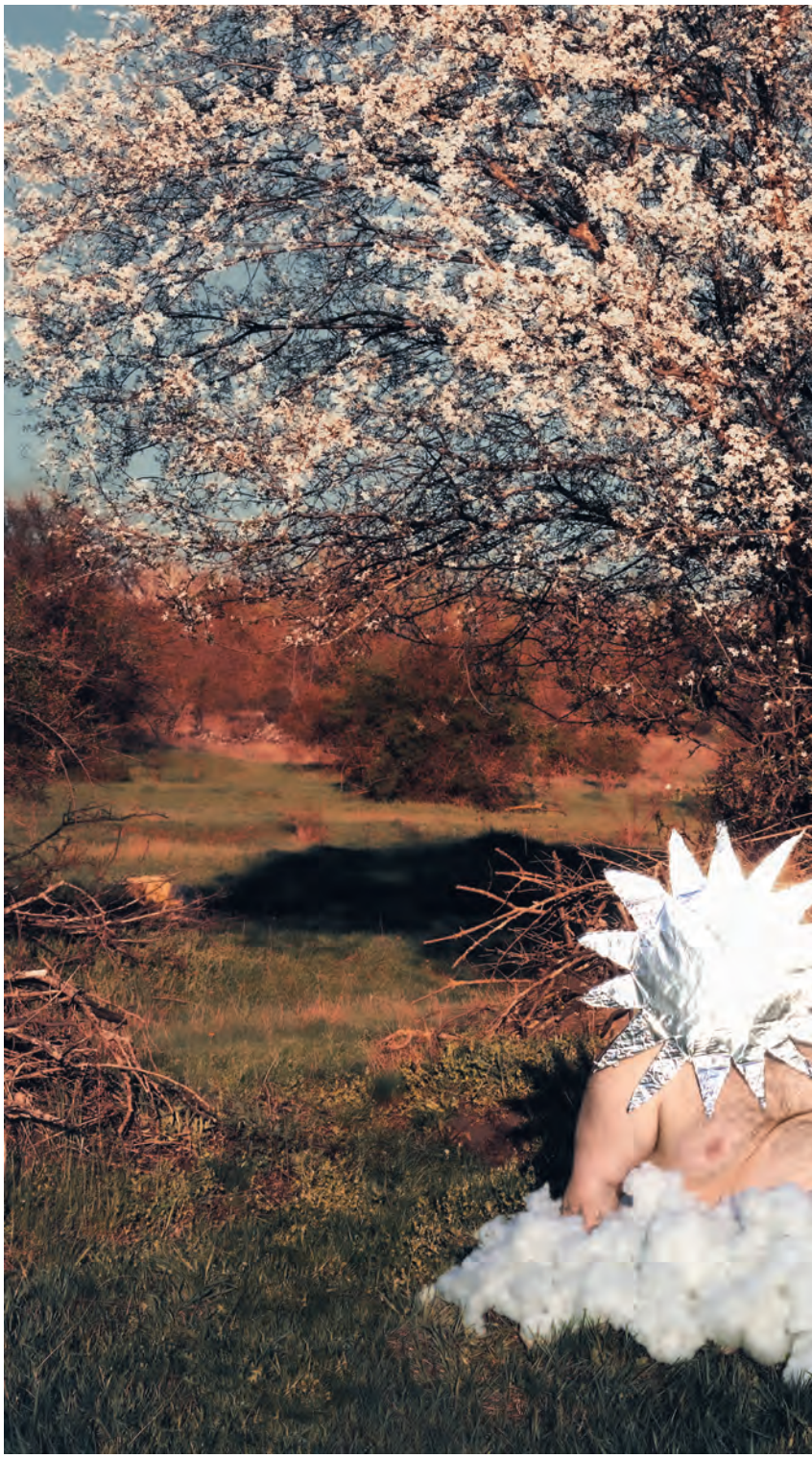
KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI

cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

Zdjęcia z serii *Gigant* oraz rozmowa z autorem na **magazynpismo.pl/korzenie-i-gigant**



—

JARYŁO (2024)

Według XVIII- i XIX-wiecznych etnografów Jaryło to personifikacja jednego ze słowiańskich świąt obchodzonych wiosną. Współcześni neopoganie upatrują w nim boga wiosennego słońca i odrodzenia

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

ARTEM HUMILEVSKYI, fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.



Cykl *W kadrze* sponsoruje **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

Lewe oko Luizy

tekst LENA SZUSTER

—

Poczekalnia pękała na skos. A przynajmniej tak to wyglądało, kiedy Luiza zasłaniała prawe oko i patrzyła tylko lewym. Nierówna, ciernista szrama zaczynała się na suficie, schodziła przez ścianę, pomiędzy złotymi obrazami a siedzącymi na sofach pacjentami, aż do marmurowej posadzki. Nie pasowała do wystroju wnętrza i błyszczących ludzi.

Mężczyzna stojący przy kontuarze recepcjonistek miał równy przedziałek, dopasowany garnitur i skórzane buty. Kobieta na sofie bawiła się perłowymi guzikami koszuli. Małżeństwo obok dyskutowało o wycieczce do Peru – zobaczyli Machu Picchu, Cuzco i Górę Tęczową. Za dwa miesiące planowali wypad do Kostaryki. Tymczasem Luiza zastanawiała się, czy po opłaceniu wizyty starczy jej pieniędzy na życie. Nosiła trampki, podarte dżinsy, bluzę, piegi i niedbały kok, wszystko ubrudzone ziemią. Dopiero teraz pomyślała, że powinna była się przebrać, ale spanikowała. Wsadziła sobie gałąź w oko, rozpękła świat i bała się, że tak już zostanie, tak już zostanie, tak już zostanie.

– Nie zostanie, prawda? – zapytała, kiedy w końcu weszła do gabinetu.

Wyprany na biało okulista posadził ją w fotelu, kazał patrzeć w sam środek rozgrzanego światła, do góry, w dół, na prawo i lewo.

– Erozja rogówki – zawyrokował. – Niestety dość głęboka i rozległa. Przepiszemy sterydy, antybiotyk oraz krople z witaminą B. Na tydzień założymy soczewkę opatrunkową, a po niej włączymy na noc maść z witaminą A i będziemy obserwować. Może ładnie się zagoi.

– A jeżeli nie?

– Jest ryzyko, że zostanie blizna, zgrubienie albo zmętnienie, które pogorszy jakość widzenia. Jednak na razie się tym nie przejmujemy. Bierzemy leki, żyjemy normalnie i za miesiąc widzimy się na wizycie kontrolnej.

Mówił płaskim, prawie przezroczystym głosem. Jego twarz też pękała – krzywa linia przecinała policzek, nos i żuchwę, naciekała czernią na biały kitel. Luiza odwróciła głowę, ale nie mogła uciec od szramy.

W drodze do domu widziała ją na wiosennym niebie, blokach z wielkiej płyty, zadymionych kamienicach i na ludziach, przede wszystkim na ludziach. Wyglądali, jakby zaraz mieli się rozpaść na tysiąc kawałków, osobno głowy, uszy, ręce, nogi, czasami użęte w kolanach, a czasami niżej, przy samych stopach. Nie mogła tego dłużej znieść.

Do mieszkania dotarła prawie po omacku, patrząc tylko w dół, na połamane chodniki. Chciała się położyć, nakryć głowę kocem, przespać najgorsze, wstać dopiero, kiedy wszystko wróci do normy. Zamiast tego poszła do łazienki i spojrzała w lustro. Szrama tam była – mała, wysuszona gałązka żywotnika zatopiona w ciałku szklistym jak w bursztynie.

Luiza zdjęła z suszarki chustę – o ironio, we wzór z liści. Złożyła ją i przewiązała lewe oko. Od razu lepiej, pomyślała. Zebrała resztę prania, pochowała bieliznę do szuflad, zmyła naczynia, wreszcie bez przekonania wyszła na balkon. Jeden wyschnięty żywotnik stał na środku, drugi leżał w poprzek mozaikowych kafelków, częściowo wyciągnięty z doniczki. Oba dogorywały już od dłuższego czasu, jednak dopiero dzisiaj Luiza postanowiła się ich pozbyć. No i proszę, dostała za swoje. Nigdy nie miała ręki do roślin, umierały jej nawet zamiokulkasy, chociaż koleżanki zgodnie twierdziły, że nie da się ich zabić. Luiza dowiodła, że wszystko jest możliwe.

Ostrożnie wsadziła żywotnik z powrotem do doniczki i przesunęła pod ścianę. Nie miała czasu na nic więcej. Niebo już zakwitało aksamitkami, porastało chłodem i nocą. Zanim przygotowała obiad, zrobiło się całkiem ciemno. Zjadła bez apetytu, zaparzyła dzbanek gorzkiej herbaty, odpaliła laptopa, wreszcie założyła słuchawki. Zazwyczaj lubiła nocne zmiany – głosy z daleka, dziwne akcenty, proste problemy do rozwiązania, resetowanie serwerów albo haseł. Tym razem nie potrafiła się skupić.



rysunki GOSIA KULIK

LENA SZUSTER, prozaiczka, kulturoznawczyni, twórczyni literackich kolaży. Opowiadania publikuje w „Piśmie”. W wolnych chwilach podgląda ptaki i robaki. Instagram: @ukielka

Bladym przedświtem wzięła leki, zaciągnęła zasłony i położyła się z nadzieją, że po kilku godzinach snu będzie lepiej, będzie lepiej, będzie lepiej.

Ale nie było.

Gałązka w oku rozrosła się w nierówny, czarny kształt, odcisk czegoś wielkiego i dzikiego. Luiza na chwilę przestała oddychać, straciła podłogę, ściany, sufit, wszystkie punkty zaczepienia. Potem jej serce przyspieszyło, słyszała szaleńcze dudnienie w uszach, zębach, wewnątrz kości. Drżącymi palcami wybrała numer Dawida.

Przyjechał pół godziny później, wysoki, piegowaty, zawsze rozczochrany. Byli do siebie tak podobni, że czasami brano ich za bliźnięta, chociaż Dawid był o rok starszy. Pozbierał ją z kafelków w łazience, złożył w rozklekotaną całość, zaciągnął do salonokuchni, pod największą lampę.

– Daj zobaczyć – zarządził. – Nic tu nie ma, w sensie nic czarnego, poza źrenicą oczywiście, źrenica jest czarna, reszta normalna. Serio, Lu. Ale jeżeli chcesz, zawiozę cię do przychodni.

Chciała, oczywiście, że chciała. Zamiast szramy widziała teraz plamę o nierównych brzegach, łuszczących się jak farba. W środku tej plamy świat był niby taki sam, a jednak odrobinę inny, ciemniejszy, bardziej przerażający. Na policzku Dawida wykwitała pleśń. Meble nadgniły. Od ścian odpadał tynk. Luiza bała się patrzeć.

Przewiązała oko chustką, ukryła twarz w kapturze i dała Dawidowi poprowadzić się do samochodu, przychodni, gabinetu. Przyjął ich ten sam okulista co poprzednio, wyprany, wyprasowany, przesadnie przywiązany do liczby mnogiej.

– Na razie nie mamy powodów do zmartwień – powiedział. – Musimy brać leki i być cierpliwi. Erozja rogówki może nam zaburzać widzenie, ostrość, kolory. Nie powinniśmy zakładać, że to stała zmiana. Mamy jeszcze szansę na pełne wyleczenie.

Z każdym kolejnym dniem ta szansa wydawała się mniejsza. Na początku Luiza próbowała żyć normalnie, wychodziła na spacery i zakupy, ale przestała, kiedy w plamie lewego oka zobaczyła ladę z mięsem w supermarkecie. Wszędzie była krew. Sączyła się z wielkich płatów skóry, kości, nóg, pustych oczodołów. Ściekała na posadzkę, gdzie tworzyła na wpół zakrzepłe kałuże. Ludzie roznosili ją na butach po całym sklepie. Prosili ekspedientkę o dwadzieścia plasterków drobiowej szynki albo dziesięć wieprzowych parówek i dostawali ociekający krwią pakunek. Potem czerwonymi palcami dotykali twarzy, ubrań, bułek, płatków śniadaniowych, jasnych główek dzieci, ich policzków.

Tamtego dnia Luiza ledwo powstrzymała torsje na tyle długo, żeby dobiec do domu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zamknęła na siedem spustów, trzy zamki i jeden łańcuch. Nie pomogło, nie pomogło, nie pomogło, wciąż miała ręce we krwi.

Przestała jeść mięso, zaczęła robić zakupy online, na zewnątrz wychodziła tylko po zmroku. Stawała wtedy na malutkim balkonie i patrzyła w noc. Miała wrażenie, że coś kotłuje się w ciemności, pęka, przebija skórę nieba. Nie chciała tego widzieć, ale już nie potrafiła odwrócić wzroku.

Co rano zaglądała w łazienkowe lustro i widziała, jak czerń pożera jej lewe oko. Po trzech tygodniach został zaledwie nierówny półksiężyc zielonej tęczówki, mniejszy niż skrawek paznokcia. Luiza schowała go pod chustą, umyła zęby, zrobiła kanapki i usiadła do komputera. Tego dnia miała wcześniejszą zmianę, dużo głosów w słuchawce, problemy nie do rozwiązania. Pod koniec była wyczerpana. Zdjęła chustę, zwinęła się w kłębek na kanapie, zasnęła od razu, z twarzą zwróconą w stronę ostatnich promieni słońca.

Zbudził ją dzwonek do drzwi. Z trudem zwlekła się z poduszek i otworzyła. W półmroku korytarza stał przygarbiony Dawid – miał przegniłą twarz, ubrania porośnięte mchem, w jednej ręce podróżną torbę, w drugiej sześciopak piwa. Luiza wiedziała, co to znaczy.

– Klaudia znowu cię wyrzuciła?

– Ostatni raz – sarknął. – Nie wrócę, nawet jeżeli będzie prosiła. Poszukam sobie jakiegoś mieszkania na wynajem i tyle, koniec, ile można.

Zawsze tak mówił, więc Luiza nie uwierzyła i tym razem. Po prostu szerzej otworzyła drzwi. Dawid zostawił torbę na kanapie, zajął ulubione miejsce przy stole, otworzył puszkę piwa, wypił prawie pół naraz.

– Nie zgadniesz, o co poszło – stwierdził. – A może i zgadniesz, przecież ostrzegałaś, żebym nie jeździł jej samochodem. Ale, do cholery, sama zaoferowała! Prawie mnie zmusiła! Nie ma sensu wydawać kasy na nowe auto, mówiła, skoro w garażu stoi nieużywane. Po prostu je weź. I tak nie lubię prowadzić, wolę tramwaje. Serio, tak mówiła, wolę tramwaje!



Prace Zbigniewa Lengrena i innych rysowników można zobaczyć na wystawie *The Best of Muzeum Karykatury* w Warszawie.

rysunek ZBIGNIEW LENGREN

– Pamiętam – odparła Luiza.

Wyciągnęła chleb, pastę z fasoli, pomidory i nóż. Dawid tymczasem perorował dalej:

– No więc zrobiłem temu gównianemu fordowi przegląd, wybuliłem kasę na nowe opony, wymieniłem nawet akumulator i wtedy się zaczęło: odbierz mnie z pracy, podrzuć na trening, zawieź na koncert, pomóż w przeprowadzce koleżanki, milion innych wymysłów. W końcu powiedziałem, że sorry, nie mam czasu. Na co ona, że przecież to jej samochód, więc muszę znaleźć czas. Na co ja, że może sama nim jeździć. Na co ona, że jestem wredny. Na co ja, że ten samochód nadaje się na złom. Na co ona, że…

Luiza przestała słuchać. Skończyła robić kanapki, wytarła deskę do krojenia i odkręciła kran. Zamiast wody posypał się z niego roziskrzony strumień piasku. Ziarenka szybko zatkały odpływ. Najpierw przerażona, potem zafascynowana patrzyła, jak w zlewie rośnie pustynia, tysiące małych wydm, doliny srebra, góry złota. Zanurzyła w nich dłonie i syknęła. Piasek był potwornie, okropnie, strasznie gorący. Mimo to nie potrafiła się cofnąć.

– Jezu, Lu, co ty robisz?! – Dawid doskoczył do niej i zakręcił kran. – Dlaczego trzymasz ręce we wrzątku? Przecież wiesz, że twój piec za mocno podgrzewa wodę!

– Ale to nie woda.

– A co, do cholery?

Luiza najpierw popatrzyła na zlew pełen piasku, potem na Dawida. Jego policzki przypominały kawałki śliskiego, zepsutego mięsa. Opadła na krzesło i schowała twarz w dłoniach. W końcu zrozumiała, była pewna, wariowała, wariowała, wariowała.

Dawid usiadł obok i dotknął jej ramienia, tak ostrożnie, jakby mogła się potłuc.

– Lu, co widziałaś? – zapytał.

– Nieważne. Nic z tego nie było prawdziwe.

– Skąd wiesz? Może było? Może właśnie jest?

Wyjrzała zza palców.

– Twoja twarz gnije – poinformowała.

– Bardzo?

– Koszmarnie. Tutaj… – Wskazała prawą skroń. – Widać kawałek czaszki.

– Wszystko się zgadza – odparł. – To jest najprawdziwsza prawda. Gniję od środka.

Zaśmiał się szaleńczo. Był pijany, dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo. Pachniał piwem, drożdżami, potem i dziwną ekscytacją.

– Musisz się położyć – stwierdziła.

Teraz to on nie słuchał. Poderwał się od stołu, pełen gorączkowej energii, zamknięty w zbyt małej przestrzeni, krążył od ściany do ściany. Niesamowite, powtarzał, gnijąca twarz, zepsute mięso, kości na wierzchu, najprawdziwsza prawda, to nie do zniesienia, ile można, niech to się skończy, już nie mam siły, kto by miał, życie jest serio bez sensu. Wreszcie opadł na kanapę i zasnął.

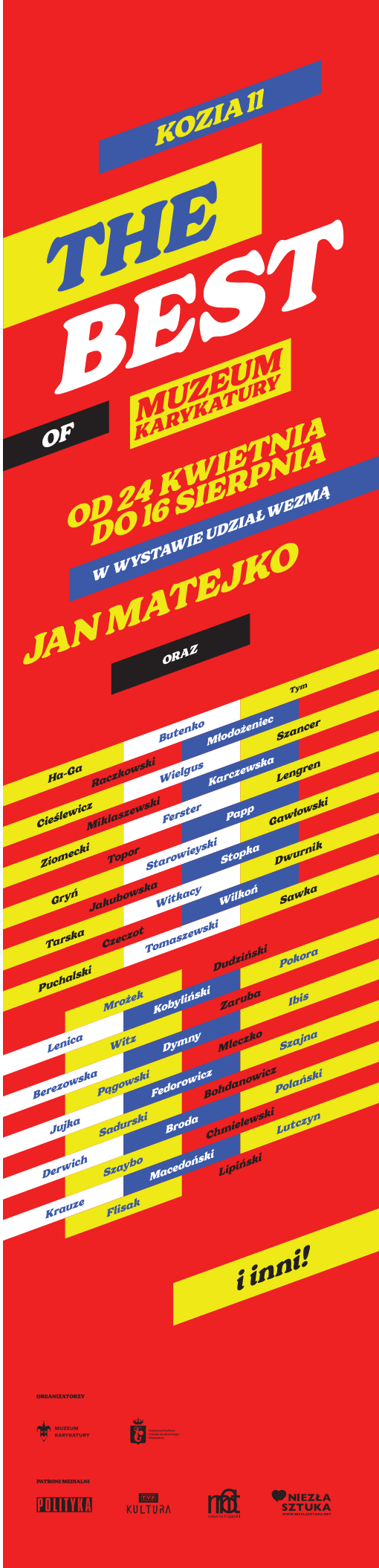
Przez kolejne cztery dni wstawał tylko do pracy. Wracał zmęczony, otwierał puszkę piwa, odpalał służbowego laptopa i oglądał: piłkę nożną, wiadomości, stare filmy akcji, znowu piłkę nożną, znowu wiadomości, debaty, wywiady, dużo kłótni. Luiza czasami przysiadała obok, żeby popatrzeć na zepsute twarze polityków, spleśniałe usta, nad nimi grzyby w oczodołach. Przerażające i fascynujące jednocześnie.

Piątego dnia zadzwoniła Klaudia. Dawid wrócił do niej czy tam do siebie, w zależności od kontekstu. Luiza za to pojechała na kontrolę. Tego poranka jej lewe oko było już całe czarne, wiedziała więc, co usłyszy, jeszcze zanim przekroczyła próg gabinetu.

– Niestety zrobiła się nam nieładna blizna – stwierdził okulista. – Możemy spróbować ją zmiękczać sterydami i w ten sposób trochę poprawić komfort widzenia. Jednak zniekształcenia zostaną na zawsze, chyba że zdecydujemy się na operację laserową. To dla nas najlepsza opcja, naprawdę powinniśmy ją rozważyć.

Luiza niczego nie musiała rozważać. Pracowała na umowę zlecenie. Ponad połowę wypłaty zjadał wynajem mieszkania, za resztę musiała przetrwać do końca miesiąca. Zakupy robiła z kalkulatorem. Wybierała najtańsze produkty, szukała promocji, zbierała punkty i zniżki. Nie miała ani oszczędności, ani zdolności kredytowej. Najzwyczajniej w świecie nie było jej stać na operację. Wstydziła się jednak do tego przyznać, więc przez dobre dwadzieścia minut wypytywała okulistę o szczegóły. Dostała tysiąc ulotek i milion formularzy do wypełnienia.

Po powrocie do domu wyrzuciła je do śmieci. Wyszła na balkon, w wiosnę, ruch,



gwałtowny świergot. Zamknięta w mieszkaniu nie zauważyła, jak przez ostatni miesiąc świat budził się do życia. Widziana lewym okiem zieleń była intensywna, chmury ostre, bloki zmurszałe, nadgryzione przez czas. Daleko na horyzoncie z nieba spadały bomby. Luiza widziała rozkwitające pąki szarości, deszcz pyłu i odłamków, chociaż nie słyszała wybuchów, nie czuła drżenia pod stopami. Wszystko to działo się naprawdę, tylko jeszcze nie tutaj.

Miała trochę czasu i postanowiła go dobrze wykorzystać. Przeniosła na balkon taborety z kuchni, na jednym postawiła dzbanek z gorzką herbatą, na drugim chciała usiąść, ale przeszkadzały jej żywotniki, wyschnięte szkielety, od których wszystko się zaczęło. Nie pamiętała już, czemu tamtego feralnego poranka postanowiła je wyrzucić, wcale nie wyglądały tak źle, trochę pozbawionych życia patyków, to wszystko.

A jednak nie. Zasłoniła prawe oko i spojrzała lewym. Większość gałęzi rzeczywiście była uschnięta, ale kilka przy samej ziemi miało w środku zielone, słabo pulsujące niteczki. Blakły z każdą chwilą.

Luiza wzięła klucze i pobiegła do składziku w piwnicy. Właściciel mieszkania trzymał w nim wszystko, co potencjalnie mogło się przydać, ale zazwyczaj nigsy się nie przydawało. Aż do dzisiaj. Pomiędzy pudełkiem gwoździ a zaskorupiałą puszką farby znalazła śmieszne małe łopatki, konewkę, sekator, a w kącie worek ziemi.

Zasapała się, wnosząc go na górę. Przy drugim podejściu zgarnęła narzędzia ogrodnicze i plik starych gazet. Rozłożywszy je na balkonie, zabrała się za ratowanie żywotników. Najpierw podcięła uschnięte gałęzie, potem usunęła część korzeni, zostawiając tylko te, przez które przebiegały zielone, migoczące żyłki. Kiedy przykładała do nich opuszki palców, czuła bicie serca, równe tętno. Może zresztą to było jej serce, jej tętno, skąd mogła wiedzieć, nie znała się na roślinach. Wsadziła ocalałe żywotniki do doniczek ze świeżą ziemią i obficie podlała wodą.

W kolejnych tygodniach przynosiła do domu coraz więcej zabiedzonych kwiatów, które znajdywała na klatkach schodowych, przy śmietnikach i na zapleczach supermarketów. Były pożółkłe, złamane, nikomu niepotrzebne. Luiza dostrzegała jednak pulsujące w nich życie. Ujmowała je delikatnie w dłonie, przytulała i sadziła w nowych doniczkach. Wzięła nawet trochę nadgodzin, żeby zarobić na ziemię, pałeczki nawozowe, biohumus, spray pokrzywowy, ekstrakt z bananów, innymi słowy wszystko, co mogło się przydać.

Cały czas wolny spędzała na balkonie – podcinała, przesadzała, podlewała, a kiedy nie miała już nic do roboty, siadała na taborecie i patrzyła na spadające bomby. Właśnie tak pewnego popołudnia zastał ją Dawid. Na tle kordierytowego nieba wydawał się zbyt ostry, dziwnie płaski. Oczy miał zmętniałe, usta pokryte liszajami, prawą stronę twarzy przegniłą aż do kości żuchwowej. Przypominał szeroko uśmiechniętego trupa.



– Dostałem podwyżkę – oświadczył, podrywając Luizę do szalonego tańca między doniczkami. – Tylko kilka stówek miesięcznie, ale wystarczy, żeby wziąć kredyt na twoją operację. Przestaniesz w końcu widzieć te przerażające, dziwaczne rzeczy!

– Ostatnio mówiłeś, że widzę najprawdziwszą prawdę.

– Byłem pijany, Lu, totalnie zalany. Nie powinnaś słuchać pijanych ludzi. – Zatrzymał się i zasłonił jej lewe oko. – Popatrz teraz. Serio, przyjrzyj się uważnie.

Zniknęły bomby, popioły i zgnilizna. Niebo oglądane prawym okiem było gładkie, bloki pastelowe, twarz Dawida czysta. Jednak Luiza wiedziała już, co kryje się pod skórą i uśmiechem. Choćby chciała, nie mogła zapomnieć, nie mogła zapomnieć, nie mogła zapomnieć.

Próbowała mu to wytłumaczyć, ale wpadł w złość. Świrujesz, stwierdził, świat wcale nie jest zepsuty, wciąż mamy czas, wszystko będzie dobrze, po prostu mi uwierz, weź głęboki wdech, przestań się upierać, to nienormalne, niewłaściwie, niepoprawne, tyle różnych nie, każde skierowane w jej stronę. A potem do kompletu: powinnaś, musisz, należy, trzeba, tryb rozkazujący i wykrzykniki.

Zrozumiała, że nigdy go nie przekona, przestała się więc odzywać. Dawid uznał milczenie za zgodę. Wypuścił nosem irytację, odetchnął i od razu zadzwonił do kliniki, żeby potwierdzić termin operacji. Pozwoliła mu na to. Uśmiechnęła się nawet, kiedy odgarnął jej włosy z czoła, pocałował w skroń, przytulił mocno, jakby zamierzał połamać. Miesiąc wcześniej może dałaby się zmiażdżyć i ulepić na nowo. Teraz tylko czekała.

W końcu Dawid zostawił ją samą. Niebo było jeszcze jasne, ale już podbiegłe krwią nocy, sine od wybuchów. Daleko na horyzoncie spadła kolejna bomba, powietrze wezbrało szarym pyłem, a jeden z pobliskich budynków runął w tępej ciszy. Luiza prawie czuła, jak fundamenty miasta marszczą się i drżą głęboko pod jej stopami. Nadciągał koniec.

Mimo to jak zwykle o tej porze zabrała się za podlewanie kwiatów. W myślach powtarzała ich nazwy niczym zaklęcia: skrzydłokwiaty, bluszcze, paprocie, pelargonie, niecierpki, lawenda, werbena, wreszcie żywotniki, które kilka dni wcześniej wypuściły szpilkowate, olśniewająco zielone liście. Układały się nakrzyżlegle, w gałęzie, pęknięcia i nowe światy. Przetrwały najgorsze. Ona też mogła.

Sięgnęła po sekator, chwilę ważyła go w dłoni, a potem wbiła ostrze w prawe oko.

Lewym widziała wszystko, wszystko, wszystko.

Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/proza**

MALTA FESTIVAL

21-28.06 / POZNAŃ

MALTA-FESTIVAL.PL

MUZYKA



25.06
BENJAMIN CLEMENTINE
DEVENDRA BANHART
MARO



26.06
THE BLAZE DJ-SET
THE BLESSED MADONNA
HAAi



27.06
BEIRUT
CHARLIE CUNNINGHAM
EFTERKLANG



28.06
TWO DOOR CINEMA CLUB
KACPERCZYK
KING NO-ONE

TEATR



22 / 23.06
COCOROSIE & JUSTYNA WASILEWSKA
LA MORT DE LA MER



24 / 25.06
TIAGO RODRIGUES
DYSTANS



26-27.06
MAGDALENA CIELECKA w THE SECOND WOMAN
SPEKTAKL 24-GODZINNY

PARTNERZY GŁÓWNI:

Polenergia · Wikinger Vikinka · ORLEN

PARTNERZY:

Totalizator Sportowy · Właściciel marki Lotto · GRUPA LUXMED Jesteśmy częścią Bupa · mtp GRUPA · Teatr Polski w Poznaniu 1875 · visit POZnań Poznańska Lokalna Organizacja Turystyczna

PARTNERZY ORGANIZACYJNI:

Skarb Życia Muszyna · VOX · Lexus Poznań-Ławica · Mikołajczak Poznań-Ławica · WINGS · Sweet Factory Store · HOWDEN · GOTGLASS · COCONAUT · SADY

ORGANIZATORZY:

dFlights · Kulczyk Foundation

INSTYTUCJE WSPÓŁFINANSUJĄCE:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Wielkopolska · Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego

POZnań

Dofinansowano ze środków budżetowych Miasta Poznania

STUDIUM

Polska nocą bezalkoholowa

tekst MARTA MAZUŚ

KOLEJNE MIASTA I GMINY W POLSCE coraz chętniej wprowadzają nocne ograniczenia w sprzedaży alkoholu. Czy w przesiąkniętej nim polskiej rzeczywistości te zakazy rzeczywiście mogą być skuteczne?



rysunki RAFA JANKO



MARTA MAZUŚ, reporterka, do niedawna związana z tygodnikiem „Polityka". Autorka książek: *Król kebabów i inne zderzenia polsko-obce*, *Historie dziwnych samotności*, *Amputacja serca*. Współautorka książek: *Wyspa Montrésor* oraz *Zona. Historie ze strefy zamkniętej*. Z urodzenia warszawianka, z wykształcenia socjolożka.

Jest 22:30, środek tygodnia, ulica Chmielna w centrum Warszawy. W kolejce do kasy jednego ze sklepów znanej ogólnopolskiej sieci staje mężczyzna, z wyglądu zmęczony nie tylko dniem, ale i całym życiem. W koszyku ma niewiele, kilka półlitrowych puszek, zaraz zostanie obsłużony. Ale piwa nie kupi. „Blokada w kasie. Nie mogę sprzedać" – tłumaczy kasjerka. „Ale dlaczego?" „Jest zakaz sprzedaży alkoholu po 22:00". Niedoszły klient najwyraźniej o żadnym zakazie nic nie wiedział, choć w warszawskim Śródmieściu obowiązuje od listopada zeszłego roku. „To już się człowiek nawet piwa po ciężkiej pracy nie może napić?" – rozpacza donośnie. Kasjerka nie przegania go, wręcz pociesza, tłumaczy, że bardzo chciałaby mu to piwo sprzedać, ale naprawdę nie może. I tak siebie nawzajem żałują.

W Ciechanowie jest bardziej spektakularnie. Po trzech miesiącach od wprowadzenia tam nocnej ciszy alkoholowej pan Karol, właściciel lokalnego sklepu wielobranżowego, w wywiadzie dla regionalnej telewizji opowiada: „Przychodzą, wręcz błagają nas po 22:00, żebyśmy cokolwiek im sprzedali. Skrajne sytuacje są takie, że ludzie przed nami aż klękają, żeby im sprzedać, bo – za przeproszeniem – są niedopici".

Jesteśmy świadkami zmiany. To, co jeszcze do niedawna wielu mieszkańcom naszego kraju wydawało się normalnością, a więc niemal nieograniczony dostęp do alkoholu o każdej porze dnia i nocy, powoli staje się nieaktualne. Niektórzy mówią o tym z przejęciem: mamy w Polsce nocną prohibicję. – Ale to nie jest żadna prohibicja – precyzuje doktor Jacek Moskalewicz, socjolog i badacz zdrowia publicznego z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, który specjalizuje się w epidemiologii uzależnień oraz polityce alkoholowej. – To, co mamy teraz w Polsce, to jest regulacja, a nie prohibicja [ta polega na całkowitym zakazie produkcji, dystrybucji i spożywania alkoholu – przyp. M.M.]. A sprzedaż alkoholu wymaga regulacji – dodaje Moskalewicz.

Możliwość takowej pojawiła się osiem lat temu. W 2018 roku znowelizowano ustawę o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi, która dała samorządom prawo wprowadzenia ograniczeń w nocnej sprzedaży alkoholu. Od początku chodziło przede wszystkim o sklepy, zwłaszcza te w centrach dużych miast, które razem z późnonocną, a nierzadko całodobową ofertą małpek, czteropaków w promocji czy ratunkowych flaszek na imprezę stanowią dla swojej najbliższej okolicy przedsionek piekła.

Jak takie piekło wygląda? Chętnie opowie Piotr Bełczowski, który wychował się i mieszka w niewielkim bloku w pobliżu wspomnianego sklepu przy ulicy Chmielnej. Zanim jego dzielnicę objęto nocnym zakazem sprzedaży alkoholu – na co razem z sąsiadami zrzeszonymi w koalicji „Prosimy ciszej" czekał z utęsknieniem – ze swojego balkonu wychodzącego prosto na deptak regularnie słyszał wrzaski przetaczającej się ulicą pijanej młodzieży, ryk muzyki z przenośnych głośników, bójki imprezowiczów, którzy robili sobie przystanek na ławkach dokładnie naprzeciwko jego mieszkania, a także czuł zapach moczu oddawanego pod ścianą jego bloku. Rano pod sklepem mijał grupy leczących kaca porannym piwem. I tak było nie tylko w weekendy, ale również w środku tygodnia.

Zakłócanie porządku i ciszy nocnej to jednak niejedyne skutki nadmiernego spożywania alkoholu, jakich mogą doświadczyć osoby postronne, zwłaszcza w dużych miastach. Inne to chociażby częste wizyty radiowozów i policji w okolicy, tworzenie się w mieście stref, do których się nie chodzi, wypadki drogowe (według ustaleń zespołu Jacka Moskalewicza 80 procent przestępstw przeciwko bezpieczeństwu w komunikacji stanowią te związane z prowadzeniem pojazdu w stanie nietrzeźwości lub pod wpływem środka odurzającego), przeciążone szpitalne oddziały ratunkowe (SOR-y) i izby wytrzeźwień. Do tego dochodzi przemoc domowa – według danych Komendy Głównej Policji ponad 60 procent podejrzanych o jej stosowanie jest w chwili interwencji policji (w ramach procedury „Niebieskie Karty") w stanie nietrzeźwości.

Nie wspominając już o tym, że – jak podaje Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom (KCPU) – co roku nawet 30 tysięcy ludzi w naszym kraju umiera z powodu alkoholu i chorób odalkoholowych. Co sprawia, że według danych Eurostatu z 2023 roku jesteśmy na czwartym miejscu w Unii Europejskiej pod względem liczby zgonów spowodowanych nadużywaniem alkoholu. Wyprzedzają nas jedynie Słowenia, Dania i Chorwacja.

PROBLEM Z NADMIERNYM piciem i wszystkimi jego konsekwencjami był i jest mocno obecny w Polsce. Rozwiązanie w postaci godzinowego zakazu sprzedaży w sklepach i na stacjach benzynowych między 22:00 a 6:00, jak zaproponowano w nowelizacji z 2018 roku, niewielu jednak od razu przekonało. Jak podliczyli autorzy najnowszych, opublikowanych w marcu 2026 roku, badań *Dostępność czasowa alkoholu. Czy ograniczenia godzinowe sprzedaży alkoholu mają wpływ na konsumpcję oraz problemy z piciem?* (przeprowadzonych przez Zakład Socjologii i Zdrowia Publicznego Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie pod kierunkiem doktora Jacka Moskalewicza) 128 gmin w całej Polsce wprowadziło u siebie przepisy krótko po zmianie prawa, w 2018 roku (pierwszy był Sopot, gdzie wciąż obowiązuje wprowadzony wówczas zakaz). Przy tym niektóre miejscowości niedługo później się z nich wycofały, przede wszystkim

w wyniku nacisków ze strony lokalnych przedsiębiorców zajmujących się sprzedażą alkoholu. Potem nastąpiło kilka lat powolnego wzrostu – ograniczenia przyjmowało średnio dziewięć gmin rocznie.

Aż ostatnio coś się przełamało. Tylko w 2025 roku 36 kolejnych gmin lub miast wprowadziło nowe przepisy, a na początku 2026 roku dołączyły następne – między innymi Kielce, Opole, Koło, Wołomin i Piaseczno. No i ta, o której w ostatnich miesiącach było najgłośniej, czyli Warszawa, gdzie po burzliwych głosowaniach w Radzie Miasta wprowadzono nocny zakaz sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych w całym mieście od 1 czerwca.

– Większa śmiałość gmin w przyjmowaniu uchwał zakazujących sprzedaży alkoholu nocą ma dwa źródła. Po pierwsze, przykłady miast, które przyjęły przepisy, pokazują innym, że to działa. Poprawiają się statystyki dotyczące porządku publicznego, a to z kolei sprawia, że mieszkańcy czują się bezpieczniej. Głośna historia problemów z przyjęciem uchwały w Warszawie też zrobiła swoje. Włodarze zobaczyli, że nie opłaca się sprzeciwiać woli większości mieszkańców – tłumaczy Marta Zin-Sędek, socjolożka, kierowniczka działu badań, monitorowania i współpracy międzynarodowej Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom.

Chodzi o odrzucenie jesienią 2025 roku przez Radę Miasta projektów uchwał w tej sprawie i wprowadzenie jedynie pilotażu w dwóch dzielnicach, w Śródmieściu i na Pradze-Północ. Stało się tak mimo wyrażonego w ramach konsultacji społecznych 81-procentowego poparcia mieszkańców dla wprowadzenia nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w całym mieście, a także apeli miejskich stowarzyszeń – Miasto Jest Nasze oraz Porozumienia Dla Pragi – które wspólną petycją do władz Warszawy zainicjowały wprowadzanie zakazu w stolicy.

Obecnie 226 gmin lub miast w całej Polsce – a więc wbrew pozorom wcale nie tak wiele, bo około 9 procent – ma lokalnie obowiązujące nocne ograniczenia w sprzedaży alkoholu. Nie dotyczą one lokali gastronomicznych, gdzie alkohol spożywa się na miejscu. W niektórych przypadkach godziny zakazu są krótsze, na przykład obowiązują od 23:00, w innych nie obejmują całego miasta, tylko wybrane dzielnice. Nie zmienia to faktu, że około jedna piąta Polek i Polaków żyje obecnie w warunkach, w których trudniej jest kupić alkohol w nocy. Czy jest się z czego cieszyć? Zerknijmy na statystyki.

—

ZWOLENNICY GODZINOWYCH ograniczeń w sprzedaży alkoholu na dowód słuszności i skuteczności wprowadzanych zakazów przytaczają dane dostarczane przez policję i straż miejską z całego kraju. Właściwie każda miejscowość, w której zakaz obecnie obowiązuje, chwali się ogólnymi spadkami w liczbie interwencji służb, które są związane z nadmiernym spożywaniem alkoholu. Pod hasłem „interwencja" może się kryć cała masa rozmaitych sytuacji, które (czy to w wyniku otrzymanego zgłoszenia, czy obserwacji w ramach patrolu) wymagają działania funkcjonariuszy – bójki, zakłócanie ciszy nocnej, spożywanie alkoholu w miejscach niedozwolonych, przemoc domowa, wypadki z udziałem osób nietrzeźwych czy doprowadzenie do izby wytrzeźwień.

Gdańsk, który zakaz sprzedaży alkoholu w godzinach 22:00–6:00 wprowadził 1 września 2025 roku w całym mieście, chwali się dwucyfrowym spadkiem liczby mandatów wystawionych przez straż miejską w związku ze spożywaniem alkoholu. W sierpniu 2025 roku odnotowano 170 takich przypadków, rok wcześniej wcześniej – 230.

Władze Krakowa (zakaz w całym mieście od 1 lipca 2023 roku, w godzinach 00:00–5:30) podają ogólną liczbę interwencji policji związanych z alkoholem, która w pierwszym roku obowiązywania uchwały spadła o 31 procent w porównaniu do analogicznego okresu sprzed wprowadzenia zakazu. A do tego dodają dane bardziej szczegółowe, na przykład redukcja o 23 procent liczby przypadków zastosowania przymusu bezpośredniego wobec osób nietrzeźwych.

Z kolei w Koninie (zakaz w całym mieście od 1 lutego 2025 roku, w godzinach 22:00–6:00) od lutego do czerwca 2024 roku policja odnotowała 405 interwencji domowych związanych ze spożywaniem alkoholu, podczas gdy w analogicznym okresie w 2025 roku było ich już jedynie 124. Oznacza to spadek o 69 procent rok do roku. Rzeczniczka miejscowej policji poproszona przeze mnie mailem o uzupełnienie statystyk o dalsze miesiące, co pozwoliłoby potwierdzić, czy tendencja nadal się utrzymuje, informuje jedynie, że „spadek liczby interwencji domowych jest zauważalny".

Doktor Moskalewicz, który badaniem zjawisk związanych z polityką alkoholową zajmuje się od kilkudziesięciu lat, przestrzega jednak przed interpretowaniem takich wyabstrahowanych danych, które mają potwierdzać słuszność danego przepisu i jego wpływ na rzeczywistość. Problemem jest przede wszystkim zbyt krótki czas. – W badaniach nad skutecznością określonych polityk społecznych trzeba obserwować dłuższe trendy, nie z miesiąca na miesiąc czy z roku na rok. Istnieje tyle zewnętrznych czynników, których się nie kontroluje, a które mogą incydentalnie wpłynąć na wskaźniki, że takie krótkotrwałe zmiany nie mają większego znaczenia – tłumaczy mi.

Jako przykład podaje nie tak dawne czasy pandemii COVID-19, kiedy z powodu obowiązujących obostrzeń sanitarnych większość statystyk policyjnych znacząco spadła. W przypadku części miejscowości, które jeszcze

226 gmin

• lub miast w całej Polsce ma lokalnie obowiązujące nocne ograniczenia w sprzedaży alkoholu.

przed lockdownami wprowadziły nocne zakazy sprzedaży alkoholu, dane z tego okresu służyły jako potwierdzenie, że wprowadzone ograniczenia działają.

Podobne wątpliwości można mieć w przypadku statystyk dotyczących policyjnych interwencji, entuzjastycznie zaprezentowanych przez władze stolicy w ramach *Raportu z otwarcia monitoringu programu Bezpieczna Noc*, które miały potwierdzić, że pilotaż w dwóch dzielnicach był sukcesem i daje zielone światło dla zakazu sprzedaży alkoholu po godzinie 22:00 w całym mieście. W dokumencie przygotowanym przez Biuro Strategii i Analiz Warszawskiego Ratusza zawarto dane Komendy Stołecznej Policji wskazujące, że w porównaniu z rokiem poprzednim wykroczeń związanych ze spożywaniem alkoholu w miejscach publicznych było aż o 30 procent mniej w dzielnicach z zakazem i o 13 procent mniej w pozostałych. Albo dane Straży Miejskiej, zgodnie z którymi w ciągu trzech miesięcy obowiązywania zakazu miał miejsce spadek liczby interwencji o 10 procent w dzień i 15 procent w nocy. W dzielnicach bez zakazu nastąpił wzrost interwencji w nocy o 4 procent, a w dzień pozostały one na zbliżonym poziomie.

Co jednak ważne, porównywane miesiące obejmowały wyjątkowo mroźną tegoroczną zimę, a to z pewnością wpłynęło na wyniki badania. Przyznają to zresztą w podsumowaniu sami autorzy warszawskiego raportu: „Efekty programu należy interpretować z dużą ostrożnością, ponieważ zima to okres naturalnego spadku interwencji wynikającego z niższych temperatur, krótszego dnia i mniejszej aktywności w przestrzeni publicznej. Oznacza to, że część spadków między październikiem a styczniem wynika z sezonowości, a nie wyłącznie z działania programu".

Aby zapobiec takim właśnie zniekształceniom, zespół Moskalewicza we wspomnianych już najnowszych badaniach na temat skutków wprowadzenia godzinowych ograniczeń w sprzedaży alkoholu postanowił porównać ze sobą wyniki z ostatnich kilkunastu lat – z dwóch miast dużych, dwóch miast średnich i dwóch gmin wiejskich – w bardzo ścisłych kategoriach, na przykład liczbie przestępstw drogowych pod wpływem alkoholu.

– Ciekawe okazało się porównanie dziesięcioletnich trendów pomiędzy Białymstokiem, gdzie ograniczeń nie ma, a Olsztynem, gdzie zakaz sprzedaży alkoholu w nocy jest jednym z najdłużej działających w Polsce, od września 2018 roku. Osiem lat temu w Olsztynie w przeliczeniu na liczbę mieszkańców przestępstw w ruchu drogowym było więcej niż w Białymstoku. W tej chwili jest o 60 procent mniej – mówi Moskalewicz.

Badacze nie uwzględnili w swojej analizie na przykład danych z SOR-ów, na które bardzo często trafiają pijani pacjenci, paraliżując ich pracę. Wiele osób spodziewało się, że zakazy nocnej sprzedaży alkoholu pomogą odciążyć SOR-y. Tak się jednak nie stało. Dane z Krakowa z lat 2021–2025 pokazują, że zamiast spadać, liczba pacjentów z roku na rok rośnie. – Nie mam poczucia jakiejkolwiek zmiany na lepsze – mówi doktorka Aleksandra Załustowicz, kierowniczka SOR-u Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. – Pacjenci pod wpływem alkoholu byli i nadal są dużym problemem, to około 10–20 procent przypadków, które do nas trafiają. Niektórzy mają już długą praktykę, czasem ich nawet rozpoznajemy.

Załustowicz opowiada, że niektórzy mają wręcz swoje sposoby, żeby trafić na SOR, a nie do izby wytrzeźwień, gdzie musieliby zapłacić 469 złotych za dobę pobytu. – Wystarczy, że powiedzą, że chcą się zabić. Policja z automatu kieruje ich wtedy do szpitala, bo istnieje zagrożenie życia. Na takie osoby nocny zakaz sprzedaży po prostu nie działa. Być może oddziały szpitalne, które znajdują się bliżej centrów miast, bardziej odczuwają różnicę, bo trafia do nich mniej pijanych turystów. Ale też nie słyszę w środowisku, żeby gdzieś ktoś się zachwycał, że liczba pacjentów w stanie po alkoholu jakoś drastycznie spadła – mówi kierowniczka SOR-u.

Długofalowo, jak pokazują wyniki badań zespołu doktora Moskalewicza, które uwzględniają dane na temat przyjęć do szpitali psychiatrycznych z powodu zaburzeń psychicznych i behawioralnych związanych z alkoholem, efekt zakazu jest jednak widoczny. – W naszych badaniach w tym aspekcie można stwierdzić pozytywny rezultat nocnych zakazów sprzedaży. W lokalizacjach z ograniczeniami spadki w liczbie pacjentów były większe niż tam, gdzie zakazu nie było, i to zarówno na poziomie badanych miast, jak i województw – podsumowuje socjolog.



—

STATYSTYKI statystykami, ale dla przeciętnego mieszkańca polskiego miasta, zwłaszcza jego centrum, gdzie jest najwięcej sklepów i w ciepłe miesiące kwitnie życie towarzyskie, podstawowe znaczenie ma to, czy kolejną noc uda mu się spokojnie przespać. Czy za ścianą nie będzie krzyków? Czy da się latem otworzyć okno? Czy można bezpiecznie wrócić wieczorem do domu? Krótko mówiąc, czy obiecujące dane mają rzeczywiste przełożenie na rzeczywistość?

Mieszkańcy warszawskiego Śródmieścia zrzeszeni w koalicji „Prosimy ciszej" po pół roku obowiązywania nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w ich dzielnicy mówią oględnie: „Jest trochę lepiej". Ale zaznaczają również, że z oceną skuteczności wprowadzonych zmian trzeba poczekać na pełnię sezonu, to znaczy miesiące letnie, kiedy ruch w ich okolicy jest największy. Poza tym, jak dodają, ograniczenie to tylko jeden z niezbędnych kroków, które powinno podjąć miasto.

Artur Pawłowski, sąsiad Piotra Bełczowskiego, ulicy Chmielnej nie umie już nazwać inaczej niż „Chlejną", a jej chodniki to dla niego „chlejniki". Nie pamięta, kiedy ostatni raz przespał całą noc w swoim mieszkaniu, którego wszystkie okna wychodzą na jeden z głównych warszawskich deptaków, niedawno zresztą zrewitalizowany. Obaj nie mają złudzeń, że nocny zakaz sprzedaży załatwi wszystko. – Alkohol nie jest naszym głównym problemem, ale to jeden z katalizatorów wielu kłopotów, z którymi się borykamy. Hałasu z ogródków piwnych, awanturujących się gości wychodzących z lokali, pijanych turystów pukających do naszych drzwi, bo pomylili je z drzwiami sąsiedniego mieszkania wynajmowanego na noclegi w ramach platform internetowych – opowiada Bełczowski. A Pawłowski dodaje: – Ja chyba byłem tu już świadkiem wszystkiego, łącznie z sytuacjami, kiedy w środku nocy bandy pijanej młodzieży organizowały równie pijanym osobom bezdomnym wyścigi o flaszkę.

– Nasze zgłoszenia na policję i straż miejską niestety często okazują się nieskuteczne – opowiada Bełczowski. – Jeśli zgłaszamy bójkę, patrol przyjeżdża w miarę sprawnie. Ale gdy zgłaszamy hałas, potrafi pojawić się po kilku godzinach, gdy problem jest już nieaktualny i wtedy nasze wezwanie traktowane jest jako niepotwierdzone. Choć w ciągu dnia tych policyjnych patroli w naszej okolicy jest naprawdę dużo, to w nocy one jakoś magicznie znikają.

– W pierwszej kolejności policjanci realizują zawsze interwencje, gdzie zagrożone jest czyjeś życie lub zdrowie. Na etapie zgłaszania interwencji dyżurny nadaje jej priorytet – potwierdza młodszy aspirant Paweł Chmura z zespołu prasowego Komendy Stołecznej Policji. Różnic w liczbie patroli dziennych i nocnych podać mi jednak nie może, zasłania się ogólnikami.

Doniesienia z innych miast pokazują podobnie: bez nocnych patroli i skutecznych interwencji policji czy straży miejskiej same ograniczenia sprzedaży nie są cudownym lekarstwem na problemy, które wynikają z nadużywania alkoholu. A przecież nie jest tajemnicą, że służby mundurowe cierpią na ogólnokrajowy problem braków kadrowych, o czym głośno mówi między innymi Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Policjantów. Niedobór funkcjonariuszy, przede wszystkim w prewencji, która zajmuje się patrolowaniem ulic, powodują, że w wielu miejscowościach nocne patrole są ograniczane albo nie ma ich wcale (na przykład w Gdyni, gdzie nocny zakaz sprzedaży alkoholu na razie nie obowiązuje, patrole Straży Miejskiej pracują jedynie w godzinach 6:00–22:00, poza nimi zgłoszenia są przekazywane policji).

Najbardziej jaskrawy przykład tego problemu miał miejsce w Poznaniu, w którym nocne zakazy sprzedaży alkoholu są wprowadzane od 2018 roku w kolejnych dzielnicach (trwają konsultacje z mieszkańcami co do zakazu w całym mieście). Pewien właściciel osiedlowego sklepu całodobowego uparcie sprzedawał alkohol po godzinie 22:00 pomimo obowiązującego w jego dzielnicy zakazu. Mieszkańcy regularnie zgłaszali straży miejskiej sytuacje pod sklepem, ale funkcjonariusze nie przyjeżdżali. W okolicy nocą działał tylko jeden patrol, który był zajęty głównie odwożeniem pijanych do izby wytrzeźwień.

Ostatecznie w listopadzie 2025 roku, aby zakończyć lokalny konflikt, miasto cofnęło zezwolenie na sprzedaż alkoholu dla tego sklepu. Obecnie z inicjatywy właściciela toczy się postępowanie odwoławcze w tej sprawie przed Samorządowym Kolegium Odwoławczym. – To jedyny w mieście przypadek wniosku o cofnięcie zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych złożonego w związku z prowadzeniem sprzedaży pomimo obowiązywania nocnego zakazu – informuje Gerard Hajgelman, zastępca dyrektora Wydziału Działalności Gospodarczej i Rolnictwa Urzędu Miasta Poznania.

Kraków – przypomnijmy, że to pierwsze duże miasto w Polsce, które w lipcu 2023 roku zdecydowało się na wprowadzenie nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w całym mieście – co roku w sezonie letnim zwiększa liczbę ulicznych patroli policji i straży miejskiej. Ale lokalne władze znalazły też inny sposób na to, żeby wprowadzone przepisy egzekwować skuteczniej. Powołały pierwszego burmistrza nocnego, a zarazem szefa Komisji Zrównoważonej Gospodarki Nocy przy prezydencie miasta. Funkcję z dniem 1 sierpnia 2024 roku objął Jacek Jordan. W rozmowie ze mną zaznacza, że do jego zadań należy „ucywilizowanie tego, co nocą dzieje się w Krakowie, przy uwzględnieniu zarówno głosu mieszkańców, jak i przedsiębiorców, branży turystycznej oraz urzędu miasta" i nie jest „organem interwencyjnym", choć Krakowianie często tak go postrzegają. – Nie ma dnia, żeby nie spływały do mnie prośby o interwencje, skargi, telefony. Zwłaszcza w kwestiach nocnego hałasu. Mieszkańcy traktują mnie trochę jak szeryfa – śmieje się Jordan.

W praktyce burmistrz nocny mediuje w przypadku konfliktów, a także regularnie towarzyszy straży miejskiej i policji podczas nocnych patroli. Skutki wprowadzenia ograniczeń w sprzedaży alkoholu obserwuje więc na własne oczy, na ulicy, i widzi to, co nie zawsze jest obecne w statystykach. – Nasze nocne patrole są nieoznakowane. Idziemy po prostu w trzy osoby [burmistrzowi nocnemu towarzyszy dwóch urzędników miejskich – przyp. red.] ulicami miasta, jak przechodnie. Mam stałą łączność z dowódcą służb i gdy widzę, że dzieje się coś niepokojącego, od razu wzywam patrol. To nie zawsze jest konieczne, bo czasem wystarczy rozmowa, na przykład z właścicielami barów, żeby nie pozwalali klientom

Bez nocnych patroli i skutecznych interwencji policji czy straży miejskiej same ograniczenia sprzedaży alkoholu nie są cudownym lekarstwem.

wychodzić z kieliszkami czy butelkami piwa przed lokal. Dopiero gdy to nie przynosi efektów, wzywam służby – tłumaczy Jordan.

A jak burmistrz nocny ocenia efekty zakazu sprzedaży alkoholu w nocy? – Po prawie dwóch latach na stanowisku nie mam wątpliwości, że miasto na ograniczeniach zyskało. Nie mamy jawnych przypadków łamania zakazu przez przedsiębiorców. Na ulicach jest spokojniej, w bezpośrednich rozmowach mieszkańcy też to potwierdzają.

Jordan przyznaje, że potrzebne są zmiany w funkcjonowaniu służb, które pomogłyby lepiej egzekwować przepisy, zwłaszcza w przypadku picia w przestrzeni publicznej. Dużo dałoby według niego podwyższenie kwot mandatów za wykroczenia, by działały bardziej odstraszająco. Obecnie wynoszą one przykładowo: za picie alkoholu w miejscu publicznym – 100 złotych; za zanieczyszczanie lub zaśmiecanie miejsc publicznych – od 50 do 500 złotych; za zakłócenie spokoju, porządku publicznego, spoczynku nocnego albo wywołanie zgorszenia w miejscu publicznym – od 100 do 500 złotych. Jak w 2022 roku zbadała Najwyższa Izba Kontroli, efekt interwencji (mandat czy pouczenie) i tak najczęściej zależy od decyzji konkretnego strażnika.

Burmistrz nocny nie ukrywa również, że przydałoby się zwiększenie zakresu uprawnień strażników miejskich, którzy obecnie nie mają na przykład dostępu do bazy PESEL. – Bardzo częste są sytuacje, gdy strażnicy mają do czynienia z grupą pijanych nieletnich. Funkcjonariusze nie mogą ich jednak nigdzie przetransportować ani skontaktować się z ich rodzicami. Trzeba wtedy wzywać policję, czas interwencji się wydłuża i angażuje *de facto* dwa patrole zamiast jednego – mówi Jordan.

Pytanie tylko, czy dotkliwsze kary i ostrzejsze kontrole przekładają się na spadek konsumpcji, czy powodują głównie to, że z przekory naród bardziej się buntuje i kombinuje?

W internecie ludzie przerzucają się całą masą pomysłów, które mają udowodnić, że twórcy zakazu nie nadążają za rzeczywistością.

—

BUNT TO REAKCJA, która w związku z wprowadzanymi zakazami sprzedaży alkoholu towarzyszy wielu właścicielom sklepów. Oni sami jednak niezbyt chętnie wypowiadają się na temat nowych przepisów. – Co można powiedzieć? Chcą nas dobić – komentuje krótko sprzedawczyni z niewielkiego sklepu spożywczo-monopolowego na Mokotowie, czyli w jednej z dzielnic Warszawy, gdzie nocny zakaz sprzedaży alkoholu wszedł z początkiem czerwca. W okolicy jej osiedlowego sklepu, oferującego zarówno jabłka na wagę, bułki, podpaski, jak i wiele rodzajów piwa, są już praktycznie same duże sieciowe markety lub mniejsze, w tym też sieciówki, opanowujące w ostatnich latach całą Polskę. Choć badania rynkowe pokazują, że dyskonty i hipermarkety stanowią główne miejsce zakupu alkoholu dla 79 procent klientów w Polsce, to właśnie sytuacja małych osiedlowych sklepów jest częstym argumentem przeciw wprowadzaniu nocnych zakazów sprzedaży alkoholu.

Warsaw Enterprise Institute – polski konserwatywny think tank propagujący idee libertarianizmu, czyli wolności gospodarczej, ekonomicznej i osobistej (znany na przykład z *Czarnej księgi*, czyli przeglądu najbardziej nietrafionych inwestycji ze środków publicznych, ale też z blogowych wpisów Łukasza Warzechy w obronie hodowli zwierząt futerkowych), od początku opowiada się przeciwko wszelkim ograniczeniom w sprzedaży alkoholu. W publikacjach na swojej stronie internetowej, na przykład w tekście *O co tak naprawdę chodzi w nocnej prohibicji?*, podkreśla, że nocne zakazy pod pozorem dbania o zdrowie publiczne doprowadzają tak naprawdę do „konsolidacji rynku w rękach dużych sieci handlowych". Dlaczego? Bo małe sklepy nie są już w stanie konkurować z nimi poprzez swoją większą dostępność i otwarcie do późnych godzin nocnych lub całodobowo.

Maciej Ptaszyński, prezes Polskiej Izby Handlu, w wypowiedzi dla portalu XYZ z sierpnia 2025 roku dodaje: „To jest naprawdę kłopot organizacyjny dla handlu, który musi wyłączyć jedną z kategorii ze sprzedaży w określonych godzinach. Źle się dzieje, że samorządy wprowadzają to ograniczenie na godzinę przed zamknięciem większości sklepów. (...) Każde ograniczanie dostępności legalnych towarów to jest ukłon w stronę szarej strefy".

„Kto chce się napić, znajdzie sposób" – dodają ci, którzy wątpią w skuteczność odgórnych zakazów związanych z alkoholem, a raczej widzą w nich katalizator rozwoju nielegalnej sprzedaży. „Wracamy do PRL. Znów będą mety i prężne akcje policji". „Nie zdziwię się, jak w niektórych monopolowych będą sprzedawać pod ladą za gotówkę, a oberwą uczciwi sprzedawcy". „Właściciele melin odpalają instalacje i otwierają szampana". „To się będzie kupować bimber i po problemie. Zakazy i nakazy działają w odwrotną stronę". To tylko niektóre komentarze sceptyków, które można znaleźć pod właściwie każdym artykułem na temat nocnych zakazów sprzedaży w różnych miastach w Polsce.

I nie da się im całkowicie odmówić racji. Bo z miejscowości, które wprowadziły u siebie ograniczenia, płyną sygnały o rozmaitych sprytnych sposobach na obchodzenie kłopotliwych przepisów. W Olsztynie jeden z przedsiębiorców stosuje taki już od kilku lat. Przed wejściem do swojego sklepu sprzedaje klientom „wejściówki na imprezę zamkniętą" po trzy złote. Tego typu wydarzenia nie są objęte zakazem sprzedaży alkoholu. Konsumpcja odbywa się na miejscu. Miasto przyznaje, że nie ma możliwości zaostrzenia przepisów.

Inny tego typu głośny przypadek ma miejsce w centrum Warszawy. Całodobowy sklep monopolowy przy Nowym Świecie zamienia się po godzinie 22:00 w lokal gastronomiczny i oferuje sprzedaż dalej, tyle że na miejscu. Wzrastają ceny, płatność jest możliwa tylko gotówką, a klienci dostają plastikowy kubek i otwartą butelkę. Koncesję na sprzedaż alkoholu w ramach punktu gastronomicznego sklep otrzymał zupełnie legalnie od Urzędu Dzielnicy Śródmieście i to już po wprowadzeniu w tym rejonie zakazu nocnej sprzedaży alkoholu. Straż Miejska jak dotąd nie otrzymała żadnych zgłoszeń w sprawie naruszania zakazu ani sytuacji wymagających interwencji w najbliższym otoczeniu sklepu. Urzędnicy rozkładają ręce.

W wymienionych przypadkach – nielicznych, jak podkreślają samorządowcy – ciężko jednak mówić o łamaniu zakazu wprost. To raczej wykorzystywanie luk i niedociągnięć w przepisach. Zresztą w internetowych dyskusjach ludzie przerzucają się całą masą pomysłów, które mają udowodnić, że twórcy zakazu nie nadążają za rzeczywistością i nie wzięli pod uwagę tego, jak bardzo obecny handel przeniósł się do internetu.

„Sklep może być zarejestrowany w Trąbkach Wielkich i to w nim przez internet o godz. 22:18 kupujesz i płacisz za butelkę piwa. Natomiast miejscem odbioru (nie sprzedaży) będzie (…) [tu pada nazwa popularnej sieci sklepów spożywczych – przyp. red.]. O godz. 22:28 dajesz pani w (…) [we wspomnianym sklepie – przyp. red.] nr kodu, ona sprawdza w systemie, czy towar opłacony i wydaje butelkę. A najlepszym hiciorem jest, że ten sklep internetowy może być zarejestrowany za granicą, tam gdzie jest jeszcze inna strefa czasowa. U nas będzie godz. 23, a tam 21. Zakupiłeś teoretycznie u nas o 23, a u nich w systemie będzie godz. 21. Także metod jest dużo" – pisze anonimowy internauta pod artykułem na temat zakazów sprzedaży alkoholu na portalu trójmiasto.pl.

Jeden z taksówkarzy z Konina zdradza reporterowi z lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej": „W weekend zawsze mam w bagażniku skrzynkę wódki". I nie jest to przypadek wyjątkowy, bo doniesienia o podobnych praktykach potwierdzają w wypowiedziach dla lokalnych mediów samorządowcy z różnych miast. – Wiemy, że niektórzy taksówkarze wożą w ten sposób alkohol – potwierdza również Jacek Jordan, burmistrz nocny Krakowa. W praktyce wygląda to tak: taksówkarz kupuje alkohol w ciągu dnia, na zapas, w związku z czym po godzinie, kiedy zakaz sprzedaży się rozpoczyna, nieoficjalnie oferuje klientom, i to raczej tym zaufanym, usługę dowozu na telefon za dodatkową opłatą.

Są też sposoby bardziej oficjalne. „Tylko 59 zł – koszt dostarczenia zakupów na telefon 24h z dostawą do domu (…) Czy zdarzyło Ci się, iż na wspaniałej imprezie, gdzie właśnie dobrze się bawisz, zabrakło alkoholu, papierosów lub czegoś dobrego do jedzenia? Jeśli tak, to dobrze trafiłeś, u nas zamówisz to, co potrzebujesz, a my dostarczymy Ci to pod same drzwi. (…) Przy zamawianiu napojów alkoholowych zamawiający potwierdzają, że są co najmniej pełnoletni" – można przeczytać na pewnej stronie internetowej. Cena jest atrakcyjniejsza niż na przykład w Zakopanem (gdzie nocny zakaz sprzedaży alkoholu obowiązuje od października 2022 roku), w którym – jak donosiły lokalne media – usługa dowozu alkoholu z sąsiedniej, nieobjętej restrykcjami gminy wynosi 70 złotych plus cena napoju.

„Turystyka alkoholowa" to zjawisko obserwowane przede wszystkim przez samorządy, które swoje zakazy wprowadziły punktowo – nie w całym mieście, tylko w kilku dzielnicach – albo które są jedyną gminą w okolicy, w której zakaz obowiązuje. Między innymi z tego powodu do nocnego zakazu sprzedaży alkoholu nie planują wracać Kartuzy, które wycofały się z niego po roku. – U nas na każdym wyjeździe z miasta jest jakaś stacja benzynowa albo sklep, gdzie ludzie bez problemu mogą kupić alkohol. Może gdyby zakaz obowiązywał w całym powiecie, miałoby to jakiś sens – przyznaje Waldemar Pek, sekretarz gminy Kartuzy.

Podobnie z przyjętego w 2018 roku nocnego zakazu sprzedaży alkoholu po zaledwie pół roku wycofała się Biała Podlaska. Ograniczenie przyjęto jedynie na terenie miasta, a nie dla całej gminy, w związku z czym było zupełnie nieskuteczne. Mieszkańcy bez problemu kupowali alkohol na stacjach benzynowych i w sklepach poza granicami miasta, co budziło sprzeciw lokalnych handlowców, którzy czuli się dyskryminowani.

Jak piszą autorzy przywoływanych już badań Zakładu Socjologii i Zdrowia Publicznego, sprzeciw miejscowych przedsiębiorców był częstym powodem, dla którego niektóre gminy wycofały się z przyjętych wcześniej uchwał o nocnym zakazie sprzedaży alkoholu, a inne w ogóle nie biorą ich pod uwagę. – Ma to znaczenie zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, gdzie lokalny przedsiębiorca, właściciel sklepu czy stacji benzynowej to bardzo ważna osoba w społeczności, która finansuje różne rzeczy, od której zależą miejsca pracy. Miejscowe władze nie mają odwagi się jej przeciwstawić – tłumaczy doktor Jacek Moskalewicz.

Na własnej skórze przekonuje się o tym mieszkaniec Kędzierzyna-Koźla, który chce zachować anonimowość, ponieważ jak zaznacza w mailu do mnie, „ze względu na lokalne układy woli pozostać w cieniu". Od prawie roku walczy o wprowadzenie w swoim mieście ograniczeń w sprzedaży alkoholu w godzinach 22:00–6:00. Na własną rękę, w trybie dostępu do informacji publicznej, zbierał dane z powiatowej komendy policji, miejskiego SOR-u, statystyki dotyczące procedur programu



„Niebieskie Karty" i tego, jak wiele z nich jest powiązanych z nadużywaniem alkoholu w rodzinach (okazało się, że to ponad połowa przypadków). To wszystko dostarczył miejskim radnym razem z petycją przekonującą o potrzebie wprowadzenia regulacji w mieście. Bezskutecznie.

Jednym z głównych problemów blokujących przegłosowanie uchwały okazały się właśnie godziny. Według wyliczeń urzędu miasta zakaz sprzedaży alkoholu od godziny 22:00 objąłby 41 punktów sprzedaży. W projekcie uchwały, który zresztą ostatecznie upadł, przesunięto godzinę rozpoczęcia zakazu na 23:00, w wyniku czego zakaz miał dotknąć jedynie pięciu stacji benzynowych i jednego sklepu nocnego w całym mieście. – Zmiana była świadomą decyzją polityczną. Projekt celowo okrojono pod presją interesów sieci handlowej, a następnie okrojony zakres posłużył za argument do odrzucenia – relacjonuje rozgoryczony mieszkaniec Kędzierzyna-Koźla.

Władze miejskie mają jednak na ten temat inne zdanie: – Kędzierzyn-Koźle to specyficzna miejscowość, mamy dużą powierzchnię i mało mieszkańców, zaledwie 50 tysięcy, w tym sporo starszych ludzi – mówi mi Ireneusz Wiśniewski, przewodniczący Rady Miasta Kędzierzyn-Koźle. – Tu po 22:00 naprawdę życie zamiera. Argumentami mieszkańca, który złożył petycję, były swoista prewencja i walka z alkoholizmem. Ale nie oszukujmy się, sklepy zamknięte godzinę czy dwie wcześniej naprawdę nie rozwiążą tego problemu. Tu zresztą wchodzą z grę lokalne miejsca pracy. Uważam, że takie decyzje nie powinny być spychane na samorządy, tyko powinien się nimi centralnie zajmować Sejm. Wtedy to będzie miało lepszy efekt.

Walki o nocny zakaz sprzedaży alkoholu w swoim mieście anonimowy mieszkaniec kończyć nie zamierza. Po nieudanym głosowaniu napisał list do lokalnej gazety, w którym przytacza wszystkie zgromadzone przez siebie dane z miejskich instytucji i zarzuca radnym, że debata nad uchwałą nie była dla mieszkańców przejrzysta. „W publicznej dyskusji nad ograniczeniem nocnej sprzedaży alkoholu dominują argumenty o stacjach benzynowych, obrotach sklepów, randze miasta i wygodzie zakupów nocnych. (...) Ale nikt nie mówi o zdrowiu i życiu mieszkańców. (...) Nie proszę o poparcie. Proszę o transparentność. Niech mieszkańcy wiedzą, ile osób trafia na SOR, ile rodzin jest objętych «Niebieską Kartą», ile interwencji przeprowadza policja, co mówi Gminna Komisja Alkoholowa. Niech sami zdecydują, czy «nie ma problemu»".

—

TYMCZASEM PRZYWOŁYWANA przez przeciwników nocnych ograniczeń w sprzedaży alkoholu szara strefa rośnie. Z danych przytoczonych przez Instytut Prognoz i Analiz Gospodarczych w raporcie *Szara Strefa 2025* wynika, że wartość nielegalnej sprzedaży wysokoprocentowych alkoholi w Polsce generowała około 1,3 miliarda złotych strat dla budżetu państwa z tytułu nieodprowadzonego podatku akcyzowego. W ostatnich latach rósł też poziom spożycia nierejestrowanego, głównie za sprawą nielegalnego przemytu, zwłaszcza z Ukrainy i Czech.

Odpowiedzialne za to nie są jednak nocne zakazy sprzedaży alkoholu – obejmujące obecnie, przypomnijmy, zaledwie co jedenastą gminę w kraju – ale wiele różnych czynników, takich jak wzrost cen czy akcyzy. Dzięki tej ostatniej w 2024 roku budżet naszego państwa wzbogacił się o 10,3 miliarda złotych. – Jednak na każdą złotówkę, która została zyskana przez budżet państwa z opłat z tytułu podatku akcyzowego czy podatku VAT, trzeba wydać cztery złote na ograniczenie szkód, które są przez alkohol powodowane. Wchodzą w to hospitalizacje, obsługa sądów, prokuratury, służb porządkowych czy utracone wpływy z pracy osób uzależnionych. Koszty przewyższają zyski – podkreśla Marta Zin-Sędek z KCPU.

Pytanie więc, co tak naprawdę jest naszym głównym celem przy wprowadzaniu obecnych ograniczeń. Jeżeli jest nim spadek ilości spożywanego alkoholu, a co za tym idzie spadek liczby zgonów i chorób spowodowanych alkoholem, to tu Moskalewicz nie ma wątpliwości: – Każde rozluźnienie kontroli nad alkoholem powoduje gwałtowny wzrost na przykład psychoz alkoholowych czy przyjęć do szpitali. Natomiast każde najmniejsze ograniczenie hamuje spożycie. Tak po prostu wynika z badań.

Jak podkreśla, kluczowe byłoby przede wszystkim nie tyle godzinowe zakazywanie sprzedaży alkoholu, ile sukcesywne zmniejszanie liczby koncesji, która jest ustalane przez gminy. Każdy punkt sprzedaży (zarówno sklep, jak i lokal gastronomiczny) musi mieć koncesję na sprzedaż konkretnych rodzajów alkoholi: do 4,5 procent, powyżej 4,5 procent i powyżej 18 procent. Jak wynika z raportu zespołu Moskalewicza, w całej Polsce działa obecnie około 120 tysięcy punktów sprzedaży alkoholu (z czego 80 tysięcy to sklepy), co oznacza, że jeden przypada na około 300 osób. A zależność w tym przypadku – jak podkreśla Moskalewicz – jest wręcz liniowa. Im więcej punktów sprzedaży, tym większe spożycie w danym mieście.

Niestety ograniczanie liczby punktów sprzedaży alkoholu z obecnymi godzinowymi zakazami niekoniecznie idzie w parze. W ostatnim głosowaniu nad wprowadzeniem nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w całej Warszawie radni przyjęli też uchwałę zmniejszającą limit zezwoleń na sprzedaż alkoholu, które są wydawane na czas określony (dla sklepów na co najmniej dwa lata, dla gastronomii na minimum cztery) z 16 970 do 16 680. Ale już na przykład w Krakowie limity zezwoleń

120 tysięcy

• punktów sprzedaży alkoholu działa obecnie w Polsce. 80 tysięcy z nich to sklepy.

od lat są takie same. Jedyna modyfikacja z 2024 roku dotyczy zwiększenia limitów na słabsze alkohole kosztem tych mocniejszych. Jak dodaje Zin-Sędek, gminy mają też niestety tendencję do ustalania limitów na zapas: – Maksymalne liczby zezwoleń uchwalane przez gminy w wielu przypadkach są wyższe niż faktyczne zapotrzebowanie i nie są osiągane, co sprawia, że dostępność alkoholu wcale nie maleje.

Decyzje o zmniejszaniu liczby koncesji dla gmin nie są łatwe, bo samorządy również na alkoholu zarabiają. Wcale nieoczywista zależność jest taka, że od każdego zezwolenia na sprzedaż alkoholu przedsiębiorcy odprowadzają opłaty, które są przeznaczane na gminne programy profilaktyki i rozwiązywania problemów alkoholowych, które obejmują pomoc terapeutyczną osobom uzależnionym, pomoc rodzinom, w których występuje przemoc z powodu alkoholu, czy wspomaganie lokalnych stowarzyszeń zajmujących się tym tematem. Sprzedaż alkoholu zasila więc walkę z alkoholem.

Anegdotę związaną z tym paradoksem opowiada Moskalewicz: – Kilkanaście lat temu pod Warszawą otwierał się duży hipermarket, który miał oczywiście ogromny dział alkoholowy. Lokalni pełnomocnicy do spraw uzależnień byli zachwyceni, ile pieniędzy w związku z tym spłynie do gminy. Ja ich pytałem: „A nie boicie się, że będziecie mieli więcej problemów?". Oni mi odpowiadali: „Problem to będzie miała cała Warszawa, ale pieniądze pójdą do nas".

A pieniądze te są niemałe. Wysokość rocznych opłat, które dany przedsiębiorca (zarówno sklep, jak i lokal gastronomiczny) odprowadza do gminy, zależy od rodzaju alkoholu oraz obrotu w danym roku – piwo i napoje do 18 procent to 525 złotych, jeśli roczna sprzedaż nie przekroczyła 37,5 tysiąca złotych (jeśli tak, dolicza się 1,4 procent ogólnej wartości sprzedaży), ale już w przypadku alkoholu powyżej 18 procent to 2100 złotych, jeśli roczna sprzedaż nie przekroczyła 77 tysięcy złotych (jeśli tak, dolicza się 2,7 procent ogólnej wartości sprzedaży). Do tego dochodzą wpływy ze sprzedaży tak zwanych małpek – od 2021 roku za każdy litr czystego alkoholu w butelkach o pojemności poniżej 0,3 litra przedsiębiorca płaci dodatkowo 25 złotych, które w połowie trafia do Narodowego Funduszu Zdrowia, a w połowie do gminy.

Kraków na sprzedaży alkoholu przykładowo w 2023 roku zyskał 32,8 milionów złotych, ale już w 2025 roku w budżecie miasta zaplanowano wpływy z opłat na poziomie 35,5 milionów. I to wszystko już w trakcie obowiązywania tam nocnego zakazu sprzedaży alkoholu.

—

WYDAJE SIĘ JEDNAK, że w powszechnym podejściu do picia i w postrzeganiu alkoholu coś się w Polsce powoli zaczyna zmieniać.

Wystarczy spojrzeć na poparcie społeczne dla wprowadzania nocnych zakazów sprzedaży alkoholu. We wrześniu 2025 roku sprawdził je Instytut Badań Rynkowych i Społecznych (IBRiS). Niemal 70 procent Polek i Polaków generalnie popiera nocne zakazy sprzedaży alkoholu, a 68 procent chciałoby wprowadzenia ich w miejscowości, w której mieszka. Popiera je zdecydowanie więcej kobiet (80 procent) niż mężczyzn (58 procent). Poparcie spada wraz ze wzrostem poziomu wykształcenia – wśród osób z wykształceniem podstawowym i zasadniczym zawodowym to 78 procent, za to wśród osób z wykształceniem wyższym to zaledwie 63 procent. Co ciekawe, poparcie dla zakazów okazuje się też bardzo wysokie wśród młodych dorosłych, w wieku między 18 a 29 lat wynosi ono 73 procent.

Zmiana w podejściu do picia widoczna jest też, gdy zerkniemy na oficjalne spożycie alkoholu w naszym kraju, które w ostatnich latach systematycznie spada, choć spadki te są też silnie skorelowane z wprowadzanymi przez rząd kolejnymi podwyżkami akcyzy. W tej chwili, według danych Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, to rocznie niespełna 9 litrów czystego alkoholu na osobę (dla porównania, w 2013 roku było to prawie 9,7, a w 2022 roku niecałe 9,4 litra). I tu, podobnie jak przy poparciu dla nocnych zakazów sprzedaży, widać zmianę pokoleniową.

– Według naszych najnowszych, jeszcze nieopublikowanych badań dotyczących częstości spożywania alkoholu picie jest wciąż najczęstsze wśród osób z pokolenia X i milenialsów, natomiast zetki sięgają obecnie po alkohol znacznie rzadziej, na poziomie zbliżonym do 60-, 80-latków, czyli pokolenia *baby boomers* – komentuje Marta Zin-Sędek. I dodaje: – Wydaje się, że młodzi ludzie obecnie o wiele bardziej niż ich rodzice skupiają się na zdrowym stylu życia, zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Świadomie ograniczają więc to, co może im szkodzić. Nie bez znaczenia są też zmiany w relacjach rówieśniczych, które w dużej mierze przeniosły się do internetu i zindywidualizowały się. Wspólna, grupowa inicjacja alkoholowa, która do niedawna była głównym wyznacznikiem dorosłości, już nie ma takiego znaczenia jak kiedyś.

Aby zresztą zauważyć tę zmianę, wystarczy z młodymi chwilę porozmawiać. Michał, 21-letni student informatyki, który kilka razy w tygodniu odwiedza siłownię, mówi: – Ja po alkoholu po prostu źle się czuję. Poza tym przeszkadza mi w treningach. Miałem kilka takich dni, że wieczorem była impreza, a następnego dnia szedłem rano na siłownię. Trening kiepsko mi szedł, bolała mnie głowa. Wolę tego nie łączyć. Alkoholu raczej unikam.

Z kolei 19-letnia Maja przyznaje, że nie ciągnie jej do alkoholu, bo jest teraz po prostu niemodny: – Alko na imprezie to obciach. Wszyscy piją raczej zerówki.

Polska jest obecnie trzecim największym producentem piwa bezalkoholowego w Europie (po Niemczech i Hiszpanii).

Najlepszym przejawem nowych trendów jest ogólnoświatowe, ale coraz bardziej znane w Polsce, zjawisko o nazwie NoLo, od *no alcohol, low alcohol*. To moda na napoje bezalkoholowe albo o niskiej zawartości alkoholu, podkreślająca przede wszystkim zdrowy styl życia. A jak to bywa z modami, szybko przechwytuje je biznes. Związek Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie już rok temu w swoim raporcie *Zerówki zmieniają rynek piwa. Rewolucja 0,0% trwa* pisał, że przez ostatnie 10 lat rynek piw zero urósł w Polsce 10-krotnie i wciąż rośnie, przy jednoczesnym ciągłym spadku sprzedaży piw alkoholowych, a Polska jest obecnie trzecim największym producentem piwa bezalkoholowego w Europie (po Niemczech i Hiszpanii), co jest ratunkiem dla kurczącej się branży.

Ostatnio w trend ograniczania dostępności alkoholu wpisał się właściciel sieci hoteli Arche, Władysław Grochowski, który ogłosił, że ogranicza ekspozycję mocnych trunków w części hotelowych barów w swojej sieci, ceny dla wesel bez alkoholu będą niższe o 20 procent, a w dwóch hotelach w Łodzi w ogóle nie będzie on dostępny. Zmiany są pilotażowe, a to, czy zostaną na stałe, okaże się jesienią. Niezależnie od tego, czy troska o zdrowie klientów jest u Grochowskiego autentyczna, czy to jedynie chęć zyskania rozgłosu, decyzja świadczy o tym, że temat ograniczania spożycia oraz dostępu do alkoholu jest nośny i społecznie coraz bardziej akceptowalny.



Im dłużej obecne zakazy sprzedaży trwają, tym bardziej Polacy się do nich przekonują. Widać to najlepiej na przykładzie Krakowa. W 2022 roku, czyli przed wprowadzeniem zakazu, za ograniczeniem sprzedaży alkoholu w nocy opowiedziało się niemal 55 procent mieszkańców. Ankiety przeprowadzone już po wejściu zakazu w życie, na przykład we wrześniu 2025 roku, pokazywały, że poparcie dla jego utrzymania wynosi niemal 84 procent. Z kolei „tak" dla wydłużenia godzin obowiązywania tego zakazu, na przykład od godziny 22:00 lub 23:00, deklarowało ponad 75 procent ankietowanych.

Wygląda więc na to, że mieszkańcy nie tylko są zadowoleni z obowiązujących zakazów, ale wręcz czują niedosyt. To także częsty argument zwolenników dalszych obostrzeń, na przykład wydłużenia ograniczeń sprzedaży aż do godzin porannych, kiedy to według badań rynkowych najlepiej sprzedają się piwo i małpki. Jest to aż jedna trzecia dziennej sprzedaży.

Wysokie poparcie dla ograniczeń w nocnej sprzedaży alkoholu wydaje się świadczyć o tym, że jako społeczeństwo jesteśmy już otwarci na dalej idące regulacje. Potwierdzają to na przykład wyniki sondaży opublikowane w grudniu 2025 roku przez Ogólnopolską Grupę Badawczą. Wynika z nich, że za pełnym zakazem reklamy i promocji alkoholu jest aż 85 procent respondentów, a ponad 78 procent oczekuje od polityków bardziej zdecydowanych działań w sprawie ograniczenia wczesnej inicjacji alkoholowej wśród nieletnich. Z kolei całkowitego zakazu sprzedaży napojów alkoholowych na stacjach benzynowych domaga się 62 procent respondentów, jak wynika z sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" z lipca 2025 roku (notabene, największe poparcie odnotowano zwłaszcza wśród młodych dorosłych – 69 procent).

Coraz trudniej już więc kolejnym rządzącym ekipom uciekać od tematu alkoholowych ograniczeń, choć mogą mieć one nieoczywiste i daleko idące konsekwencje. Tu jako przykład wystarczy przywołać przewidywania Pauliny Kumkowskiej, radczyni prawnej cytowanej przez portal Newseria Biznes, że wprowadzenie zakazu reklam alkoholu może poważnie uderzyć w kluby sportowe, które stracą głównych sponsorów, których logo nie będzie już mogło być eksponowane na koszulkach zawodników ani na banerach wokół boiska.

Temat ostatnio dość często rozgrzewa Sejm. W listopadzie 2025 roku kontrowersje wywołał marszałek Włodzimierz Czarzasty, który po kolejnych doniesieniach o zakrapianych imprezach posłów w sejmowej restauracji i hotelu zarządził całkowity zakaz sprzedaży alkoholu w budynkach Sejmu. Mariusz Gosek z PiS-u wypominał wtedy, że marszałek zrobił z posłów pijaków.

Z kolei w styczniu 2026 roku zrobiło się gorąco podczas debaty nad nowelizacją ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Oprócz argumentów w rodzaju „pijaństwo w Polsce jest problemem generującym poważne straty finansowe i społeczne" (Anita Kucharska-Dziedzic, Lewica) oraz że powinno się zakazać również reklam alkoholi zero, bo „nie promują abstynencji, zdrowego stylu życia, promują markę alkoholową, styl picia i rytuał spożywania alkoholu" (Wioleta Tomczak, Polska 2050) pojawiało się mnóstwo argumentów wprost przeciwnych, które padały z ust zarówno polityków opozycji, jak i ugrupowań rządzących. Że trzeba „odróżnić patologię od legalnej produkcji i tradycji regionalnych" i że „wiele regionów buduje na tym markę turystyczną" (Łukasz Horbatowski, Koalicja Obywatelska). Że ograniczenia „uderzają w prawo do prowadzenia legalnej działalności gospodarczej", a „świadomy obywatel ma prawo samodzielnie podejmować decyzje i ponosić tego konsekwencje" (Witold Tumanowicz, Konfederacja).

Dyskusje o dalszych ograniczeniach w sprzedaży alkoholu trwają. Polacy w większości są już gotowi na zmiany. Pytanie tylko, kiedy będzie gotowe także nasze państwo.

XX SURVIVAL



Palec w sercu

Przegląd Sztuki

—

26–30.06.2026

Dawna Klinika Psychiatrii
i Chorób Nerwowych UMW

ul. Bujwida 44, Wrocław

www.survival.art.pl

organizatorka

TRANSPARENT
20 lat wspieramy sztukę

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Zadanie pt. „24. edycja Przeglądu Sztuki SURVIVAL pt. »Palec w sercu«" dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

partner generalny

Uniwersytet Medyczny
im. Piastów Śląskich we Wrocławiu

Wrocław
miasto spotkań

Zadanie publiczne pt. „Promocja Wrocławia jako ważnego ośrodka sztuki współczesnej poprzez organizację i przeprowadzenie Przeglądu Sztuki SURVIVAL w 2026 i 2027 roku" jest dofinansowane ze środków Gminy Wrocław | www.wroclaw.pl

ROZMOWA

Aktorstwo bezkarne

z AGATĄ TURKOT *rozmawia* ANNA SAŃCZUK

GŁOS, który czaruje w audiobookach, i ciało, które na ekranie przechodzi przez kręgi piekielne. Agata Turkot – aktorka znana z *Domu dobrego* Wojciecha Smarzowskiego i serialu *Piekło kobiet* Anny Maliszewskiej – o tym, dlaczego aktorstwo to dla niej „bezpieczne laboratorium skrajności".

Dla aktora czy aktorki narzędziem pracy jest własny organizm, a jego podstawowe narzędzia to ciało i głos. Zacznijmy więc może od głosu – to wymiar aktorstwa mniej spektakularny, ale równie istotny. Jak się odnajdujesz w tym obszarze? Jak to jest być głosem?

Uważam, że głosem można zaczarować. Praca nim może być uwalniająca zwłaszcza dla aktorek, które często są oceniane przez pryzmat wizerunku. Tymczasem gdy nikt cię nie widzi, działa magia głosu i osobowości. Uruchamia się jakaś tajemnica zaklęta w aktorstwie, którą coraz bardziej tracimy, bo dziś wszystko jest na wierzchu, każdy aspekt życia aktora można obejrzeć w mediach społecznościowych.

Nagrywając na przykład audiobook, mogę sprawdzać różne intonacje, bo tu praca z dźwiękiem jest dużo bogatsza. Mogę pozwolić sobie na więcej i wybierać takie elementy, które później będę niuansować w aktorstwie pełnoskalowym. Dla mnie to jak plac zabaw. Mam tu różne foremki, z których mogę sobie zbudować mały zamek, za każdym razem inny.

AGATA TURKOT, aktorka teatralna i filmowa. W latach 2018–2022 wcielała się w jedną z głównych ról w serialu TVP1 *Leśniczówka*. Gra rolę głównej bohaterki, Heleny Wróblewskiej w serialu HBO *Piekło kobiet*. Na dużym ekranie zagrała w filmach Wojciecha Smarzowskiego *Wesele* i *Dom dobry*.

Już od dekady użyczasz swojego głosu w audiobookach, byłaś też głosem „Pisma", czytając treści publikowane w magazynie i udźwiękawiając materiały z cyklu Śledztwo Pisma.

Zaczęłam pracować głosem od razu po szkole, łódzkiej filmówce. Już na studiach miałam zajęcia z Krzysztofem Czeczotem, który był pionierem jakościowego udźwiękawiania literatury. To dzięki niemu powstawały wielowymiarowe nowoczesne słuchowiska.

Jak choćby *Biblia Audio. Superprodukcja* trwająca 113 godzin z ponad 400 zaangażowanymi aktorami i aktorkami.

Krzysiek zaczął mnie zatrudniać najpierw do „małych działanek", jak się to u nas w szkole mówiło, a potem pojawiły się większe formy, także praca dla „Pisma". Bardzo doceniam to, że głos i praca z magazynem stały się dziś tak istotne, i że jest nawet parę osób, które na tym zbudowały karierę.

By przywołać choćby Filipa Kosiora – jeden z najbardziej rozpoznawalnych głosów polskiego rynku audiobooków – który nagrał blisko 1000 tytułów i zdobył wiele nagród.

Filip Kosior jest mistrzem! Zaczarowane jego głosem kobiety się w nim kochają, nie wiedząc nawet, jak wygląda. I to jest fantastyczne! Trzeba jednak powiedzieć, że zazwyczaj tymi znanymi głosami są mężczyźni, bo rzekomo ich głosy są najlepsze, najgłębsze. Uważam takie podejście za stereotypowe i obserwuję z radością, że powoli się ono zmienia.

Odchodzi się od idealnego modelu głosowego, w którym królowała przesadnie elegancka polszczyzna i niski,



rysunek NADIA LINEK

ANNA SAŃCZUK, dziennikarka, historyczka sztuki, współautorka podcastów i programów telewizyjnych poświęconych szeroko pojętej kulturze. Z Maciejem Ulewiczem prowadziła program *Kultura do kwadratu* w Polsat News i Polsat News 2. Współpracowniczka magazynu „Vogue Polska" i festiwali Ciało/Umysł, Big Book Festival, Miedzianka Fest.

dudniący tembr. Drobne szorstkości, czy nawet niedoskonałości – ale takie, które są intrygujące i prawdziwe – robią robotę. Ja sama, kiedy czytam, ale też kiedy słucham, nie lubię, gdy materiał jest do bólu perfekcyjny, wymyślony i „wypostaciowany". Wolę prostotę i wyczuwalny charakter lektora, jego unikalną frazę. Dzięki takiej różnorodności audiobooki i słuchowiska są ciekawsze.

Skoro wspomniałaś o cyfrowej rzeczywistości, która nas coraz bardziej pochłania, to jak się odnosisz do tego, że AI coraz częściej zabiera wam – aktorkom i aktorom – ten dźwiękowy wymiar zawodu? Dziś możesz już sobie przecież wypromptować czytanie dowolnym głosem, a niektórzy sprzedają próbki głosu do banków AI, oddając je do dyspozycji algorytmom. Nie obawiasz się tego?
Osobiście nie spotkałam jeszcze takiego przypadku, ale kto wie, co czeka za rogiem. Z jednej strony sztuczna inteligencja bardzo zagraża branżom artystycznym. Z drugiej – cały czas wierzę w to, że wrażliwość ludzka to jest ta cząstka nas, która jest nieuchwytna dla maszyny, nie do przerobienia na algorytmy. W obszarze głosu może rzeczywiście to jest bardziej prawdopodobne, z obrazem trudniej. Ale i tak uważam, że wszystko ostatecznie zależy od odbiorcy, od tego, co on ze sobą wnosi i czego oczekuje. Jeśli słuchacze (i widzowie) będą potrzebowali żywych, prawdziwych ludzi w różnych dziełach kultury, to nadal będzie dla nas praca.

Zostawmy głos i skupmy się na aktorskim ciele, poddawanym skrajnym doświadczeniom. Myślę oczywiście o tych ostatnich, najmocniejszych dwóch momentach filmowych z twoim udziałem, czyli o nagradzanym obrazie Wojciecha Smarzowskiego *Dom dobry* i serialu *Piekło kobiet* Anny Maliszewskiej. W krótkim czasie zagrałaś bohaterki, które trafiają do różnych kręgów kobiecego piekła: przemocowo-współczesnego u Smarzowskiego i przemocowo-patriarchalnego w serialu, którego akcja umiejscowiona jest w 20-leciu międzywojennym, wreszcie sportretowanym bez idealizowania tego czasu. Nie bałaś się zaszufladkowania? Czasem jedna rola sprawia, że wszyscy chcą cię zatrudniać w podobnej konwencji...
Tutaj tak nie było, epoki i bohaterki są jednak odmienne, a wręcz na początku było do rozwiązania kilka kwestii problematycznych, które wiązały się ze mną jako aktorką braną pod uwagę do roli Heleny Wróblewskiej w *Piekle kobiet*. Zaczynając od mojego wieku, który wydawał się nieadekwatny, bo za niski do tej roli. Mimo że od Heleny Wróblewskiej dzieli mnie tylko kilka lat, to ówczesne trzydziestoparolatki wyglądały i nosiły się znacznie poważniej niż dzisiaj, i ja z moją *baby face* wyglądam na co dzień na znacznie młodszą od bohaterki.
Tak zresztą jest, że dzisiejsze trzydziestki widzimy wciąż jako dziewczyny, które wszystko mają przed sobą, a wtedy to były już dojrzałe kobiety, zwykle zamężne i dzieciate (akurat nie Helena i to jest część jej dramatu), których życie toczyło się wyznaczonym, stabilnym torem. Rzeczywiście wszyscy w środowisku już wiedzieli, że zrobiłam film ze Smarzowskim, bo producentem filmu i serialu była ta sama wytwórnia – Warner. Ale *Dom dobry* nie był wtedy jeszcze skończony, więc twórcy *Piekła kobiet* nie mogli się nim sugerować, wybierając mnie do roli Heleny.

Nie mam doświadczeń, o jakich opowiadają historie moich bohaterek. Nie boję się mężczyzn.

W obu tych filmowych opowieściach ciało kobiety jest bite, gwałcone, zmuszane do bycia „rozpłodową samicą", ofiarą niechcianych zabiegów medycznych. Rozmawiałaś z kobietami, które przeszły różne dramatyczne sytuacje, więc z pierwszej ręki wiesz, że to nie jest fikcja. To się przydarza w prawdziwym życiu prawdziwym kobietom. Co się dzieje w ciele i psychice aktorki, kiedy wchodzi na planie w takie sytuacje?
Relacja z ciałem jest dla mnie bardzo istotna z tego względu, że czasami sama siebie mogę oszukiwać, że wszystko jest okej, ale moje ciało w sekundę mi powie, że to nieprawda. I bywa, że ono jest w tym dosyć gwałtowne i bezceremonialne, bo to nie są delikatne sygnały, tylko pojawia się ból i jest koniec. Zaczyna mnie na przykład boleć straszliwie głowa i już wiem, że żadne leki czy masaże mi nie pomogą. Po prostu muszę coś przepracować, zmierzyć się z tym, że przed czymś uciekam. Ciało jest więc dla mnie ważnym sygnałem.
Kiedy doszła do tego jeszcze cała warstwa przygotowań do projektów filmowych i obciążenia, które się tam siłą rzeczy pojawiały, to ciało oczywiście reagowało różnymi bólami. Kiedy grałam w scenie, której częścią był płacz czy przemoc, ciało w oczywisty sposób było w napięciu potrzebnym dla tej sceny, a potem czułam to w mięśniach i innych tkankach, przez cały następny dzień. I to rzeczywiście było dla mnie obciążające. Trudno było odróżnić, co rzeczywiście boli i czy to boli Agatę, czy może Gośkę albo Helenę.

Jak sobie z tym radziłaś? Miałaś na to jakieś sposoby?
Kluczowe było dla mnie spotkanie z Anną Skorupą, moją coachką aktorską. Za moich czasów studenckich w szkole aktorskiej uczono nas wciąż metody Stanisławskiego, czyli wczuwania się we własne doświadczenia straty, bólu, traumy, odwoływania się do trudnych przeżyć, po to, by te emocje się zadziały na ekranie czy w scenie. Nie było właściwie mowy, że można inaczej. Ania uświadomiła mi, że istnieją inne metody, środki i narzędzia. Można je wyćwiczyć tak, że efekt końcowy będzie podobny, a odbędzie się to z większą ochroną dla siebie. Wszyscy mamy swoją wrażliwość, empatię, zmysł obserwacji, wyobraźnię i ich także można użyć zamiast stosowania sposobów grożących aktorowi autodestrukcją

czy załamaniem. Trening z Anią był więc tym brakującym elementem w rozważaniach, jak mam zagrać rolę w *Domu dobrym*, żeby przejść przez ten proces świadomie, ale jednak chroniąc siebie. Ćwiczyłyśmy przede wszystkim właśnie to świadome oddzielenie siebie od swojej bohaterki – skupiając się na tym, by za wszelką cenę cały czas stawiać sobie granicę mentalnie: to jestem ja, to jest ona.
Cieszę się, że Ania się pojawiła na tamtym etapie i metoda zadziałała, bo dzięki oddzieleniu siebie od Gośki, a potem od Heleny, łatwiej mi było z ciałem pracować i to ciało było też dla mnie bardziej wyrozumiałe. Ale musiałam się bardzo pilnować, żeby się nim uważnie i z troską zajmować. Każdego wolnego dnia umawiałam się na masaż, codziennie robiłam jogę czy poddawałam się akupresurze.

Opowiadając historie kobiet manipulowanych i krzywdzonych przez mężczyzn, nie zaczęłaś w pewnym momencie warczeć na facetów wokół siebie?
Nie! To ciekawe, że te role przyszły właśnie do mnie. Pochodzę z rodziny, w której były bardzo silne kobiety, zawsze samostanowiące, zaradne, o mocnych charakterach, takie, które też niestety łatwo przejmowały męskie role. Nie mam więc sama takich doświadczeń, o jakich opowiadają historie moich bohaterek. Nie boję się mężczyzn, nie mam z nimi problemu, a nawet mam poczucie, że od zawsze łatwiej mi się z nimi funkcjonuje, łatwiej jest mi postawić granicę mężczyźnie niż kobiecie.
Ale jednocześnie przecież żyję w tym świecie i zdaję sobie sprawę z międzypłciowych problemów. Tym bardziej poruszające było dla mnie zanurzenie się w ten obszar, przepuszczenie przez siebie sprawy męskiej przemocy wobec kobiet, zobaczenie jej z bliska. Bo dla mnie to kobiety stanowią główny temat – rozmyślań, refleksji i niepokoju.

Co dokładnie masz na myśli?
To, że zwykle kobiety są bardziej skomplikowane, niejednoznaczne w swoich reakcjach emocjonalnych, trudniejsze dla mnie do rozszyfrowania. Też potrafią głęboko ranić, być bardzo przemocowe, nawet jeśli nie fizycznie, to na przykład psychicznie, w bardziej ukryty, subtelny, co nie znaczy, że w mniej niszczący sposób.
Z innej strony patrzę na tę radykalizację, która wydarza się obecnie u nas (i nie tylko), na ten prawicowy skręt w bardzo niebezpieczną stronę, na pogłębianie granic między kobietami a mężczyznami – i mnie to boli.
Dopiero niedawno odkryłam problem manosfery, oglądając na jednej z platform dokument na ten temat. To, że istnieją tacy mężczyźni, którzy się gromadzą i utwierdzają w swojej nienawiści do kobiet, hodują ten zwyrodniały maczyzm – to są dopiero wrota piekielne! Cholernie niebezpieczne zjawisko.

Zamów wydanie specjalne „WOKÓŁ MIŁOŚCI”

W numerze publikujemy nowe teksty, wśród nich:

- Karolina Lewestam analizuje fenomen programu *Love Is Blind*,
- Aga Kozak odsłania przed nami sylwetkę słynnej terapeutki par, Esther Perel,
- Jakub Wątor sprawdza, czy Tinder pomaga znaleźć miłość, czy tylko marnuje nasz czas,
- Maja Hawranek rozmawia z Katarzyną Miller o tym, jak świadomie budować relację z naszymi rodzicami,
- Joanna Gutral w rozmowie z Katarzyną Kazimierowską zastanawia się, czy nie za bardzo koncentrujemy się na sobie.



magazynpismo.pl/
zamow-wydanie-specjalne

Wstrząsnął mną także serial *Dojrzewanie*, który pokazuje przerażającą przemianę dziecka, młodego chłopaka. I teraz pytanie – co my możemy zrobić, żeby takie procesy zatrzymać? W jak ogromnym zagubieniu dzisiaj jesteśmy...

Zapytam cię więc o granice w zawodzie aktorki. Przez ostatnie lata dużo mówiło się o tym, jak wiele jest przemocy w szkołach i zawodach artystycznych. Nie tylko w Polsce. Pamiętam z wywiadów, że ty sama opowiadałaś o trudnych doświadczeniach, które miałaś na studiach w łódzkiej filmówce. Czy czujesz, że twoje pokolenie umie już stawiać wyraźne granice?
Wydaje mi się, że my, obecnie trzydziestoparoletni, jesteśmy pokoleniem granicznym. Myśmy dopiero zaczęli stawiać te granice. Nawet jak patrzę na czas mojego studiowania, to byliśmy jedną nogą w tym, że „tak już jest” i nawet nie umieliśmy nazwać tego, co nam się przytrafia. Na początku nikt z nas nie używał jeszcze słowa „przemocowe”.
W pewnym sensie byliśmy przyzwyczajeni przez wcześniejsze wychowanie do tego, że trzeba się nagiąć, pozwolić tej starszej, stojącej wyżej w hierarchii osobie, żeby

na ciebie nakrzyczała. Wziąć to na klatę i po prostu to znieść, bo tak już musi być. Słyszeliśmy ciągle, że aktor musi mieć skórę nosorożca i wrażliwość motyla. Straszne głupoty!
Ale już drugą nogą byliśmy w takim poczuciu, że chyba coś tu jest nie tak. I powoli próbowaliśmy to nazywać, choć jeszcze w dużym lęku – niby mówię, że jest źle, ale zaraz się chowam, bo wiem, że to będzie miało dla mnie konsekwencję i się tego boję.

Potraficie zadbać o swoje bezpieczeństwo, na przykład na planie czy na scenie? Zwłaszcza kobiety, które od dzieciństwa były wtłaczane w kategorie grzeczności, wstydu i pokory. Takiego podejścia jest coraz mniej, bo świadome matki dziewczynek są już liczne, ale jednak stare modele nadal w jakiejś mierze pokutują w społeczeństwie.
Mam wrażenie, że my zaczęliśmy to robić, ale dopiero pokolenie młodsze ode mnie o 10 lat nie ma żadnych problemów ze stawianiem granic. A nawet mam wrażenie, że czasami ta wajcha idzie za bardzo w drugą stronę, o czym często rozmawiam z moimi rówieśnikami. Bo za stawianiem granic stoi także ogromny lęk przed oceną. Te granice nie tyle chronią, ile zamykają na nowe doświadczenia, na konfrontację i w konsekwencji – na artystyczny rozwój. Ale też na relacje z drugim człowiekiem.
Wydaje mi się, że nasi młodsi następcy mają często duży problem z relacjami, z wejściem głębiej w rozmowę, z byciem z drugim człowiekiem. Co musi mieć też przełożenie na sferę artystyczną. Bo to w końcu praca, która jest zawsze z drugim człowiekiem i o drugim człowieku. Jeżeli jesteś bardziej zamknięta na dialog, na próbę zrozumienia, poczucia czegoś, co jest dla ciebie na początku niezrozumiałe czy trudne, to rzeczywiście jesteś w jakiś sposób ograniczona, chcąc stworzyć jakąś postać i pracować z innymi ludźmi, aktorami.
Czasami trzeba zaryzykować, zejść pod powierzchnię, żeby zmierzyć się z czymś, poczuć się niewygodnie, by móc o tym potem prawdziwie opowiedzieć. Całkowite zatrzaśniecie się w swoim komforcie nie służy aktorowi. Po pierwsze, musisz sam stworzyć tego człowieka, tę postać, którą grasz. Po drugie, praca na planie to praca zbiorowa. Jeśli nie jesteś otwarty na dialog, stawiasz granice za mocno i nie można przekazać ci nawet konstruktywnej uwagi krytycznej, to praca w grupie staje się bardzo trudna.

Czyli to jest też o zaufaniu?
Tak. O zaufaniu, o tym, że jesteśmy razem w jakimś procesie, zależni jeden od drugiego. Musimy więc dać sobie też jakieś pole do dyskusji, szukania nowych rozwiązań. Ale myślę też, że ktoś musi przegiąć, żeby potem to wszystko się zbalansowało i pozwoliło ustawić wskazówkę pośrodku. Młodsze ode mnie pokolenie musi zaryzykować i być może też stracić, żeby za jakiś czas to się po prostu wyrównało.

Całkowite zatrzaśnięcie się w swoim komforcie nie służy aktorowi.

Jako aktorka mogłaś doświadczyć ciekawych i wymagających stron tego zawodu, na co nie każdy aktor ma szansę, bo to jest trudny kawałek chleba. Jeśli się nie trafi na odpowiedniego reżysera, swoją niszę czy swój czas, to się można w tym pogubić. Co ty w aktorstwie znalazłaś dla siebie?
Mam duże szczęście, choć miejsce, w którym się zawodowo znalazłam, to pewnie wypadkowa różnych rzeczy. Zawsze czułam, że to jest właśnie to, co chciałabym robić, i po to mi było to aktorstwo, żeby móc się zmierzyć z tematem, który jest dla mnie trudny, niewygodny. Żeby grać bohaterkę, która jest postawiona przed masą wyzwań, często skrajnych, bo właśnie w takich momentach można się czegoś dowiedzieć o sobie, przetestować siebie. W tych podróżach najważniejsi są jednak ludzie, których na tej drodze spotykam, którzy mnie szalenie inspirują i są wrażliwymi, mądrymi osobami.

Za co ten zawód cenisz? Czego w nim poszukujesz?
Dla mnie aktorstwo jest właśnie podróżą, poznawaniem siebie i swoich granic. Kiedy mówię, że się chowam za bohaterką, to jest prawda. Ale żeby moja bohaterka mogła w to swoje zadanie wejść jak najprawdziwiej, jak najpełniej, muszę swoje granice poszerzać, wychodzić ze strefy swojego komfortu i ryzykować. Bo mimo wszystko to ja, Agata, muszę podjąć ryzyko w imieniu mojej bohaterki i zdecydować, że pozwalam, by ta fala emocji przeze mnie przeszła.
Czyli nie mogę się wstydzić czy mieć ciała zablokowanego w jakimś miejscu. To jest dla mnie nieustający trening i bodziec do rozwoju. W życiu tak naprawdę najwięcej się o sobie dowiadujemy i najbardziej się rozwijamy właśnie w skrajnych sytuacjach, w jakiejś konfrontacji. A prywatnie życzymy sobie przecież jak najmniej takich zdarzeń. Natomiast aktorstwo w odpowiednich okolicznościach pozwala przetestować na sobie takie rzeczy bezkarnie. To rodzaj laboratorium.

Mówiłaś w wywiadach, że byłaś bardzo nieśmiałą dziewczynką. Zastanawiam się więc, z czego urodziła się w tobie aktorka. Mam taką intuicję, że czasem wyjście na scenę może uwalniać nas na chwilę od bycia sobą i to daje ulgę. Zaobserwowałam to kiedyś na przykładzie znajomej dziewczynki w przedszkolnej grupie mojej starszej córki.
To bardzo piękne, co mówisz. I myślę, że to jest w punkt. Byłam nieśmiałym, zamkniętym w sobie dzieckiem, a jednocześnie dużo czułam i miałam zawsze mnóstwo skłębionych emocji – i radości, i smutków. Jeśli masz taką blokadę, będąc dzieckiem – a przecież naturalnie dziecko powinno być ekspresyjne – wtedy musisz sobie

znaleźć jakiś sposób, żeby ten kłąb uczuć z siebie wypuścić. Aktorstwo jest czymś takim.
Bo wchodzisz jednocześnie na scenę i w inną konwencję. Niby wyglądasz jak ty, ale tak naprawdę jesteś Małgosią, Jasiem albo pieskiem czy kotkiem. Umawiamy się wszyscy, że w tym momencie ty to nie jesteś ty. Możesz wyrzucić z siebie to, co tam w środku masz, i potem znowu wejść w buty Agaty – umowa się kończy i nikt już na ciebie nie zwraca uwagi. Jestem przekonana, że właśnie tak było u mnie, tylko że wtedy nie byłam tego świadoma.

A teraz?
Teraz wyraźnie to widzę i czuję. Dostrzegam, że w życiu nie jestem tak odważna, jak czasami potrafię być, kiedy gram.

To znaczy?
Na przykład nie dopuszczam do pewnych sytuacji, które wydają mi się zbyt ryzykowne. Albo czasami nie jestem tak bezpośrednia, może nawet bezczelna w wyrażaniu swoich opinii. Tak beztroska bądź tak spontaniczna jak moje bohaterki. Nie eksperymentuję tak bardzo z życiem na różnych płaszczyznach. Nie wiem, czy to dobrze, ale się z tym pogodziłam.
To, że robiłam produkcje o kobietach i o odnajdywaniu kobiecego głosu, sprawiło, że sporo się dowiedziałam zarówno o sobie, jak i o otaczającym nas świecie. To dość przykra konkluzja, ale jako społeczeństwo nie jesteśmy gotowi na to, by kobieta stawiała granice, mówiła, że coś jej się nie podoba albo jest dla niej niewygodne – i jeszcze robiła to zdecydowanym głosem. Od razu kategoryzujemy takie kobiety jako trudne, nieprzyjemne, sprawiające kłopoty, mające roszczenia.
Natomiast kiedy obserwuję, jak robią to mężczyźni, to jestem zdziwiona, że zamiast tych wszystkich określeń, które są używane w stosunku do kobiet, słyszymy, że ten facet jest liderem, jest zdecydowany, a tamten ma temperament. My, kobiety nieustannie słyszymy zachęty: zacznijcie wreszcie mówić w swoim imieniu. Ale kiedy mówimy – nie słuchają nas.

Mówisz to w imieniu swoich bohaterek czy własnym?
To, że w imieniu moich bohaterek, jest dosyć oczywiste. Ale mówię to też w swoim własnym. Myślę, że przez to, że byłam z moimi bohaterkami w tym kotle piekielnym, mogę swojego głosu używać częściej, żeby z nimi po prostu nie utonąć. Ale kiedy mówię głośniej, to czuję, że te wszystkie określenia przyczepiane do kobiet, które walczą o swoje – te łatki, jak „roszczeniowa", „czepialska", „kłótliwa" i tak dalej (a w moim przypadku: „trudna", „problematyczna") – zaczynają się do mnie pomału przyklejać. I wtedy muszę wykonywać podwójną pracę, żeby to odkręcać.



ORGANIZATOR KINOTEKA
PARTNER TYTULARNY LOT
WSPÓŁORGANIZATORZY
PARTNERZY
WSPARCIE WEALTHON
PATRONI MEDIALNI FILMWEB STRÖER VIVA! Pismo. melo. chillizet ZET

Czyli najpierw się stawiam, dbając o swoje potrzeby, o swoją integralność. Ale kiedy widzę, że to nie jest przez wszystkich dobrze odbierane, jednak się uśmiecham i staram się załagodzić wydźwięk tego, co wcześniej powiedziałam. Tak jakbym musiała w ten sposób coś nadrobić, bo to może mieć dla mnie potem przykre konsekwencje. A ja wcale nie chcę się tak kneblować! I widzę, że żaden mężczyzna nie musi tego robić.

Co dalej?

Nie mam etatu w teatrze, jestem freelancerką, co daje pewną swobodę wyboru, ale ta sytuacja miewa też ciemne strony.

Nigdy nie chciałaś być na stałe w teatrze? Bo wiem, że to jest marzenie wielu aktorów. Ten etat ma im dać poczucie (często złudne) bezpieczeństwa, przynależności do jakiegoś miejsca i społeczności. Jak jest, jak było z tobą?

Nie szukam etatu i to jest mój świadomy wybór. Dla mnie wejście w ustaloną strukturę, w której jest jakaś hierarchia, niekiedy prawie feudalna, jest trudne, bo ogranicza moją wolność i ekspresję twórczą. Jak patrzę, z jakimi problemami borykają się moi koledzy, kiedy chcą się zwolnić na zdjęcia próbne albo ustalić wakacje, którzy muszą o wszystko prosić, czuję, że to nie dla mnie.

Poza tym, jak sobie wyobrażę, że trafiam do zespołu, grupy ludzi, nad których wyborem nie mam kontroli, to też jest dla mnie trudne. W filmie czy serialu to jest na chwilę, a w teatrze to już długofalowe zobowiązanie. Możesz trafić super, ale możesz też czuć się niekomfortowo. Dla mnie poczucie, że mogę się odważyć rozluźnić przy kimś, być sobą, jest bardzo, bardzo ważne. Nie w każdej grupie potrafię się tak otworzyć.

To wszystko właśnie sprawia, że etat w teatrze nie jest moim marzeniem. Co przez to tracę? To, że gram mało na scenach. Ale ponieważ uważam, że teatr jest teraz w okresie dużego kryzysu, nie mam też obecnie żadnego wielkiego marzenia z nim związanego.

Co dalej zatem?

Na razie spokojnie obserwuję, coś tam się u mnie pojawia, ale na razie nic tak spektakularnego jak *Dom dobry*. Pytanie, czy to musi być takie?

To była tak potężna przygoda i wyzwanie, z tak wspaniałymi ludźmi, że teraz... Nie to, że mi się nie chce, ale dziwny jest to moment. Szukam wyzwania, ale też równowagi. Bo z jednej strony cały czas chcę grać i chcę się utrzymywać z tego zawodu, co znaczy, że muszę go uprawiać w miarę regularnie. Ale z drugiej – na pewno chciałabym zrobić coś, co jest dla mnie odświeżeniem. Czyli coś jaśniejszego, z poczuciem humoru, żeby wypróbować siebie w innej konwencji.

Poczucie, że mogę się odważyć rozluźnić przy kimś, być sobą, jest bardzo ważne.

Gdybyś powiedziała, że robisz sobie przerwę, też bym zrozumiała.

Tylko teraz pytanie – czy ja sobie robię przerwę, bo chcę, czy dlatego, że muszę? W Stanach jak ktoś się dobrze zaprezentuje, potem rzeczywiście jest masa propozycji i można w nich przebierać. U nas to tak nie wygląda, branża działa zupełnie inaczej i nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. W ciągu ostatnich miesięcy premierę miały wszystkie produkcje, w których brałam udział w ostatnich latach jako aktorka. Powstaje więc wrażenie, że jestem wszędzie, a to jest kompletne zafałszowanie sytuacji. Gdybym mogła wybrać, sprawiłabym, że pojawia się jedna moja premiera na pół roku.

Tomek Schuchardt, z którym grałam w *Domu dobrym*, powiedział mi kiedyś na planie: „Agata, po tym filmie to tobie nie będzie się za bardzo chciało grać. Zobaczysz, będziesz czytała te scenariusze i myślała: «nie jest najlepiej»". Ja na to: „Tomek, co ty, przecież zrobiłam dopiero jeden duży film, jeszcze tyle mogę pokazać!". Wtedy się z tego śmiałam, dziś rozumiem, co miał na myśli. Poprzeczka została zawieszona wysoko.

Tak ciekawe scenariusze, które do tego poruszają ważne społecznie tematy, i tak wielowarstwowe role, nie zdarzają się często. Wybierasz spośród propozycji, które akurat do ciebie trafiają. Zwykle to jest próba rozważenia wszystkich „za" i „przeciw" i dokonania najlepszego wyboru w danym momencie.



rysunek HENRYK DERWICH

POEZJA

Zastanawiam się często czy tam, gdzie jesteś

ANA BLANDIANA

—

Zastanawiam się często czy tam, gdzie jesteś, przydaje ci się to, czego nauczyłeś się tutaj, czy też musisz się wszystkiego uczyć, jak ktoś, kto przychodzi na świat i uczy się chodzić i mówić.

Możliwe, że aby przyjść na tamten świat, musisz narodzić się na nowo (przyjść na świat oznacza właśnie narodzić się) i (tak jak tutaj nie pamiętamy niczego z tego, kim byliśmy przed narodzinami) nie będziesz pamiętał niczego ze świata, który był nasz.

I nadal jest mój.

Przełożyła Joanna Kornaś-Warwas

ANA BLANDIANA

poetka rumuńska. Przed rewolucją 1989 roku była słynną dysydentką i obrończynią praw człowieka. Autorka wielu tomów, laureatka m.in. Nagrody Europejski Poeta Wolności (2016) i Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta (2026). Wiersz pochodzi z tomu *Zapada we mnie cisza*, który ukazał się nakładem wydawnictwa Pogranicze.

Życie na wulkanie

tekst MIROSŁAW WLEKŁY

W CHILE JEDEN Z najsłynniejszych drinków nosi nazwę Trzęsienie Ziemi, po nim serwuje się jego mniejszą wersję, czyli Wstrząsy Wtórne, a lokalny market reklamuje się hasłem „Erupcja niskich cen". Nie bez powodu – to kraj, którego historia i teraźniejszość przypominają aktywny, gotowy do kolejnej erupcji wulkan.

Z lotniska do wynajętego mieszkania w Santiago dojeżdżam o drugiej nad ranem i od razu udaję się na zakupy do sklepu nocnego. Ulice są wyludnione, stolica smacznie śpi, przy zakratowanym okienku zagaduję do kilku śniadych, podchmielonych emigrantów z Wenezueli.

Imigracja. To chyba najbardziej zapalny temat minionego roku w Chile. Kraj stał się jednym z głównych celów uciekinierów z pogrążonej w chaosie Wenezueli. W 1992 roku emigranci w Chile stanowili 0,8 procent ogółu ludności, w ubiegłym roku było ich już 8,8 procent – i ta liczba coraz szybciej rośnie. Wśród 18 milionów mieszkańców kraju aż 1,6 miliona stanowili w 2024 roku obcokrajowcy, dwa razy tyle co w 2017 roku. Największą grupą są Wenezuelczycy – stanowią aż 41,6 procent wszystkich imigrantów. A największym demonem, hasłem-wytrychem przeciwko nawet umiarkowanej lewicy i postrachem konserwatywnego społeczeństwa, jest straszenie wizją przemienienia Chile w drugą Wenezuelę.

Tamtej spokojniej nocy, 3 stycznia 2026 roku, żaden z tych mężczyzn – o nieobecnym wzroku i zatroskanych o swój los twarzach – nie może wiedzieć, że do ich stolicy, Caracas, właśnie zbliżają się amerykańskie siły. I że 80 osobom przyniosą śmierć, ujmą prezydenta Nicolása Maduro i wywiozą go do Stanów Zjednoczonych.

Nazajutrz rozgrzane słońcem ulice Santiago pulsują radością Wenezuelczyków oraz dźwiękami merengue (żywiołowej muzyki tanecznej z Karaibów) i reggaetonu (mieszanki hip-hopu i rytmów latynoskich), które – zbyt głośne jak na chilijskie przyzwyczajenia – wydobywają się z głośników samochodów. Tym razem jednak ta muzyka to miód na serce wielu mieszkańców stolicy. W otwartych oknach aut, które przemykają arteriami miasta, powiewają wenezuelskie flagi. Chilijscy przechodnie machają Wenezuelczykom na powitanie, kierowcy trąbią klaksonami – nie tylko ze zwykłej życzliwości, pewnie też z ulgą na myśl o rychłej wyprowadzce imigrantów z ich kraju.

Do Chile trafiam między wyborami a objęciem urzędu przez nowego prezydenta. Zostaje nim José Antonio Kast, prawicowy populista i zwolennik dyktatury Augusta Pinocheta rządzącego Chile w latach 1973––1990. Już w poprzedniej kampanii przed wyborami prezydenckimi w 2021 roku, które nieznacznie przegrał z Gabrielem Boricem, kandydatem lewicy, Kast obiecywał uwolnienie skazanych funkcjonariuszy dyktatury, zaostrzenie prawa aborcyjnego, wycofanie się z Rady Praw Człowieka ONZ oraz budowę więzień. Zapatrzony w wydarzenia w USA, używał hasła „Przywróćmy Chile wielkość". W ostatniej kampanii mówił też o budowaniu na granicach zapór i wysyłaniu wojska na najbardziej zapalne tereny, którymi jego zdaniem są granice, miejsca protestów rdzennych mieszkańców – Mapuczów [ludność zamieszkująca środkową i południową część Chile oraz południowo-zachodnią Argentynę – przyp. red.], czy w celu odzyskania regionów „zdominowanych przez narkotyki".



Antyrządowe protesty w Santiago w 2019 roku. Demonstranci wznoszą flagę ludu Mapuczów oraz wizerunek Víctora Jary, chilijskiego piosenkarza i aktywisty politycznego, zamordowanego w 1973 roku przez reżim Pinocheta

zdjęcie CRISTIAN CASTILLO, UNSLPASH

MIROSŁAW WLEKŁY, reporter, pisarz, scenarzysta. Autor m.in. książki *Nie nasz papież. Pontyfikat Jana Pawła II na świecie*. Współautor (wraz z Katarzyną Szyngierą i Marcinem Napiórkowskim) dokumentalnych spektakli, w tym *1989*. Autor pierwszego sezonu Śledztwa Pisma oraz audioserialu *Spiskowa teoria wszystkiego*.

14 grudnia 2025 roku w drugiej turze wyborów José Antonio Kast zdobył 58,2 procent głosów. Po zwycięstwie oświadczył, że nielegalnym imigrantom daje czas na dobrowolny wyjazd z Chile; jeśli tego nie zrobią, czekają ich sądy i deportacje.

Ojciec Kasta był nazistą. W wieku 17 lat wstąpił do Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, następnie do Wehrmachtu. Walczył we Francji, Włoszech i w Ukrainie. Pojmany przez Amerykanów, zdołał zbiec. Unikał odpowiedzialności, ukrywając się pod fałszywą tożsamością pracownika Czerwonego Krzyża. W 1950 roku uciekł z Europy, rozliczającej Niemcy z przeszłości, i osiedlił się w Chile. Ponad dekadę później jego rodzina założyła tam fabrykę bawarskich wędlin, a jeszcze później starszy brat obecnego prezydenta, Miguel, był ministrem planowania narodowego oraz ministrem pracy i opieki społecznej w rządzie Pinocheta.

W obszernym wywiadzie opublikowanym w prawicowym dzienniku „El Mercurio" Óscar Contardo, dziennikarz, pisarz i publicysta znany z lewicowych przekonań, zapytany o największe wyzwanie dla nowego rządu, powiedział: „Zbudowanie narracji na przyszłość, której Chilijczycy rozpaczliwie potrzebują. Zbiorowego entuzjazmu. Co więcej, rząd będzie musiał obniżyć oczekiwania, które sam rozbudził. Na przykład nie da się wydalić 300 tysięcy migrantów. Myślę, że nasze społeczeństwo jest emocjonalnie wyczerpane, ale gniew w nim pozostaje".

O tym, dlaczego sprawa Wenezuelczyków tak bardzo nurtuje Chilijczyków, Contardo mówił: „Myślę, że w porównaniu z większością Ameryki Łacińskiej znacznie się różnimy. W Chile mamy między sobą specyficzne relacje i na swój sposób rozwiązujemy konflikty, zupełnie inaczej, niż robią to w Kolumbii, Argentynie czy Peru. Od 300–400 lat wciąż pozostajemy tacy sami, a w Argentynie tak nie jest. Chilijczycy, od klasy robotniczej w górę, nie lubią nieporządku. Więc kiedy ściąga tu olbrzymia emigracja latynoamerykańska, poradzenie sobie z tym faktem sporo nas kosztuje. Na przykład wiele osób nie jest w stanie znieść głośnej muzyki w nocy. I oczywiście, to pragnienie porządku prowadzi nas tylko do pozornych zmian".

O świcie zaczynam wędrówkę po stolicy kraju, który się nie zmienia, by zaglądając w jego historię i współczesność, przekonać się, co drzemie w chilijskiej duszy.

—

W STYCZNIU jest tu pełnia lata, więc ostre, wschodzące słońce odbija się od ścian wieżowców i rzuca na ulice długie cienie. „Santiago – pisał Jarosław Iwaszkiewicz w *Listach z podróży do Ameryki Południowej* – leży w dużej dolinie, wygrzanej jak patelnia, ze wszystkich stron otoczonej górami" i takie też je tu zastaję. Słońce niemiłosiernie przypieka tę patelnię, więc wzrok ucieka ku górom, na których wierzchołkach wciąż mieni się śnieg. „Wycieczki na narty z pomarańczami w plecaku są tu podobno na porządku dziennym" – dziwił się polski literat.

Chile jest wąskie, przypomina uniesiony w górę pistolet typu Colt z rękojeścią u dołu, ma długość 4300 kilometrów, a Pablo Neruda, chilijski poeta, w swoim wierszu nazywał je „długim płatkiem morza, wina i śniegu".

Zdumienie sąsiedztwem urodzajnej, ogrzanej słońcem doliny i gór o białych szczytach wyrażają niezmiennie od wieków przyjezdni. Dzisiaj – turyści. Niegdyś – konkwistadorzy. „W pełni lata niebywale wysokie góry na horyzoncie były zwieńczone śniegiem" – zachwyca się główna bohaterka *Inés, pani mej duszy*, powieści Isabel Allende inspirowanej prawdziwymi wydarzeniami. Kochankowi Inés, „zdobywcy" tych ziem, Pedrowi Valdivii, „wystarczyło jedno spojrzenie (...) niebo barwy intensywnego błękitu, powietrze przesycone światłem, bujny las i żyzna ziemia, skąpana przez strumienie i wezbraną rzekę Mapocho; oto było miejsce przeznaczone nam od Boga, abyśmy założyli w nim pierwszą osadę" (przeł. Marta Jordan). Po 13 miesiącach marszu z Cuzco, w lutym 1541 roku, u stóp wzgórza Huelén konkwistadorzy przystąpili do budowania Santiago de la Nueva Extremadura.

Wspinam się tam, na szczyt skalistego parku w centrum ośmiomilionowej aglomeracji. Wzgórze – pełne drzew, krętych schodków i zaskakujących zaułków – daje przepełnionemu miastu wytchnienie i względną ciszę. Z jego najwyższego punktu widać stołeczne wieżowce, miasto rozciągające się aż po zamknięty wysokimi górami horyzont. Choć dzisiaj nazywa się a (Wzgórze Świętej Łucji), o dawnej nazwie i przeszłości przypomina wznosząca się ponad park statua Caupolicána, wodza Mapuczów, który przeciwstawiał się Hiszpanom w XVI wieku. „Huelén" w języku Mapuczów – *mapudungún* – oznacza „wzgórze smutku", a Iwaszkiewicz zastanawiał się, „czy nazwane było tak po zdradzieckim zamordowaniu przez założyciela Santiago, «dzielnego Valdivii», szefów plemion indiańskich, którzy z gałązką drzewa cynamonowego przyszli do niego na rokowania na to wzgórze".

—

W STOLICY CHILE jestem przelotem. Ruszam stąd na południe, przez okolice zupełnie niepodobne do znanych mi latynoamerykańskich pejzaży. Nie ma tu brazylijskiego turkusu morza, tamtejszego rozśpiewania i roztańczenia, nie widać regionalnych strojów jak w Peru czy Boliwii, nie czuć żywiołu Kolumbii ani nawet argentyńskiego rozmachu i dumy. Jest za to prawie polski krajobraz i śródziemnomorskie słońce, są niezmiernie życzliwi, jednak na swój sposób zdystansowani ludzie i pewien amerykański sznyt z wszelkimi jego przywarami, jak nieprzywiązywanie wagi do (tak ważnego dla innych Latynosów) smaku – z nie najwyższych lotów fast foodem i rozpuszczalną kawą na czele.

Udaję się ponad 500 kilometrów na południe, by w mieście Los Ángeles w regionie Biobío dołączyć do kolejnego etapu organizowanych przez Stowarzyszenie Afryka Nowaka (upamiętniające polskiego podróżnika i pioniera reportażu, Kazimierza Nowaka) *Dzienników rowerowych*, reporterskiej sztafety, która od października ubiegłego roku przemierza Amerykę Południową. Na mapie tego kraju o najdziwniejszym na świecie kształcie Biobío to zaledwie okruch. Chile jest wąskie, przypomina uniesiony w górę pistolet typu Colt z rękojeścią u dołu, ma

ROWEREM PRZEZ CHILE

Wspomniane w tekście miejsca odwiedzone przez autora



długość 4300 kilometrów, a Pablo Neruda, chilijski poeta, w swoim wierszu nazywał je „długim płatkiem morza, wina i śniegu".

Po drodze kierowca, Patricio, opowiada o trzęsieniach ziemi, które nieustannie gnębią kraj, tak częstych, że zdążyły już spowszednieć mieszkańcom. – Dokładnie na tej szerokości geograficznej, na wybrzeżu, w lutym 2010 roku mieliśmy tu drugie najsilniejsze trzęsienie ziemi w historii – wspomina klęskę o magnitudzie 8,8, która pochłonęła ponad pół tysiąca ofiar śmiertelnych. I przywołuje wspomnienie o najsilniejszym na świecie wstrząsie, o nigdy wcześniej ani później niespotykanej magnitudzie 9,5. Miał miejsce w maju 1960 roku, z epicentrum w Valdivii, oddalonej od Los Ángeles około 400 kilometrów na południe, dziś uważanej za jedno z najpiękniejszych chilijskich miast. Zginęło wtedy ponad półtora tysiąca osób.

Podczas rozmowy z Patriciem po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że przyjechałem do kraju, którego historia i teraźniejszość przypominają aktywny, gotowy do kolejnej erupcji wulkan.

—

PO ZAŁOŻENIU SANTIAGO konkwista zaczęła się posuwać dalej na południe. Hiszpanie – jak pisze Isabel Allende w swojej powieści – „najpierw wbijali w ziemię krzyż i sztandar, jeżeli był wśród nich ksiądz, to odprawiał mszę, następnie wznosili pręgierz albo szubienicę i zaczynali ścinać drzewa, aby wybudować obronny mur i chaty". Tak powstawały kolejne osady i miasta w dorzeczu rzeki Biobío. Często w pobliżu płuczni złota. I wkrótce „nie było już innej monety, jak tylko złoto. (...) W ten sposób spełniło się marzenie konkwistadorów i nikt już nie śmiał nazywać Chile «krajem oberwańców» ani «grobowcem Hiszpanów»".

– Znajdujemy się w miejscu styku dwóch światów, Mapuczów i konkwistadorów, którzy dotarli na te ziemie – opowiada nam Natalia Matus, dziennikarka z Los Ángeles. To właśnie tutaj rozpoczynamy naszą rowerową wyprawę, w mieście leżącym na granicy dawnych konfliktów, wymiany handlowej i kulturowej rdzennych mieszkańców tych ziem oraz ich najeźdźców.

Stoimy w mrocznym holu, dookoła podświetlone gabloty, a w nich skarby dawnych mieszkańców tej ziemi.

– Terytorium Mapuczów znajduje się na olbrzymim obszarze rozciągającym się od miejsca, gdzie wschodzi słońce, czyli dzisiejszej Argentyny, po miejsce, gdzie zachodzi, czyli Chile – wyjaśnia Claudio Godoy z Miejskiej Korporacji Kulturalnej (Corporación Cultural Municipal de Los Ángeles, CCMLA), oprowadzając nas po wystawie *Lepün Küifi Kimün*, gdzie przeniesiono kolekcję mapuczańskich ozdób z Muzeum Alta Frontera, zniszczonego, a jakże, podczas trzęsienia ziemi w 2010 roku.

Alta Frontera, Wysoka Granica, bo tu przebiegała nieprzekraczalna dla Hiszpanów granica konkwisty. Opór Mapuczów trwał prawie 300 lat. Znając dobrze teren, szybko przestawili się na wojnę partyzancką – unikali bitew, urządzali zasadzki. Nauczyli się posługiwać przywiezioną przez Hiszpanów bronią i konnicą. W przeciwieństwie do Inków nie mieli władzy centralnej, więc w miejsce pokonanej grupy zaraz pojawiała się kolejna. Dodatkową barierą były gęste lasy, rzeki i bagna na południe od Biobío. Dopiero w 1881 roku ziemie Mapuczów ostatecznie włączono w granice niepodległego Chile.

Choć Los Ángeles dumnie nazywa się Miastem Aniołów, jego historia daleka jest od świętości i niebiańskiej sielanki. To miasto naznaczone terrorem, uciskiem i krwią. Powstało bowiem jako twierdza strzegąca to niespokojne pogranicze. Założył je 26 maja 1739 roku hiszpański gubernator José Antonio Manso de Velasco i nadał mu nazwę Villa de Nuestra Señora de Los Ángeles, odwołującą się do katolickiej tradycji Matki Bożej Anielskiej, pod której opiekę powierzano wiele powstałych w tamtych czasach osad.



Statua wodza Mapuczów Caupolicána w Santiago

Na wystawę *Lepün Küifi Kimün* dotarliśmy spóźnieni, ale pracownicy CCMLA otworzyli ją specjalnie dla nas. Wewnątrz pokazali nam kolekcję eksponatów, głównie ozdób, o wyjątkowym znaczeniu kulturowym dla Mapuczów. Nazwa „Lepün Küifi Kimünma" ma głęboką symbolikę w ich kulturze. „Lepün" odnosi się do przestrzeni spotkań, a „Küifi Kimün" do głębokiej myśli, czyli *rakiduam* (w języku *mapudungún*: myśl, inteligencja lub umysł). Obejmuje ona cały światopogląd Mapuczów – system wierzeń i wartości, a także aspekty duchowe, społeczne i terytorialne. Znajduje też odzwierciedlenie w zgromadzonej tu kolekcji złotnictwa, jednym z najgłębszych i najbardziej złożonych przejawów kultury Mapuczów. Każdy przedmiot ma znaczenie, oprócz praktycznego zastosowania niesie również wartość duchową i filozoficzną.

Innym przejawem ciemiężenia Mapuczów była okupacja Araukanii w latach 1861––1883, rozciągającej się na południe krainy, zgodnie z planem pacyfikacji wprowadzonym przez chilijskie władze w 1860 roku. Zakładanie miast, budowa dróg, tworzenie szkół i placówek opieki medycznej miało przyspieszyć kolonizacyjne cele. Rdzenną ludność postrzegano jako czynnik hamujący rozwój. Mapuczów pozbawiano większości praw, utrudniano im praktyki religijne i kulturowe. Państwo czerpało z obszarów Araukanii coraz większe korzyści, nie oferując jej rdzennym mieszkańcom nic w zamian, co jeszcze bardziej zaogniało spór. Ponadto rząd zaczął wprowadzać uprawę monokulturową, co skutkowało niedoborem wody i degradacją ziemi. Działania, które władze widziały jako symbol postępu, z perspektywy Mapuczów stały się próbą redefiniowania ich tożsamości.

Kolejnym istotnym etapem konfliktu między Mapuczami a władzami w Chile był zamach stanu w 1973 roku, na którego czele stanął generał Pinochet. Zgodnie z jego przekonaniami mniejszości narodowe czy etniczne stały na przeszkodzie zjednoczeniu narodu. Reformy gospodarczo-ekonomiczne za czasów jego dyktatury zakładały też maksymalne wykorzystanie zasobów naturalnych, co stało w sprzeczności z tradycyjnym podejściem rdzennej ludności do ziemi. Rząd nie przejmował się jednak losem i potrzebami Mapuczów. Odsuwano ich od współtworzenia państwa. Byli zbędni, a ich opór stawał się uciążliwym balastem.

Spór trwa do dziś. W chilijskim społeczeństwie wciąż funkcjonują stereotypy i uprzedzenia. Sondaż z 2020 roku ujawnił, że aż 76 procent respondentów uważa, że Mapucze są dyskryminowani. Oznaczałoby to, że nawet dyskryminujący zdają sobie z tego sprawę. Konflikt wraca i zaostrza się co jakiś czas. Zaledwie rok po przeprowadzeniu badania ówczesny prezydent, Sebastián Piñera, wprowadził stan wyjątkowy w czterech prowincjach zamieszkanych przez Mapuczów i wysłał tam wojsko.

Była to reakcja na konflikt rdzennej społeczności z białymi osadnikami i przedsiębiorstwami eksploatującymi naturalne bogactwa, choć prawicowy rząd przedstawiał to jako przeciwdziałanie narkobiznesowi, terroryzmowi i przestępczości zorganizowanej. Jest w tym odrobina prawdy, bo Mapucze, broniąc swojej ziemi i kultury, dopuszczali się „aktów terrorystycznych", a ich starcia z policją pochłonęły w ostatnich latach według różnych szacunków od 20 do około 100 ofiar śmiertelnych.

– Z wykluczeniem próbują walczyć na wszelkie sposoby: organizują strajki i protesty, podkreślają swoją tożsamość, tradycje i pamięć o historii. Coraz śmielej przebijają się do świadomości społecznej, opowiadając o własnej odrębności czy też praktykując swoje związane z ziemią i przyrodą obrzędy religijne. Los Ángeles wciąż zamieszkuje spora populacja Mapuczów, podobnie jak wiejskie tereny regionu – opowiada Natalia Matus. W regionie Biobío jest ich prawie 150 tysięcy.

—

PRZYGOTOWUJĄC SIĘ do podróży do Ameryki Południowej, oglądałem chilijskie filmy, nie tylko po to, by poznać ten kraj, ale też by

zdjęcie SIMONE DINOIA UNSPLASH

osłuchać się z jedną z najtrudniejszych na kontynencie – jak się powszechnie uważa – odmian języka hiszpańskiego. Większość tych obrazów miała jednak mroczny wydźwięk – opowiadały o krwawej dyktaturze Pinocheta lub o wydarzeniach z nią związanych. Jak choćby o sekcie Paula Schäfera. Trzy dni i około 220 kilometrów po starcie etapu docieramy do miejsca, gdzie dział się koszmar, o którym za chwilę dowiem się więcej.

Droga w końcu pnie się ku górze – to zapowiedź Andów, które musimy pokonać w drodze do Argentyny – i wjeżdżamy do lasów tak rozległych i gęstych, jakich w Chile dotąd nie widzieliśmy. Po raz pierwszy naprawdę czujemy w nogach, czym są tutejsze wzniesienia. Na horyzoncie falują zielone wzgórza, coraz wyższe za każdym zakrętem. Widoki przypominają zielone zbocza Alp, zupełnie jak w Bawarii, na czerwonych pikapach widać naklejki z flagą Niemiec. Na rozstaju dróg zaczepia nas wysoki mężczyzna koło siedemdziesiątki. Nazywa się Friedhelm Zeitner i jest właścicielem baru z fast foodem. – *Wir essen zu Abend* („Jemy kolację") – zaprasza nas na posiłek i pyta, czy znamy niemiecki. Nie możemy skorzystać z jego propozycji, musimy jechać dalej. Czeka na nas właściciel domku, w którym się zatrzymamy, zanim przeniesiemy się do bawarskiego hotelu w Villi Baviera.

Zeitner z niemieckiego przechodzi na – choć urodził się i mieszka w Chile – twardy, niezbyt zgrabny i ubogi w słownictwo hiszpański. – Ja też się tam wychowałem – nagle zagaja. I choć przyznaje, że niełatwo mu o tym mówić, bez skrępowania streszcza nam swoją historię. – Villa Baviera dawniej nazywała się Colonia Dignidad. Byłem jednym z pierwszych trojga dzieci, które się tu urodziły. W 1963 roku. Dwa lata wcześniej przybyli tu niemieccy osadnicy. Miejsce to ma swoją wielką historię i mroczną stronę. Teraz już wiemy, że żyliśmy w sekcie, a jej lider, znany w całym świecie Paul Schäfer, molestował i gwałcił dzieci. I ja niestety też jestem ofiarą tego człowieka.

Ponad sześć dekad temu niemiecka kolonia powstała tu pod szyldem organizacji dobroczynnej. W rzeczywistości pod tą przykrywką funkcjonował opresyjny ośrodek chilijskiej dyktatury Augusta Pinocheta – centrum nielegalnych więzień i tortur.

Podobną organizację, pod szyldem prywatnej misji chrześcijańskiej, Schäfer założył już w Niemczech. Podejrzewany o pedofilię, musiał uciekać. W 1961 roku z grupą swoich niemieckich wyznawców przypłynął do Chile. Zamierzali pomagać ludziom po trzęsieniu ziemi, więc rząd podarował im duży teren na odludziu, w pobliżu granicy z Argentyną. Osadzie Schäfer nadał nazwę Colonia Dignidad (Kolonia Godność). W miejscu, które nazwał Placem Rzeszy, kazał spalić prywatne, przywiezione z ojczyzny rzeczy – najpewniej by odciąć mieszkańców kolonii od grzesznego świata i by skupili się na budowaniu jedynego raju na ziemi. Oddzielał dzieci od rodziców, a wszystkich zaprzęgał do ciężkiej pracy w zakładach produkcyjnych (początkowo stolarskich, później nawet przy produkcji broni) lub na polu. Dzięki bezwzględnemu podporządkowaniu sobie tych dzieci stworzył wydajnie prosperujące przedsiębiorstwo rolniczo-produkcyjne.

Rdzenną ludność postrzegano jako czynnik hamujący rozwój. Mapuczów pozbawiano większości praw, utrudniano im praktyki religijne i kulturowe.

Z czasem zaczął przygarniać też dzieci chilijskie. Ubodzy rodzice oddawali je za obietnicę wyżywienia, edukacji i opieki zdrowotnej. Niektórzy nigdy już się nie zobaczyli. Schäfer rozdzielał mieszkańców Colonii Dignidad według płci i zabraniał im wzajemnych kontaktów. W stosunku do kobiet nie używał imion. Nazywał je „świniami" lub „zgniłymi klopsikami". Spowiadał i żądał zwierzeń o seksualności, a gdy je usłyszał – karał. Na początku lat 70. zwolenników Salvadora Allendego [prezydent Chile w latach 1970–1973, obalony w wyniku zamachu stanu – przyp. red.] nazywał „brudnymi świniami".

W obawie przed komunistami – jak mówił – otoczył kolonię ogrodzeniem, które podłączył do prądu. Od tego momentu jej mieszkańcy żyli jak w więzieniu. Mężczyzn uzbroił w pistolety. Za niesubordynację karał elektrowstrząsami i zastrzykami – medycznymi eksperymentami, które, jak wierzył, miały pozwolić chilijskim dzieciom zatrzeć pamięć o rodzicach komunistach. Złamani sposobem wychowania, podopieczni Schäfera rzadko się buntowali.

Z czasem sam zajął miejsce „cioć" przy kąpaniu chłopców. Przez dziesięciolecia molestował kolejne pokolenia. Ulubionych mianował „sprinterami" – tytuł ten pozwalał podopiecznym nieustannie przebywać w pobliżu Schäfera, sypiać z nim, a także nosić broń.

Gościł u siebie Pinocheta. W porozumieniu z jego reżimem w Colonii Dignidad urządził miejsce tortur i wymierzania kary śmierci opozycjonistom. Pozwolił dyktatorowi ulokować tu laboratoria prowadzące badania nad sarinem [silnie toksyczny gaz – przyp. red.], który miał zostać użyty w sporze granicznym z Argentyną. Stałym gościem Schäfera, a z czasem nawet mieszkańcem, bo gospodarz wybudował dla niego dom, był Manuel Contreras, szef tajnej policji (Dirección de Inteligencia Nacional, DINA). Colonia Dignidad to jedyne w Chile miejsce kaźni z tamtych czasów, w którym oprawcom udało się zatrzeć wszelkie ślady.

W 2005 roku ukrywającego się Schäfera odnaleziono w Argentynie, a sąd w Chile skazał go na 20 lat więzienia. W tym samym roku Colonia Dignidad oficjalnie przestała istnieć. W 2010 roku, mając 88 lat, Schäfer zmarł w więziennym szpitalu w Santiago. Osada została przekształcona w rodzaj rolniczo-turystycznej spółdzielni, niby otwarta na świat (wciąż mówi się tu głównie po niemiecku, a wstęp jest biletowany) i przemianowana na Villę Baviera, czyli Bawarską Wioskę. Obecnie mieszka tu 110 osób.

Naszego gospodarza, Friedhelma Zeitnera, oraz inne dzieci w Colonii Dignidad po urodzeniu oddzielono od rodziców. – Dorastaliśmy w tworzonych przez Schäfera grupach, którymi opiekowali się ludzie nazywani „ciociami" i „wujkami". Nie mieliśmy profesjonalnej edukacji, nie było tu nauczycieli, szkoła była improwizacją, dlatego po zlikwidowaniu sekty byliśmy zupełnie bez wykształcenia, właściwie analfabetami. Czysto mówiliśmy po niemiecku i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w kraju,

w którym mieszkamy, mówi się po hiszpańsku. Nie komunikowaliśmy się z zewnętrznym światem. Wizyty z zewnątrz skrupulatnie kontrolowano – opowiada Zeitner.

– Przez 40 lat nie dostałem za swoją pracę ani jednego peso. Mieliśmy zapewniony dach nad głową, jedzenie i ubrania, ale nie mogliśmy mieć pragnień. Nie wiedzieliśmy o istnieniu sklepów. Wszystko poza naszą kolonią według Schäfera pochodziło od Szatana. Siebie uważał za półboga, głosił słowo boże, interpretując je na swój sposób, a my pozostawaliśmy posłusznymi psami, bez wiedzy i horyzontów, żyjącymi wyłącznie według jego kryteriów – kontynuuje.

– Mówił, że poza naszą kolonią świat jest wystawiony na nieustanne pokuszenie i kieruje nim demon. I tylko tutaj istnieje wybrany przez Boga raj. Nie pozwalał też zakładać rodzin. Nie można było nawet o tym myśleć, bo czekały nas kary. Bito nas kijami, wężem, oblewano wodą. Rozbierano do naga, stosowano elektrowstrząsy. Byłem już dorosły i nie wiedziałem, skąd się biorą dzieci. On mówił, że od Boga. I wielu z nas myślało, że rzeczywiście pewnego dnia dziecko spada z nieba i tak powstaje rodzina. O tym, jak rozmnażają się ssaki, zacząłem się przekonywać dopiero, kiedy zobaczyłem krowę z bykiem. Były wśród nas i takie pary, które po ucieczce Schäfera wzięły ślub, ale nadal nie wiedziały, co to seks. Kładły się w łóżku i czekały, aż nagle pojawi się dziecko. Taką tu mieliśmy izolację. Teraz brakuje nam tu dwóch generacji. Wziąłem ślub dopiero w wieku 46 lat, mam trzy córki.

Historia Zeitnera, wychowanka, a potem ochroniarza Paula Schäfera – jednego z bohaterów netflixowego serialu *Colonia Dignidad. Złowroga sekta* – jest podobna do wielu tutejszych życiorysów.

– Tak, byłem molestowany, do tego bity, torturowany. Pięciokrotnie próbowałem stąd uciekać, ale zawsze zatrzymywała mnie policja. I za każdym razem wiozła do szpitala w Colonii Dignidad, gdzie faszerowano mnie lekami i stosowano elektrowstrząsy – opowiada nam Jürgen Szurgelies Selent, jedna z ofiar Schäfera, dziś kasjer w bawarskiej restauracji w Villi Baviera, gdzie w upalny chilijski dzień konsumujemy Kaiserschnitzla i Bratwursta z modrą kapustą i kartoflami w majonezie.

Wysłuchujemy tej i innych historii w takt zapętlonej i przeskakującej jak zdarta płyta bawarskiej melodii, sączącej się z głośników w dużej gastronomicznej sali. Na ścianach wiszą trąby, puzony, harmonie, bawarskie stroje ludowe, flagi niemieckich landów, blaszane kubki i talerze oraz inne sprzęty gospodarstwa domowego i narzędzia rolnicze. Abstrakcja, utopia, jarmarczny klimat i wyszynk. Tutaj horror, trauma i terror spotkały się z sielsko-anielską atmosferą górskiego uzdrowiska, które – z pełnym sukcesem – udaje bawarską wioskę i (za opłatą uiszczoną przy opuszczonym szlabanie) przyciąga turystów. Dla których miejscowi w mig przechodzą na naznaczony mocnym niemieckim akcentem hiszpański.

– Dzisiaj mamy wiele głosów krytycznie wyrażających się o dyktaturze Pinocheta – opowiada nam Zeitner. – Ale trzeba znać też drugą stronę, jak bardzo naród chilijski cierpiał pod władzą Allendego, był na dnie, bez jedzenia.

W okresie od 1970 do 1985 roku liczba Chilijczyków żyjących poniżej granicy ubóstwa wzrosła z ponad 20 do 45 procent. W tym czasie przeciętny dochód najbogatszych niemal się podwoił.

Salvador Allende wprowadził wiele socjalistycznych reform – podniesiono wynagrodzenia, ograniczono bezrobocie, zwiększono redystrybucję dochodów i konsumpcji. Najbiedniejsi, inwalidzi i emeryci otrzymali niespotykane dotąd wsparcie, a dzieci Mapuczów po raz pierwszy mogły liczyć na stypendia. Polityka ta według krytyków doprowadziła jednak do spadku produkcji rolnej i przemysłowej, a co za tym idzie – do niedoborów podstawowych produktów spożywczych i gigantycznej inflacji (w szczytowym momencie ponad 600 procent). Sytuację pogarszały: światowy spadek cen miedzi, która w czasach rządów Allendego stanowiła 70–80 procent chilijskiego eksportu, a także zakulisowe działania Stanów Zjednoczonych i CIA, mające osłabić Allendego i doprowadzić do jego upadku. Do mrocznego obrazu tego rządu swoje dokładała ówczesna skrajnie prawicowa propaganda, a później także pinochetowska dyktatura, która chętnie wyolbrzymiała porażki poprzedników.

– Nie mieliśmy dostępu ani do gazet, ani do telewizji, ale coś tam na ten temat do nas docierało – mówi Zeitner. – O tym dziś nikt nie wspomina. Przecież to za Allendego próbowali nas stąd wyrzucić. Wszystko ma dwie strony. A ludzie wolą opowiadać tylko o jednej. I nawet dziś mówi się, że Villa Baviera to nadal sekta i nic się tu nie zmieniło, a my jesteśmy mentalnie chorzy. A wszystko po to, by nas wywłaszczyć i stąd wyrzucić.

Urzędujący do marca tego roku lewicowy prezydent Chile, Gabriel Boric, rzeczywiście planował wywłaszczenie części tych terenów, w tym domu Paula Schäfera, szpitala, cel oraz piwnicy na ziemniaki, która była miejscem tortur. Bo według byłego lewicowego rządu „Colonia Dignidad jest hańbą nie tylko dla historii Chile, ale także dla całego świata". Boric planował więc przekształcenie dawnej przestrzeni grozy i śmierci w miejsce pamięci i przyszłości. Pomysł ten najmniej przypadł do gustu ofiarom sekty mieszkającym w wiosce. *Dónde vamos a vivir?* („Gdzie będziemy mieszkać?") – pytali w liście do prezydenta.

Transformacja dawnej kolonii w miejsce pamięci miała być krokiem w stronę rozliczenia z przeszłością. Ale to się nie wydarzy. W wyborach prezydenckich wygrał José Antonio Kast, kandydat ultraprawicy, syn zbiegłego z Niemiec nazisty, wprost pochwalający dyktaturę, która w tym właśnie miejscu współpracowała z Schäferem, torturowała i zabijała opozycjonistów. Głosowała na niego cała Colonia Dignidad, dziś Villa Baviera.

—

W LINARES SKRĘCAMY na wschód i kierujemy się już wprost na zderzenie ze wznoszącym się na horyzoncie grafitowym grzbietem Andów. Z każdym kilometrem droga staje się coraz bardziej stroma, a mijane domy, zagrody i sklepy wydają się skromniejsze. Po sytym obiedzie w miejscowości Panimávida czeka nas najtrudniejszy odcinek. Krajobraz z poziomego zamienia się w pionowy. Co jakiś czas mijają nas pikapy z wolnym miejscem na pace, więc do

niektórych z nas wciąż powraca niechciana myśl, by któryś zatrzymać, wrzucić na jego tył rower i choć przez dwa kolejne wzniesienia trochę ulżyć nogom.

Ośmiokilometrowy podjazd, błękit jeziora Colbún, koniec przyzwoitego asfaltu, początek dziurawej drogi gruntowej, nieskazitelny turkus rzeki Maule, aż wreszcie jezioro o tej samej nazwie w Parku Krajobrazowym Tricahue.

Po drodze staramy się zrozumieć, kim tak naprawdę są Chilijczycy. Co ich dręczy i co jest przedmiotem ich sporów, które – jak pisał Óscar Contardo – załatwiają na swój, odmienny niż inni Latynosi, sposób.

Cristian Riquelme Yorkovic zaczął uprawiać sport rowerowy, zanim większość Chilijczyków w ogóle o nim usłyszała. Dziś, z pięćdziesiątką na karku i burzą czarnych włosów, ma dość energii, by po andyjskich bezdrożach codziennie przemierzać na dwóch kołach dziesiątki kilometrów. Nad rzeką prowadzi wraz z ojcem pensjonat dla rowerzystów. Projektuje i buduje trasy kolarstwa górskiego. Przyjeżdżamy na rowerach, więc szybko znajdujemy wspólny język. – Nasz rząd i samorządy nie finansują, jak to się dzieje w Europie, takich inwestycji – opowiada o infrastrukturze rowerowej poza miastami. – Jeśli powstają trasy rowerowe, to znaczy, że ktoś robi to prywatnie. Kupuje teren, buduje dom, w okolicy chce mieć dobrą drogę rowerową i zleca jej zaprojektowanie.

Bo Chile to lekcja kapitalizmu w pigułce. A kraj niezmiennie znajduje się w czołówce najbardziej liberalnych ekonomicznie państw świata. Amerykański ekonomista Milton Friedman liberalne reformy gospodarcze dyktatury Pinocheta nazwał „chilijskim cudem" i porównał do ekonomicznego wzrostu powojennych Niemiec.

Dziś zwolennicy tamtych reform wychwalają, że Chilijczycy są najbogatszymi obywatelami Ameryki Południowej. Krytycy natomiast zwracają uwagę na drastyczny spadek jakości życia klasy średniej i niższej oraz gigantyczne nierówności społeczne. W okresie od 1970 do 1985 roku liczba Chilijczyków żyjących poniżej granicy ubóstwa wzrosła z ponad 20 do 45 procent. W tym czasie przeciętny dochód najbogatszych niemal się podwoił. „Szkoła, leczenie, emerytura, metro, woda – wszystko towar. W Chile spełnił się mokry sen neoliberałów" – pisał podczas studenckich protestów w Santiago w 2019 roku Maciej Stasiński, dziennikarz „Gazety Wyborczej" [o prywatyzacji zasobów wodnych w Chile pisał też Artur Domosławski, „Pismo" nr 1/2023 – przyp. red.]. Tu nawet lewicowe rządy, przeprowadzając socjalistyczne reformy, nie rezygnowały z polityki ultraliberalnego rynku. Wprowadzonej wprawdzie pod przymusem, ale jednak mocno zakorzenionej w demokratycznym już społeczeństwie. Z prywatnym szkolnictwem, transportem, emeryturami i opieką zdrowotną.

Podczas pobytu w Chile trafiam na świeżo opublikowany w dzienniku „Folha de S.Paulo" ranking państw o największych nierównościach na świecie, w którym ten kraj znalazł się na czwartym miejscu. W tej chwili 2,6 procent dóbr należy do połowy najbiedniejszych mieszkańców, a 69,4 procent – do zaledwie 10 procent najzamożniejszych. Najbogatsze 5 procent Chilijczyków zarabia 257 razy więcej niż 5 procent najuboższych.

Skoro trzeba słono płacić za edukację czy leczenie, a woda i energia są sprywatyzowane, państwo tym bardziej nie zadba o trasy rowerowe. Jak twierdzi Yorkovic, przez ostatnią dekadę, w wolnych po pracy godzinach, zbudował ich 20–30 kilometrów. Ostatnio zaczął urządzać takie trasy dla prywatnej firmy, która po ich ukończeniu udostępni je do publicznego użytku. – Jak dotąd wybudowaliśmy 4,5 kilometra ścieżek – opowiada z pasją o trasach nad rzeką Maule. – Dbamy o szczegóły, zaczynamy od oczyszczenia terenu z kamieni i korzeni. – Mężczyzna organizuje też rowerowe wyprawy w Andy. Bagaże i kuchnię donoszą do obozowiska konie. Wysoko w górach, po ekstremalnym wysiłku, rowerzyści czy turyści konni mogą liczyć na doskonałą wołowinę przy kieliszku wina. Na przykład w okolicach Descabezado Grande, najbardziej znanego wulkanu w okolicy.

– Aktywny? – dopytujemy. – A jakże! – mówi. – Jak nasi cykliści. Cała ta okolica to bardzo aktywna strefa wulkaniczna.

Do aktywnego wulkanu ośmielam się porównać Chile, w którym od dekad narasta polaryzacja i ścierają się skrajnie różne spojrzenia na czasy dyktatury i obecny

ALL THE DIAMONDS

WSZYSTKIE DIAMENTY / TOATE DIAMANTELE
16.05 – 05.07
RYNEK 27/28 WROCŁAW PL

KRUPA ART FOUNDATION
@KRUPA_ART_FOUNDATION
KRUPAARTFOUNDATION.PL
KUP BILET online lub stacjonarnie
sandwich
PARTNERZY / PARTNERS:
RUMUŃSKI INSTYTUT KULTURY
WSPARCIE / SUPPORT:
MUZEUL NATIONAL DE ARTĂ CONTEMPORANĂ

POEZJA

***

MARIANNA KIJANOWSKA

—

kocham czując że nie da się
na wojnie po prostu kochać i po prostu być
to jakby oddychać wodą w wodzie
krwią w ciele

jestem w środku siebie
przy kręgosłupie na wojnie
biję się boję się biję
tym co kocha
tym co boli

na wojnie kula na włosku
na wojnie zabawka na choince serce

MARIANNA KIJANOWSKA

poetka ukraińska, tłumaczka, autorka szkiców literackich i prozy artystycznej. Laureatka m.in. Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta za całokształt twórczości i Nagrody Europejski Poeta Wolności. Wiersz pochodzi z tomu *Błyskawica napotyka wodę i wiatr*, który ukazał się niedawno nakładem Wydawnictwa a5. Z ukraińskiego przełożyli go Aneta Kamińska i Adam Pomorski.



Rodzina Mapuczów w Chile na początku lat 20. XX wieku

zdjęcie HARRIET CHALMERS ADAMS, DOMENA PUBLICZNA

kształt państwa. Yorkovic jednak – jak większość spotkanych podczas tej podróży Chilijczyków – wykręca się od odpowiedzi. – Nie lubię poruszać tematu polityki – ucina. – W Chile jest on nieustannie nadużywany. Szczególnie w doniesieniach medialnych, które nie zawsze są uczciwie prezentowane. Lubię przyrodę, sport i turystykę, o tym możemy rozmawiać. Dość już tu mamy polityki. Chcemy pracować i się rozwijać.

—

HUÉPIL w języku Mapuczów znaczy „tęcza". Do miejscowości o tej nazwie dojeżdżamy w drodze do Chillancito. Zakupy robimy w markecie El Volcán. W kraju największych erupcji wulkanicznych ludzie wydają się oswojeni z tym zjawiskiem, przygotowani na nie. Jeden z najsłynniejszych drinków tego kraju, skomponowany z białego wina, lodów ananasowych i grenadyny, nosi nazwę Trzęsienie Ziemi (*Terremoto*), po nim serwuje się jego mniejszą wersję, czyli Wstrząsy Wtórne (*Réplica*), a market Vulcano, do którego dojeżdżamy w Huépil, reklamuje się hasłem „Erupcja niskich cen".

Już chcemy odjeżdżać z parkingu, gdy pojawia się Polka – Iza Szmejter. Mówi, że mieszka w Chile od lat i po raz pierwszy spotyka tu rodaków. Pochodzi z Turowa pod Szczecinkiem. W Chilijczyku, Manuelu, zakochała się w Belgii. Do jego rodzinnego *pueblo* przeprowadzili się po narodzinach synów: Ricarda i Carlosa. Jacy są według niej Chilijczycy?

– Bardzo szczodrzy, na spotkania zawsze przychodzą z jakimś upominkiem, słoiczkiem dżemu, czymkolwiek. Z odwiedzin też wychodzi się z upominkiem. Lubią prawić komplementy. Spotykać się z rodziną i znajomymi, by wspólnie pojeść, potańczyć, pośmiać się. Być blisko, przytulać się, dotykać. I są patriotami, płaczą, gdy śpiewają swój hymn. A we wrześniu, gdy jest święto narodowe, wszyscy wywieszają flagi. Każdy zachwala swój region, szczycą się chilijską naturą – wymienia Iza Sztejter i dodaje: – A największa negatywna cecha Chilijczyków to niepunktualność. Umawianie się na drugą oznacza trzecią, czwartą. Wywiadówka w szkole, planowana na szóstą, zaczyna się o wpół do siódmej. Z opóźnieniem zaczynają koncerty, spektakle, to samo z autobusami.

Chile od Polski zdaniem naszej rozmówczyni różni się jednak przede wszystkim ludźmi. Ludzie są tu uprzejmi, ciepli. – I czuć to w każdej sytuacji, zarówno wśród znajomych, jak i obcych. Z drugiej strony – przyznaje – istnieje tu nieprawdopodobny klasizm. Ludzie podzieleni są na biednych i bogatych, różnica między nimi jest bardzo duża. Można ich rozpoznać po tym, jak mówią, jak się ubierają, gdzie mieszkają, do jakiej szkoły chodzili. Pod tym względem w Polsce mamy nieporównywalnie większą równość. Tutaj nie wszyscy traktowani są tak samo. Podobieństwa? Katolicyzm i przywiązanie do religijności. Poza tym: – Bogactwo przyrody, w tym też jesteśmy podobni. No i mamy podobną flagę – mówi Iza.

Wchodzimy na grząskie tematy. Ojca Manuela, jej męża, za Pinocheta dotkliwie pobiła policja, bo był zwolennikiem Allendego. – Ludzie w Chile od dawna są podzieleni na prawicę i lewicę. Wszyscy kłócą się przy stołach, w mojej rodzinie też. Ale przed wyborami nie interesują się kandydatami, nie czytają o nich, nie oglądają debat. Głosują na tego, który obiecuje nierealne rzeczy, za to zgodne z danym

światopoglądem. Naprzeciwko naszego domu stoi kościół ewangelicki. Tamtejszy pastor powiedział wiernym, że jeśli zagłosują na lewicę, będzie zmuszony do udzielania ślubów osobom homoseksualnym. Więc ewangelicy z tego kościoła gromadnie zagłosowali na prawicę. Znam mnóstwo takich przykładów. Straszy się też, że jeśli nie zagłosujemy na prawicę, staniemy się Chilezuelą lub następną Kubą. Że kraj zubożeje i zapełni się emigrantami, którzy w większości są złodziejami. Dlatego wielu moich znajomych tym razem zagłosowała na prawicę. Ale odkąd tu jestem, władza co kadencję przechodzi z jednej strony na drugą.

Iza uważa, że podział trwa tu od czasów kolonialnych: na ludzi biednych i nieliczne rodziny z wielkimi wpływami w biznesie i polityce. – Tak było tu zawsze, tak jest i teraz – mówi.

—

PEDAŁUJEMY NA Przełęcz Pehuenche (2553 metry nad poziomem morza) na chilijsko-argentyńskim pograniczu, najwyższy punkt naszej trasy. Wjeżdżamy na wysokość polskich Rysów, kolorowe formacje skalne spieka tu ostre słońce. Na lewo za szczytami rozpościera się pełna życiodajnych wodospadów Dolina Kondorów (Valle de los Cóndores), na prawo w dole lśni turkusem jezioro, Laguna del Maule. W cieniu tutejszych wulkanów Campanario, Planchón-Peteroa i Cari-Launa mieszkają Pehuencze.

– Dziś zajmujemy się wypasem owiec i kóz, w górach spędzamy i lato, i zimę. Ciężko nam, kiedy pada deszcz czy śnieg. Latem piecze słońce, ale wtedy żyje się trochę łatwiej – opowiada Luis, jeden z niewielu spotkanych po drodze Pehuenczów. Spotkanie z nim i jego rodziną było zaskoczeniem na bezludnym odcinku naszej trasy.

Nazwa *pehuen* odnosi się do drzewa pehuen (araukarii), którego nasiona (*piñónes*) były podstawą tutejszej diety, gospodarki i kosmologii. Z *piñónes* Pehuencze wytwarzali mąkę, pastę, pieczywo oraz napoje fermentowane. Od zawsze byli przywiązani do natury: las jest źródłem życia i dobrej energii. Przez wieki żyli zgodnie z rytmem gór. Zimą schodzili w niższe partie Andów, by chronić się przed mrozem i zamieciami śnieżnymi. Latem wędrowali wysoko, ku zboczom zalesionym araukariami, zbierali jej nasiona, które ich żywiły. Utrzymywali się ze zbieractwa, polowań, w mniejszym stopniu rolnictwa.

Gdy w XVI wieku tereny obecnego Chile kolonizowali Hiszpanie, Andy stały się naturalną ochroną przed najeźdźcą. Pehuencze, podobnie jak Mapucze, nie zamierzali się poddawać i dumnie stawiali czoła agresorom. Na przełomie XVIII i XIX wieku przeszli proces araukanizacji, integrując się kulturowo z żyjącymi na nizinach Mapuczami. Zachowali jednak swoją tożsamość i zwyczaje. Dziś uważa się ich za grupę w całej rodzinie Mapuczów.

Pehuencze doświadczyli w swojej historii wywłaszczeń kolonialnych i przymusowej asymilacji. W końcu – pod hasłami misji, handlu i wywierając presję gospodarczą – w XIX wieku państwo chilijskie zawłaszczyło ich ziemie. Największe zagrożenia Pehuenczom przyniosło jednak XX stulecie. Masowo wycinano ich święte drzewa, na rzece Biobío budowano tamy, a ludność przesiedlano, marginalizując jednocześnie ich język i kulturę. Po naszym spotkaniu Luis z rodziną spakowali toboły w metalowe stelaże obciągnięte kozią skórą, osiodłali konie i ruszyli wysoko w góry, do swoich owiec i kóz. Zniknęli za potężnymi skałami i stali się niewidzialni – tak jak inni Pehuencze.

Później na trasie widywaliśmy ich już rzadko. Miejscami stali z wędkami nad błyszczącą turkusowo rzeką lub ich sylwetki majaczyły na odległych zboczach. W miarę jak zbliżaliśmy się do granicy z Argentyną, krajobraz pustoszał, aż w końcu wjechaliśmy w góry, które sprawiały wrażenie zupełnie bezludnych. Coraz mniej roślinności, coraz więcej barw, którymi mieniły się skały: od grafitów przez ceglastą czerwień i zgniłą zieleń po intensywną żółć i pomarańcz.

Zapora wodna Ralco na południu regionu Biobío, którą budowano w latach 1998–2004, przyczyniła się do zalania ziem przodków, wysiedlając całe społeczności i niszcząc święte ekosystemy. Nie łatwiej jest i tu, na Przełęczy Pehuenche. Państwowe przepisy, mające stać na straży praw ludności rdzennej, miały zapobiec podobnym sytuacjom. Jednak ich wdrażanie często rozmija się z założeniami. Pehuencze muszą się mierzyć ze zmianami klimatycznymi, wylesianiem oraz marginalizacją w ramach inicjatyw rozwojowych, które realizuje państwo.

Jednym ze sposobów radzenia sobie z przeciwnościami jest tradycyjna produkcja i sprzedaż wyrobów z orzechów araukarii. Dzięki temu można zarabiać, nie opuszczając rodzinnych ziem i nie niszcząc przy tym przyrody. Ale egzystencja Pehuenczów wciąż balansuje między pragnieniem kultywowania tradycji a naporem nowoczesności. By podtrzymywać tą pierwszą – i trwający od wieków sprzeciw – działają na rzecz ochrony araukarii, kultywują zwyczaj wspólnotowych zbiorów jej nasion, walczą o odzyskanie ziem oraz kontynuują zbiorowe modlitwy i rytuały (zwane *machitún*), które mają odpędzić zło, sprowadzić deszcz i leczyć choroby.

Chile – w przeciwieństwie do innych krajów Ameryki Łacińskiej, jak sąsiednie Peru, Boliwia czy Argentyna – nie uznaje praw ludności rdzennej jako mniejszości. W 2022 roku w referendum odrzucono projekt konstytucji, która uczyniłaby kraj nieco bardziej opiekuńczym, a rdzenne narody – autonomicznymi. W połowie ubiegłego roku poprzedni prezydent, Gabriel Boric, ogłosił projekt mający oficjalnie uznać te mniejszości. Obecnie urzędujący José Antonio Kast nieprzejednanie mówi jednak o zjednoczonym i niepodzielnym narodzie. Dla Mapuczów czy Pehuenczów znów nie ma w tej narracji miejsca.

Reportaż powstał w ramach reporterskiej sztafety *Dzienniki rowerowe*. Współpracowali przy nim: Lena Marczak, Piotr Sudoł i Ewa Szymkowska-Nowak.

Więcej na ten temat przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/ameryka-poludniowa**

ORLEN

festiwalowa

ENERGIA LATA z ORLENEM



więcej szczegółów na @ORLENARTSCIENCE



—

Budapeszt, 2026. Zwolennicy Viktora Orbána podczas wiecu partii rządzącej Fidesz, zamykającego kampanię wyborczą do parlamentu



FOTOREPORTAŻ

Węgry wyobrażone

zdjęcia i tekst MICHAŁ ADAMSKI

W TEGOROCZNYCH WYBORACH parlamentarnych na Węgrzech 12 kwietnia Viktor Orbán, rządzący tym krajem przez 16 lat, poniósł spektakularną klęskę. Czy zwycięski Péter Magyar pchnie kraj na nowe tory?

MICHAŁ ADAMSKI, fotograf dokumentalista. Absolwent Akademii Rolniczej w Poznaniu, studiował w Instytucie Fotografii Twórczej w Opawie. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2017) oraz Marszałka Województwa Wielkopolskiego (2015 i 2024). Współtwórca Fundacji i Galerii Pix.House. Członek kolektywu Archiwum Protestów Publicznych oraz Związku Polskich Artystów Fotografików. Autor książek fotograficznych: *Nie mogę przebrnąć przez chaos*, *Two tailed dog* oraz *Ciemno w dzień, ciemno w nocy*.

Około godziny 22:00 na Placu Batthyány'ego i na ustawionych wzdłuż Dunaju telebimach pojawił się on, przechodzący przez tłum bohater. Szał radości ogarnął tysiące mieszkańców Budapesztu. On zaś rozdawał uściski, podczas gdy węgierska flaga dumnie powiewała nad jego głową – dokładnie tak, jak działo się podczas każdego z kilkuset wieców, w których brał udział podczas kampanii prezydenckiej, podróżując po Węgrzech. Z głośników popłynął głos Franka Sinatry śpiewającego: „I did it my way". Platformę ustawiono w taki sposób, by cały świat zobaczył Pétera Magyara, przyszłego premiera Węgier, na tle rozświetlonego budynku parlamentu.

Gdy rok wcześniej trwały protesty przeciwko poprawce do konstytucji, która praktycznie zakazywała Parady Równości, Péter Magyar nie zabierał głosu. Podczas kampanii wyborczej również unikał tematów obyczajowych, a także tych związanych z wojną w Ukrainie. [To nie przypadek, bo Magyar był wieloletnim członkiem konserwatywnej partii Fidesz, zaś Tisza, której jest liderem, jest partią centroprawicową – przyp. red.]. Skupiał się na problemach gospodarczych, kryzysie w opiece zdrowotnej i edukacji. Jednocześnie jego kampanię zorganizowano tak, by podkreślać jedność społeczeństwa i jego tożsamość. Magyar (po węgiersku dosłownie: Węgier) przychodził na wiece z flagą państwową, a podczas spotkań śpiewano węgierskie pieśni ludowe i zawsze kończono je uściskiem dłoni.

Podczas wieców kandydat Tiszy na premiera trzymał się blisko ludzi, przemawiał z małej sceny lub samochodu dostawczego, a także pozował do zdjęć ze swoimi zwolennikami. Był przeciwieństwem urzędującego premiera, Viktora Orbána, który odgradzał się od obywateli, na czas swojego przyjazdu zamykał okoliczne uliczki, a wydarzeń, w których brał udział, pilnowała licznie zgromadzona policja. To, że Orbán w ogóle organizował spotkania wyborcze, Węgrzy zawdzięczają właśnie liderowi Tiszy, który swoją niezwykłą aktywnością w terenie (w kampanii odwiedzał kilka miejscowości dziennie) zmusił urzędującego premiera do wyjazdów z Budapesztu.

Przez kilka ostatnich dni kampanii wyborczej obserwowałem obu kandydatów i ich zwolenników. Kiedy podróżuje się po węgierskiej prowincji – bo oprócz stolicy cała reszta kraju uznawana jest za prowincję – wyraźnie widać, że rządy Fideszu doprowadziły do zapaści gospodarczej. Do miasteczek prowadzą dziurawe drogi (im dalej od stolicy, tym w gorszym stanie), a same miejscowości mimo rozkwitającej wszędzie wiosny wyglądają na szare i zaniedbane. Jednak nawet tam, nawet w godzinach porannych, na spotkaniach z liderem opozycji gromadziły się tłumy.

Viktor Orbán podczas swojej kampanii roztaczał przed społeczeństwem wizję „Węgier wyobrażonych", rozszerzając definicję wspólnoty o mniejszość węgierską z ościennych krajów, osieroconą po pamiętnym traktacie w Trianon z 1920 roku [w jego wyniku państwo utraciło 71 procent terytorium, w tym dostęp do morza – przyp. red.]. Tymczasem rodacy Orbána wyobrazili sobie inne Węgry – otwarte i zintegrowane z Unią Europejską. 12 kwietnia wykorzystali więc szansę na odsunięcie dotychczasowego premiera od władzy i dali bardzo duży kredyt zaufania liderowi partii opozycyjnej.

Teraz to od Pétera Magyara zależy, w którym kierunku podążą Węgry i czy Europa na nie poczeka.





Budapeszt, 2025. W kwietniu trwała walka o Paradę Równości i prawa społeczności LGBT+, oraz, oczywiście, o zmianę władzy. Zgodnie z przepisami za udział w marszu, organizowanego tu od 30 lat, groziła grzywna sięgająca 200 tysięcy forintów (około 2 tysięcy złotych). Policja mogła korzystać z technologii rozpoznawania twarzy do identyfikacji uczestników. Nowe przepisy powiązano z tzw. ustawą o ochronie dzieci, która zakazuje „przedstawiania lub promowania" homoseksualności wśród osób poniżej 18. roku życia

Székesfehérvár, 2026. Propagandowe bilbordy wyborcze partii Fidesz. W kampanii wyborczej Viktor Orbán straszył Węgrów perspektywą wciągnięcia ich w wojnę Rosji z Ukrainą, dlatego kraj oblepiony był plakatami przedstawiającymi Pétera Magyara wraz z prezydentem Ukrainy, Wołodymyrem Zełenskim. Hasłem towarzyszącym bilbordowi ze zdjęciem Orbána było zdanie: „Zjednoczeni przeciwko wojnie”







Budapeszt, 2026. Protest przeciwko Viktorowi Orbánowi podczas wiecu partii rządzącej Fidesz, zamykającego kampanię wyborczą do parlamentu. Na transparencie napis w języku rosyjskim: „Towarzysze, koniec”



Budapeszt 2026, Zwolennicy Viktora Orbána podczas wiecu partii rządzącej Fidesz, zamykającego kampanię wyborczą do parlamentu



Győr, 9 kwietnia 2026. Zwolennicy partii Tisza i Pétera Magyara na wiecu wyborczym





Budapeszt, 12 kwietnia 2026. Radość i wzruszenie mieszkańców Budapesztu po ogłoszeniu zwycięstwa Pétera Magyara i partii Tisza w wyborach parlamentarnych


ZA!

Gdzie jest sufit?

tekst KAMIL FEJFER

O CO WŁAŚCIWIE CHODZI Z długiem publicznym? Czym się różni od deficytu? Dlaczego niektóre kraje mogą się zadłużać niemal bez końca, a inne nie? To będzie przejażdżka krętymi drogami po jednym z bardziej skomplikowanych zagadnień ze styku pragmatyzmu funkcjonowania państw i ekonomii.

We wrześniu 2010 roku na budynku Cepelii przy Rondzie Dmowskiego w samym centrum Warszawy z inicjatywy liberalnego think tanku Forum Obywatelskiego Rozwoju (FOR) zawisł licznik długu publicznego. Na jego wyświetlaczu w błyskawicznym tempie przeskakiwały cyferki obrazujące kolejne setki, tysiące, miliony i miliardy złotych.

Jak zauważa Kinga Kurysia w portalu Czas Kultury, koncepcja instalacji narodziła się o wiele wcześniej. Pierwszy licznik długu został zainstalowany w 1989 roku w Stanach Zjednoczonych. Jego fundatorem był Seymour Durst, deweloper i filantrop, który umieścił tablicę informującą o przyroście państwowych zobowiązań na budynku należącym do jego firmy. Jest to o tyle przewrotne, że Stany Zjednoczone są krajem, który – z uwagi na wielkość gospodarki, swoją *soft power* oraz to, że dolar stanowi walutę rezerwową bardzo dużej części świata (w lutym 2026 roku nieco ponad 56 procent wszystkich rezerw, 25 lat temu aż 72 procent) – może zadłużać się niemal bez końca. Idea szybko się upowszechniła. Tablice z rzędami cyfr lub ich internetowe odpowiedniki pojawiły się w Niemczech, Hiszpanii, Portugalii, we Francji czy Włoszech.

We wrześniu 2021 roku – na tym samym elektronicznym billboardzie nad Cepelią – ukazała się odpowiedź ze strony progresywnie zorientowanych ekonomistów. Think tanki: Fundacja Kaleckiego, Dobrobyt na Pokolenia, Polska Sieć Ekonomii i Fundacja im. Edwarda Lipińskiego stworzyły „licznik majątku publicznego". Miała to być dyskursywna alternatywa zwracająca uwagę na wzrost nie tylko zadłużenia, ale również stanu posiadania społeczeństwa. Eksperci argumentowali, że między innymi dzięki długowi mamy więcej dróg, lepsze szkoły, możemy również finansować programy społeczne. Kupujemy więc dobra i usługi, na które nie moglibyśmy sobie pozwolić, ciułając tylko z podatków, ponieważ te są albo zbyt niskie, albo mamy zbyt małą pulę osób i firm, z których można byłoby ściągnąć odpowiednie kwoty.

Choć oba liczniki zniknęły jakiś czas temu z przestrzeni publicznej z powodu renowacji budynku, to spór o dług wciąż trwa [licznik długu można sprawdzić na stronie internetowej projektu Forum Obywatelskiego Rozwoju – przyp. red.]. Bo kategoria zadłużenia nie jest bynajmniej tylko kwestią sumy zobowiązań. Dotyka również filozofii ekonomii i państwa.

Nie ulega wątpliwości, że się zadłużamy. I jako kraj, i jako świat. Dekadę temu w lewicującej części internetu popularny był mem odnoszący się do rosnącego światowego długu. Obrazek zawierał informację, że glob jest zadłużony na 40 bilionów dolarów (dzisiaj to ponad 350 bilionów dolarów), pytanie: „Komu właściwie świat jest dłużny?" i odpowiedź: „Jowiszowi?".



rysunek BARTOSZ TROJANOWSKI

KAMIL FEJFER, dziennikarz piszący o ekonomii i gospodarce. Współautor książki *Ile trzeba zarabiać, żeby być szczęśliwym?* oraz autor książek *O kobiecie pracującej* i *Zawód*. Współtwórca podcastu i kanału na YouTubie „Ekonomia i cała reszta". Współpracuje z Money.pl, „Gazetą Wyborczą", „Pismem", „Znakiem" i Dwutygodnikiem.

O co więc chodzi z tym długiem? Czym się różni od deficytu? Dlaczego niektóre kraje mogą się zadłużać niemal bez końca, a inne nie? Komu jesteśmy winni? Dlaczego w debacie o zobowiązaniach państwa wciąż posługujemy się metaforą gospodarstwa domowego lub firmy? Czy zadłużenie jest złe? Bo czasem takie wrażenie można odnieść, wczytując się w setki komentarzy w mediach społecznościowych. I czy Polsce grozi grecki scenariusz? Przypomnijmy, że w wyniku nadmiernego zadłużenia, słabej efektywności tamtejszej skarbówki i dociążenia finansów publicznych kryzysem gospodarczym w 2008 roku Grecja miała poważne problemy ze spłatą swoich zobowiązań. Od tamtego czasu w polskiej publicystyce przewija się „grecki straszak".

Wiele z zasygnalizowanych kwestii pojawiło się również w dyskusji wokół programu Security Action for Europe (SAFE; to w momencie powstawania eseju najgorętszy temat polityczny). Przypomnijmy, że ustawa o SAFE została zawetowana przez prezydenta Karola Nawrockiego 12 marca. Już dzień później rząd sięgnął po uchwałę w celu uruchomienia programu mimo sprzeciwu głowy państwa (prezydent nie może weto-wać uchwał).

Bardzo silne tożsamościowo-partyjne nacechowanie debaty wynika prawdopodobnie z faktu, że tematyka zadłużenia państw jest niezwykle złożona. Materii nie rozumieją nawet sami politycy, są więc zdani niemal wyłącznie na partyjne wytyczne.

Ten tekst będzie przejażdżką krętymi drogami po jednym z bardziej skomplikowanych zagadnień ze styku pragmatyzmu funkcjonowania państw i ekonomii. Obiecuję jednak, że po przeczytaniu go wiele rzeczy będzie bardziej zrozumiałych. Zaciągam więc, nomen omen, kredyt zaufania i zapraszam do podróży.

—

TRUDNO DOKŁADNIE określić moment, w którym rozpoczęły się kłopoty Piotra. Zazwyczaj nie wiemy, że właśnie minęliśmy punkt, po którym powrót na właściwą ścieżkę będzie bardzo trudny, jeśli w ogóle możliwy. Niewykluczone, że takie miejsce nie istnieje. Są tylko małe kroczki w niewłaściwą stronę. Jednym z ważniejszych zdarzeń na tej osi czasu był COVID-19. Właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że przedsięwzięcie Piotra może mieć szanse powodzenia, cały sektor kultury został zamknięty na cztery spusty. Piotr jeszcze na studiach stworzył swój własny teatr. Przez lata wynajmował pomieszczenie w jednym z warszawskich dzielnicowych domów kultury. Inicjatywa się rozwijała, również biznesowo, i Piotrowi zamarzyła się własna scena. Problem w tym, że pomysł z miejscem teatralnym to ryzykowny biznes.

A może wszystko było skazane na porażkę na długo przed pandemią? Zanim Piotr pożyczył kilkaset tysięcy na wynajem i remont sporej piwnicy w okolicach warszawskiego Nowego Światu, zrobił biznesplan, policzył koszty, sprawdził, ile może wynieść remont, założył odpowiednią liczbę gości. W 2018 roku wynajął przestrzeń i się zaczęło. Szybko okazało się, że przygotowanie lokalu pochłonie więcej środków, niż pierwotnie sądził. Prace ruszyły później, niż zakładał. A czynsz trzeba było płacić. Kiedy bank odmówił kolejnego, większego kredytu, Piotr zaczął pożyczać od mniejszych instytucji na większy procent, co obniżyło jego zdolność kredytową i zwiększyło wysokość miesięcznych rat. Pętla zaczęła się zaciskać. Kolejne pożyczki brał po to, żeby spłacać wcześniejsze. Na koniec zadłużył się u rodziny oraz bliższych i dalszych znajomych. Dzisiaj wychodzi na prostą, ale liczy każdy grosz. Najpierw chce oddać ludziom, którzy powierzyli mu swoje oszczędności. Jego historię poznajemy z książki *Dług. Reportaże spod kreski* Aleksandry Gałki-Reczko i to tylko jedna z wielu opowieści ludzi, którzy utonęli w długach. Kilkoro bohaterów wynurzyło się już na powierzchnię, inni walczą o każdy oddech.

Kiedy myślimy o długach państwa, często w naszej wyobraźni za poręczną metaforę służy popadający w tarapaty Kowalski albo firma X, która wzięła kredyt inwestycyjny. Choć zadłużenie się przez osobę fizyczną, przedsiębiorstwo i państwo mają pewne punkty styczne, to warto też pamiętać o dużych różnicach. Analogia, nie tylko w tym przypadku, zawsze ma swoje ograniczenia i trzeba zdawać sobie z nich sprawę. – Istnieją dwie bardzo ważne różnice między państwem a gospodarstwem domowym w kontekście zadłużenia. Po pierwsze bank ma prawo zająć na przykład mieszkanie, jeżeli nie spłacamy zobowiązań. Wierzyciel nie może natomiast zająć niczego w państwie, nie może przejąć gór czy jezior. Druga różnica jest taka, że państwo jest bardziej wiarygodne kredytowo niż osoba fizyczna – mówi mi Wojciech Paczos, ekonomista z Cardiff University i współtwórca Fundacji Dobrobyt na Pokolenia, jednej z organizacji, która stała za wspomnianą inicjatywą stworzenia licznika majątku publicznego. Z uwagi na tę wiarygodność państwo może więc pożyczać na dłuższe okresy niż Kowalski. Z drugiej strony kraj również różni się od firmy, która z definicji jest nastawiona na zysk. A kiedy bierze kredyt, służy on jej jedynie do finansowania inwestycji mających w przyszłości zwiększyć profity. Państwo także może zaciągać pożyczki na takie cele, ale ma też inne zobowiązania. Choćby dostarczenie usług obywatelom.

—

KIEDY MÓWIMY O zadłużeniu państw, to w przestrzeni publicznej pojawiają się dwie kategorie – deficyt i dług publiczny. Weźmy na warsztat ten pierwszy termin. Deficyt to nic innego jak bilans długu zaciągniętego

w danym roku. Bywa wyrażany kwotowo, ale najczęściej jest podawany w relacji do PKB. Jeżeli słyszymy informację, że deficyt wyniósł 7,3 procent (taką wartość podaje Główny Urząd Statystyczny dla 2025 roku), oznacza to, że zaciągnięte zobowiązania stanowiły taki właśnie odsetek całości produktu krajowego brutto za dany rok.

Pod koniec kwietnia GUS poinformował, że deficyt budżetowy w 2025 roku wyniósł niemal 284 miliardy złotych. Taka wartość większości z nas niewiele mówi, poza tym że jest to bardzo, bardzo dużo pieniędzy. Dla uzmysłowienia skali: w tym samym roku na program 800+ przeznaczyliśmy prawie 63 miliardy złotych. Wydatki na ZUS-owskie emerytury (w Polsce istnieje kilka systemów emerytalnych, ale ten jest zdecydowanie największy) w 2025 roku wyniosły ponad 335 miliardów złotych [temat systemu emerytalnego Kamil Fejfer już poruszał, „Pismo" nr 12/2024 – przyp. red.].

Mówiąc o „deficycie", eksperci zazwyczaj mają na myśli nie tylko wspomniany budżetowy, ale również ten wykręcany przez samorządy. Łącznie ta kategoria jest nazywana deficytem sektora finansów publicznych czy też „deficytem gg" – od angielskiego *general government*. Budżetowy stanowi jego największą część (kiedy dalej będę pisał o deficycie, będę miał na myśli właśnie ten gg).

Ze wstępnych danych GUS-u wynika, że PKB Polski w 2025 roku wzrósł realnie o 3,6 procent. Szacunki wskazują, że jego wartość wyniosła 3,9 biliona złotych (pamiętają Państwo, jak Donald Tusk mówił, że należymy do grona dolarowych bilionerów?). Jeżeli więc deficyt budżetowy wyniósł ponad 280 miliardów złotych i dorzucimy do tego dług innych części sektora finansów publicznych, to wyjdzie nam właśnie wspomniane 7 procent z hakiem.

Prognozowane zarówno przez Komisję Europejską, jak i Ministerstwo Finansów „dziury" w finansach publicznych na najbliższe lata nie napawają optymizmem. Według tej pierwszej instytucji do 2027 roku deficyt będzie przebijał 6 procent rocznie. Resort przygląda się dłuższemu horyzontowi i przewiduje, że w 2029 roku spadnie on do 4,7 procent. Dlaczego to w ogóle istotne? Ponieważ Unia Europejska (UE) rekomenduje, aby wskaźnik utrzymywać poniżej 3 procent (o limitach zadłużenia jeszcze będę pisał). Tymczasem Polska od 2022 roku wykręca deficyt znacznie powyżej tego pułapu.

Przejdźmy do długu publicznego. Jest on sumą wszystkich zobowiązań państwa (wcześniejszych deficytów) w stosunku do PKB. Według danych GUS-u w 2025 roku dług sektora gg wyniósł 59,7 procent (dla ciekawskich: to 2,3 biliona złotych). W obecnym roku – wedle szacunków Ministerstwa Finansów – będzie to ponad 65 procent, a w 2029 roku przewyższy 75 procent. Również w tym przypadku przeskakujemy nad poprzeczką tego, co Unia uznaje za bezpieczną granicę. Ta jest ustanowiona na poziomie 60 procent. Zatrzymajmy się tu na chwilę i powiedzmy, skąd ta rosnąca dziura. Nie będzie chyba wielkim zaskoczeniem, jeśli powiem, że wynika ona w największej mierze z ogromnego przyrostu nakładów na zbrojeniówkę [pisał o nich Maciej Miłosz, „Pismo" nr 5/2026 – przyp. red.]. W 2022 roku wydatki na obronność wyniosły niemal 58 miliardów złotych. Po drodze mieliśmy jednak sporą inflację. Skumulowany wzrost cen towarów i usług od tamtego czasu do 2025 roku to prawie 37 procent. Jeżeli środki przeznaczane na szeroko rozumianą zbrojeniówkę miałyby pozostać na poziomie z 2022 roku, to w 2025 (po poprawce na inflację) wyniosłyby około 79 miliardów złotych. Zgodnie z szacunkami NATO realnie osiągnęły pułap około 166 miliardów złotych.

Nakłady na zbrojenia widać w trendach – przez ostatnie 30 lat dług publiczny utrzymywany był poniżej 60 procent PKB. Od 1996 roku mieliśmy tylko cztery lata, kiedy spadł on poniżej 40 procent. Po spadku w latach 2021 i 2022 ponownie wyraźnie rośnie od 2023 roku, kiedy dotarło do nas, że Rosja to kraj rozumiejący jedynie argument siły. Musimy więc tę siłę budować. Potencjalną alternatywą byłyby Iskandery lecące na Lublin.

Dług sam w sobie nie jest zły ani dobry. Jest po prostu narzędziem.

A czy nie mogliśmy finansować zbrojeń z innych źródeł? Poza długiem istnieją trzy główne sposoby płacenia za wydatki publiczne: zmniejszenie ich w innych obszarach, podwyższenie podatków oraz wzrost gospodarczy. Ten ostatni odpada, bo oznaczałby czekanie, aż nam gospodarka wystarczająco urośnie, a na to nie mamy czasu. Cięcie wydatków prawdopodobnie wiązałoby się z ograniczeniem zaufania do państwa, a w napiętej sytuacji geopolitycznej bardzo go potrzebujemy. Podwyższanie podatków potencjalnie może być jednym z instrumentów, jednak po pierwsze Polacy takiemu rozwiązaniu są niechętni (według sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" z początku stycznia bieżącego roku 58 procent respondentów było przeciwnych „podatkom zbrojeniowym"), a po drugie – w zestawieniu z potrzebami zwiększenie danin może po prostu nie wystarczyć. Przypomnijmy, że wspomniany już program SAFE ma być zastrzykiem ponad 180 miliardów złotych. Tymczasem całość rocznych dochodów z PIT-ów do sektora finansów publicznych to prawie 203 miliardy złotych.

Ten dylemat w literaturze i publicystyce ma swoją nazwę: „armaty czy masło". Niedawna analiza – przeprowadzona przez ekonomistów Christopha Trebescha i Johannesa Marziana – historii boomów zbrojeniowych jest ważnym głosem w tej debacie. W artykule pod symptomatycznym tytułem *Guns and Butter: The Fiscal Consequences of Rearmament and War* (*Broń i masło. Konsekwencje finansowe zbrojeń i wojny*) badacze przeanalizowali 114 okresów wzrostów wydatków militarnych w latach 1870–2022 w 20 krajach rozwiniętych.

Okazało się, że znaczna ich część była pokrywana właśnie z długu, a spłacana z podwyższonych danin. Co ciekawe, autorzy zauważają, że w przeważającej liczbie takich przypadków nie tylko nie mieliśmy przy okazji do czynienia z ograniczaniem wydatków socjalnych, lecz także zwiększano nawet sumy przeznaczane na te cele. Prawdopodobnie wynikało to z faktu, że politycy zdawali sobie sprawę ze skutków cięć – ich dokonanie mogłoby osłabić zaufanie do państwa (cynicy powiedzieliby, że chodziło o zachowanie legitymacji do rządzenia w trudnych czasach). Dylemat „armaty czy masło" jest zatem fałszywy. Historia uczy nas, że możemy mieć i jedno, i drugie (ale później trzeba spłacić część długów).

Zanim przejdziemy dalej, potrzebna nam będzie jeszcze wiedza o tym, u kogo właściwie państwa się zadłużają (jeśli nie u Jowisza). Zastanówmy się, u kogo są zadłużeni Polacy? U Niemców? U Amerykanów? Prawdopodobnie i tu, i tu. Część z nas również wzięła pożyczki w polskich bankach lub parabankach. Nie ma żadnej centralnej instytucji, której Polacy są dłużni. Nie ma też takiej, której świat jest winny pieniądze. Instytucje, firmy, gospodarstwa domowe oraz państwa są zadłużone u różnych podmiotów. W przypadku tych ostatnich wierzycielami mogą być: gospodarstwa domowe (w formie obligacji skarbowych), banki, fundusze inwestycyjne czy fundusze emerytalne (zagraniczne i wewnętrzne).

—

KIEDY PYTAM ekspertów o to, czy dług jest z natury dobry, czy zły, Wojciech Paczos bez wahania obstawia pierwszą odpowiedź. – Ludzie preferują utrzymywanie konsumpcji na w miarę stałym poziomie. A dług pozwala ją wypłaszczyć, czyli rozłożyć w czasie. Oczywiście większość z nas wolałaby, żeby ta konsumpcja rosła, jednocześnie nie jest tak, że kiedy mamy gorszy okres, to przestajemy jeść, kupować proszek do prania i chodzić do lekarza. Z drugiej strony, gdy nadchodzą lata tłuste, nie najadamy się na zapas. W gorszych ekonomicznie momentach sięgamy do oszczędności albo właśnie zaciągamy dług, w lepszych – gromadzimy oszczędności i spłacamy pożyczki. I tutaj można zauważyć pewną analogię do działań państwa. Ono również zauważalnie zwiększa dług w momentach większego zapotrzebowania – tłumaczy ekonomista.

– Dług jest jedną z form finansowania przedsięwzięć gospodarczych, wydatków konsumpcyjnych i wydatków państwa. Sam w sobie nie jest zły ani dobry. Jest po prostu narzędziem – mówi mi z kolei Marcin Zieliński z Forum Obywatelskiego Rozwoju. (Tak, tej samej organizacji, która stworzyła polski licznik długu publicznego). – Zasadniczym pytaniem jest to, czy z długu są finansowane inwestycje prowadzące do rozwoju firmy lub gospodarki, czy może jest on przeznaczany na konsumpcję, która nie przekłada się na wzmocnienie potencjału ekonomicznego w przyszłości – dodaje.

Jak to często w ekonomii bywa, odpowiedź na pytanie zależy od tego, jakiego eksperta zapytamy. O tym, według jakich kryteriów można podzielić dług na „dobry" i „zły", pisał na blogu *Subiektywnie o finansach* Maciej Danielewicz, niegdysiejszy redaktor naczelny serwisu dla inwestorów giełdowych i finansowych PAP Biznes i redaktor naczelny ekonomicznego portalu popularnonaukowego Obserwator Finansowy prowadzonego przez Narodowy Bank Polski. „Ekonomiści słusznie dzielą długi na «złe» (czyli finansujące wyłącznie przyjemności, na które nas nie stać) oraz «dobre», czyli będące inwestycją w przyszłe wyższe dochody. Jeśli ten wzrost dochodów jest większy niż koszt zapłaconych odsetek, to zaciągnięcie długu było słuszną decyzją, bo dzięki niemu jesteśmy ostatecznie bogatsi" – stwierdza Danielewicz.

W odpowiedzi na argument o „finansowaniu przyjemności, na które nas nie stać" Paczos przytacza przykład kredytu hipotecznego. Przecież niemal nikt nie może sobie pozwolić na to, żeby po wyprowadzce z domu rodzinnego kupić własną nieruchomość za gotówkę. – Jeżeli bowiem traktować konsekwentnie ten sposób rozumowania, powinniśmy oszczędzać przez całe życie po to, żeby tuż przed śmiercią kupić



rysunek HENRYK DERWICH

mieszkanie – mówi mi ekonomista. Niektórzy mogą powiedzieć, że nieruchomość to przecież też inwestycja, ponieważ z czasem jej wartość rośnie. Z jeszcze innej strony można argumentować, że i wyjazd na urlop za pożyczone pieniądze można postrzegać jako rodzaj mądrego wydatku, ponieważ dobry wypoczynek zwiększa naszą produktywność. Ten ostatni przykład jest nieco naciągany, ale chcę wskazać na to, że w ekonomii wiele pojęć jest nieostrych i przy odrobinie gimnastyki intelektualnej można starać się dowodzić bardzo wielu, często sprzecznych ze sobą tez.

„Jednym z najciekawszych pytań jest to, czy jeśli zainwestujemy 1 zł z zaciągniętego w formie emisji obligacji Skarbu Państwa długu, to osiągniemy przynajmniej 1 zł wzrostu PKB. Nie byłby to może jakiś szalony zwrot z inwestycji, ale przynajmniej nie doszłoby do straty, po długu pozostałaby jakaś trwała inwestycja albo pożytek społeczny, a wiadomo też, że dla gospodarki korzystne może być już to, że pieniądz krąży między firmami i instytucjami, dając pracę wielu ludziom" – pisze w swoim tekście Danielewicz. Niedługo później stwierdza jednak, że to, co w finansach osobistych lub w finansach firmy należałoby uznać za stratę, nie musi jej oznaczać w przypadku państwa. W rzeczywistości podział na dług „dobry" i „zły", podobnie jak rozróżnienie na finansowanie konsumpcji i inwestycji, na wielu polach się rozmywa.

Dług zaciągany na transfery socjalne w krótkim okresie w Excelu może wyglądać na środki „przejedzone". Ale w dalszej perspektywie takie pieniądze mogą przynieść nieoczekiwane zyski w różnych miejscach systemu – w opiece zdrowotnej (ludzie zamożniejsi są z reguły zdrowsi), w większej wydajności pracowników (zamożniejsze rodziny mają większe zasoby na wykształcenie swoich dzieci, a takie osoby cechuje większa wydajność pracy) czy w spadku przestępczości.

Z jeszcze innej strony, o czym wspomniałem wyżej, państwo nie musi, a niekiedy wręcz nie powinno kierować się jedynie logiką (odłożonego) zysku. Czasem nie tyle jest istotne, czy dług przyniesie dochód w przyszłości, ile ważne jest, czy część obywateli, którym się w życiu powinęła noga, będzie mogła żyć na w miarę godnym poziomie.

Dopytuję Wojciecha Paczosa, czy jego zdaniem istnieją pożyczki, które on uznałby za złe. – Można powiedzieć, że ryzyka związane z długiem rosną wraz z nim. Jednym z większych problemów są odsetki. Kraj z dużymi zobowiązaniami przeznacza coraz większą część swojego PKB na obsługę kredytów. Owszem, może finansować tym długiem inwestycje czy konsumpcję obywateli, ale w pewnym momencie spłata przekracza próg, w którym ta gra jest w ogóle opłacalna – tłumaczy Paczos. Dla przykładu obecnie obsługa długu kosztuje nasz kraj ponad 80 miliardów złotych.

Z jednej więc strony, gdyby nie dług, środki te moglibyśmy wydać na szkoły i lepszą infrastrukturę. Z drugiej – między innymi z długu już zbudowaliśmy lepszą infrastrukturę, z której korzystamy od lat i która przyczyniła się do rozwoju kraju. To on spowodował, że kupiliśmy rzeczy, na które nie było nas stać.

A czy istnieją dowody na to, że dług publiczny wpływa na spadek PKB? Ekonomistka Carmen M. Reinhart i ekonomista Kenneth S. Rogoff (oboje z Harvardu) po przeanalizowaniu zadłużenia 44 krajów stwierdzili, że w przypadku tych rozwiniętych dług publiczny poniżej 90 procent nie jest skorelowany z dynamiką PKB. W przypadku krajów rozwijających się jest to około 60 procent. Powyżej tych wartości dług jest związany z niższym przyrostem produktu krajowego brutto. Należy jednak pamiętać, że analiza miała charakter korelacyjny. Nie musiało być więc tak, że duży dług sam z siebie spowalniał wzrost. Możliwe również, że kraje mocno zadłużały się w momentach dużych kryzysów, a te oznaczają osłabienie wzrostu.

– Wolnorynkowa prawica atakuje sam fakt zadłużania się, mimo że statystycznie rzecz biorąc, to rządy liberałów zadłużają państwa bardziej niż rządy socjalnej lewicy. Są one po prostu skuteczniejsze w obniżaniu podatków niż wydatków. Z kolei lewica broni długu chyba z automatu, tylko dlatego że prawica go atakuje, jak gdyby jego obsługa nie oznaczała transferu środków z dołu na górę, to jest od wszystkich podatników do ludzi dość zamożnych, właścicieli obligacji skarbowych lokujących w nich swoje oszczędności – mówi mi z kolei Jędrzej Malko, historyk gospodarczy, autor książki *Porachunki. Polityczna historia pieniędzy*. Innymi słowy – to zamożni kupują obligacje Skarbu Państwa i to oni korzystają na oprocentowaniu. Na marginesie dodajmy, że Malko był zaangażowany w tworzenie banneru nad Cepelią – obstawiał *team* majątek publiczny. Mówi o długu dokładnie tymi samymi słowami, co Marcin Zieliński z FOR-u: to narzędzie. – Można z niego korzystać mądrze lub głupio, ale państwa od zawsze były zadłużone i pewnie zawsze będą się zadłużać. Już w połowie XVI wieku w Europie długi publiczne sięgały 60 procent PKB kontynentu, czyli wartości zupełnie typowej dla współczesnych gospodarek rozwiniętych – stwierdza badacz.

—

ZNAKOMITA WIĘKSZOŚĆ świata – jeśli nie wszystkie bogate kraje – jest zadłużona. Jeżeli spojrzymy na 38 rozwiniętych państw zrzeszonych w Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (Organisation for Economic Co-operation and Development, OECD), to nie znajdziemy tam ani jednego przykładu gospodarki bez zadłużenia. Według danych z 2023 roku (najświeższe dostępne) najmniej zadłużonym członkiem organizacji była Estonia

60 procent

• to wysokość długu publicznego względem PKB uznawana przez UE za bezpieczną granicę. Nie przekraczaliśmy jej przez 30 lat, ale stanie się to w tym roku.

z długiem publicznym na poziomie niecałych 29 procent swojego PKB. Średnia dla OECD to 110 procent. Rekordzistą jest Japonia, której zobowiązania dobijają do 230 procent produktu krajowego brutto. Wysoko są również Stany Zjednoczone z długiem na poziomie ponad 120 procent.

Jeżeli spojrzymy na dane Eurostatu, który zbiera informacje statystyczne dla krajów Unii Europejskiej, sprawa wygląda podobnie. Średnia zadłużenia dla państw Wspólnoty to około 80 procent. Nie będzie chyba wielkim zaskoczeniem, że rekordowo zadłużeni są Grecy (ponad 154 procent w stosunku do PKB w 2024 roku), tuż za nimi plasują się Włosi (niemal 135 procent) i Francuzi (ponad 113 procent). Po drugiej stronie tabeli znajdują się Estonia i Bułgaria (po niespełna 24 procent) oraz Luksemburg (nieco powyżej 26 procent).

Jest to o tyle interesujące, że unijna bariera alarmowa dla deficytu wynosi 3 procent, a dla długu publicznego 60 procent. Skąd te liczby, skoro wiemy, że dla krajów rozwiniętych bezpieczny dług jest zaczepiony znacznie wyżej? Tak naprawdę nie do końca wiadomo, gdzie znajduje się dłużny „próg bólu" dla konkretnego kraju. Wiemy już, że istnieją państwa, których dług publiczny może znacznie przekroczyć 100 procent ich PKB i w zasadzie nic się nie dzieje. Z drugiej strony są kraje, które bankrutują przy poziomie zadłużenia kilkunastu procent. Przykładem takiej gospodarki jest Afganistan. Europejski limit zadłużenia wziął się więc trochę… z sufitu. Ma być swego rodzaju prewencją. Wiadomo bowiem, że w przypadku państw zamożnych – a takimi bez wyjątku są zrzeszone w UE – zadłużenie poniżej 60 procent nie jest problemem.

O ile próg dla długu publicznego jest ustanowiony na zasadzie „bo tak", to bariera dla deficytu ma już swoje uzasadnienie. Rozumowanie jest proste. W gospodarce bez wielkich szoków ekonomicznych, z przyzwoitym wzrostem gospodarczym deficyt na tym poziomie nie powoduje wzrostu ogólnego zadłużenia. – Jeśli chodzi o obowiązujące w Unii Europejskiej limity, to można na nie spojrzeć jak na ograniczenie prędkości w ruchu drogowym. W słoneczny dzień na pustej drodze, na której obowiązuje ograniczenie do 60 kilometrów na godzinę, złamanie tego limitu nie musi oznaczać wielkiego niebezpieczeństwa. Ale kiedy pada śnieg, jest ciemno i do tego mamy niemały ruch, to mądrze jest nie przekraczać 60, a nawet zwolnić znacznie poniżej tej prędkości – mówi mi Marcin Zieliński z FOR-u.

A dlaczego jedne państwa mogą się zadłużać bardzo długo, a inne nie? To skomplikowana gra, w której – jak to często bywa w ekonomii (oraz w życiu) – różne podmioty obowiązują różne zasady. Wiele zależy od siły gospodarki. Nawet niewielkie zadłużenie trzeba obsługiwać, czyli przeznaczać część środków publicznych na jego spłatę. W przypadku biednych państw choćby lekki podmuch zawirowań na globalnych lub lokalnych rynkach może spowodować, że decydenci stają przed dylematem: spłata zadłużenia albo podtrzymywanie rachitycznej opieki zdrowotnej czy też wypłata świadczeń emerytalnych. Właśnie z takim zjawiskiem mieliśmy do czynienia we wspomnianej Grecji. W momencie największego kryzysu część świadczeń socjalnych – takich jak emerytury czy renty – została obniżona i wypłacana z opóźnieniem. Na marginesie można dodać, że dzisiaj istnieje konsensus co do tego, że „zaciskanie pasa" w momencie poważnego kryzysu zadłużeniowego, delikatnie mówiąc, nie jest najlepszym pomysłem. Praktyka taka obniża PKB (ponieważ ludzie niedostający świadczeń społecznych wydają znacznie mniej pieniędzy) oraz podkopuje zaufanie do rządzących, co wywołuje niepokoje polityczne, dodatkowo zniechęcając inwestorów.

Bankructwo kraju to wstrzymanie spłaty zobowiązań. Tylko tyle i aż tyle. To, że wierzyciel nie może zająć aktywów, nie oznacza, że sprawa nie ma konsekwencji.

Inna kwestia to struktura pożyczek. Ważne jest to, czy zadłużenie kraju jest „wewnętrzne", czyli czy sektor publiczny pożycza na własnym rynku, czy też „zewnętrzne". – O ile dług zagraniczny jest „zasysaniem" środków z zewnątrz gospodarki, to dług krajowy jest swego rodzajem przekładaniem pieniędzy z kieszeni do kieszeni. Dług zewnętrzny ma tak zwany większy mnożnik. Innymi słowy każde pożyczone w ten sposób dolar czy euro potencjalnie przekładają się na więcej złotówek w gospodarce niż w przypadku, kiedy pożyczamy wewnątrz. Z drugiej jednak strony pożyczanie wewnątrz jest bezpieczniejsze, co z kolei oznacza, że dług wewnętrzny w stosunku do PKB może być wyższy niż dług zewnętrzny – wyjaśnia Wojciech Paczos. I przyznaje, że o wiele łatwiej jest go spłacić. – Państwo pożycza pieniądze od obywateli (lub firm), a później spłaca ten dług z podatków pobieranych od tych samych ludzi lub innych podmiotów w gospodarce. W efekcie pieniądz nie znika z kraju – krąży wewnątrz gospodarki, zmieniając jedynie właściciela – podkreśla współtwórca Fundacji Dobrobyt na Pokolenia.

Istotne jest również to, czy dług bywa zaciągany w walucie własnej, czy obcej. To też stanowi część debaty wokół SAFE. Przeciwnicy rozwiązania – niebezpodstawnie – zwracają uwagę na ryzyko kursowe. Krótko mówiąc, kiedy zadłużamy się w obcej walucie (w tym przypadku chodzi o euro), to każdy wzrost jej wartości powoduje, że drożeje obsługa długu. W ostatnim ćwierćwieczu kurs europejskiej waluty wahał się od 3,2 do nawet 5 złotych, ale to swego rodzaju piki na wykresie oznaczające tąpnięcia gospodarcze. W znacznej większości tego okresu kurs utrzymywał się w „tunelu" od 4 złotych do 4,5 złotego. Tego typu ryzyka w większym stopniu odnoszą się do mniej stabilnych gospodarek, gdzie istnieje większe prawdopodobieństwo gwałtownego załamania się kursu waluty.

wróćmy teraz do licznika długu publicznego. Dopiero wyposażeni we wszystkie powyższe informacje wiemy, że takie inicjatywy w zasadzie o niczym nam nie mówią. Są po prostu efekciarskim PR-owskim zabiegiem. To trochę jak ustawienie w środku miasta wielkiego licznika prędkości informującego, że na wskaźniku jest już 70 kilometrów na godzinę, a prędkość ciągle rośnie. Bez szerszego kontekstu taka informacja nie ma sensu. Nasze postrzeganie sytuacji zależy od mnóstwa czynników – czy prędkość odnosi się do nowego samochodu na autostradzie, czy może do 25-letniego Golfa na dziurawej drodze? A może do sanek ciągniętych (niezgodnie z prawem) za Passatem? Każda z tych sytuacji jest inna; w niektórych kontekstach wspomniana prędkość to jak proszenie się o śmierć, w innych – coś zupełnie normalnego.

Podobnie jest z długiem. Dwa biliony złotych mogą robić wrażenie. Ale żeby stwierdzić, czy sytuacja jest groźna, musimy znać strukturę zadłużenia, wielkość PKB kraju, jego *soft power*, a także wiedzieć, w jakiej walucie jest denominowana większość pożyczek, jak wyglądają prognozy rozwoju gospodarczego, ile pochłania obsługa długu…

A czym właściwie jest to całe bankructwo państwa? Wiemy już, że nie ma kogoś takiego jak wierzyciel zdolny do zajęcia aktywów kraju. Nikt nie może przejąć naszych kopalni, odebrać nam Mazur albo Radomia – przynajmniej nie z powodu zadłużenia. I trudno sobie na ten moment wyobrazić, żeby fundusze inwestycyjne dysponowały własnymi armiami zdolnymi do okupacji terytoriów zadłużonych państw. Bankructwo kraju to po prostu wstrzymanie spłaty zobowiązań. Tylko tyle i aż tyle. To, że wierzyciel nie może zająć aktywów, nie oznacza bowiem, że sprawa nie ma konsekwencji. Zazwyczaj oznacza to obniżenie wiarygodności kredytowej na przyszłość, co albo uniemożliwia przyszłe zadłużanie, albo winduje odsetki pod sufit (to z kolei jest ryzykowne w momentach kryzysów gospodarczych, kiedy pojawia się zwiększone zapotrzebowanie na publiczny pieniądz). Wysokie odsetki stanowią zabezpieczenie potencjalnie wyższej niewypłacalności. Dlatego chwilówki są tak drogie – to pożyczki udzielane osobom obarczonym podwyższonym ryzykiem tego, że przestaną spłacać swoje zobowiązania.

Pamiętają Państwo historię Piotra? Duże banki przestały mu pożyczać pieniądze, ponieważ takie instytucje finansowe kalkulują ryzyko. Algorytmy oceniające naszą wiarygodność kredytową mogą się wydawać bezduszne, ale z punktu widzenia samych pożyczkodawców sprawdzają się naprawdę dobrze; historia tego, co robiliśmy w przeszłości (oraz co robiły osoby nam podobne), jak solidnymi lub jak niesolidnymi spłacającymi byliśmy,

Pismo. MAGAZYN OPINII

Zapisz się na nasze newslettery.



Aktualności Pisma

W każdy piątek redaktorka naczelna **URSZULA KIFER** poleci Ci jeden tekst, który warto przeczytać w weekend.

Powody do radości

MAGDALENA KICIŃSKA z bieżących wydarzeń wybiera te, które przywracają wiarę w lepsze jutro.





Wybór zagraniczny

Co w prasie zagranicznej zaciekawiło **MARCINA CZAJKOWSKIEGO**, redaktora i *fact-checkera* „Pisma”?

Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/newslettery i zapisz się.

bardzo wiele mówi o tym, jak będziemy regulować przyszłe należności. I tu jest jeden z punktów stycznych państw i zadłużających się gospodarstw domowych. Mała wiarygodność kredytowa to małe prawdopodobieństwo uzyskania pożyczki. No chyba że takiej na złodziejski procent od szemranej instytucji.

Niespłacenie długu oznacza również kłopoty z *soft power*. Kraj, który staje się niewypłacalny, traci część politycznej mocy oddziaływania. Na arenie międzynarodowej – poza liczbą dywizji – liczy się również to, w jaki sposób partnerzy i oponenci nas postrzegają. Na końcu są także inwestorzy. Bankructwo państwa stanowi dla nich sygnał, że nie jest to dobre miejsce do lokowania swoich środków. Pieniądze inwestorów są potrzebne do rozwoju gospodarczego kraju oraz po to, żeby jego owoce mogły być mądrze rozdzielane między obywateli.

Na koniec zmierzmy się z odpowiedzią na frapujące pytanie, niczym bumerang powracające w debacie publicznej: „Czy na horyzoncie widać ryzyko «greckiego scenariusza»"?

Najpierw dobre wiadomości. Chociaż nasz dług rośnie i to dość gwałtownie, to wciąż wydaje się, że mamy sporo luzu, zanim dobijemy do sufitu. Istnieje wiele krajów rozwiniętych, które biją nas na głowę, jeśli chodzi o ten parametr, i wciąż się rozwijają. Notujemy również rekordowy, w odniesieniu do Unii Europejskiej, wzrost gospodarczy. I będzie tak przez co najmniej kilka najbliższych lat (o ile na horyzoncie nie pojawi się kolejny czarny łabędź). To z kolei powoduje, że potencjalnie z części długu możemy wyrastać, ponieważ wraz ze wzrostem PKB będzie maleć udział zobowiązań w porównaniu do wielkości gospodarki (o ile oczywiście przyhamujemy z deficytem).

Złe wiadomości są natomiast takie, że nie do końca wiemy, gdzie wspomniany sufit się znajduje. I lepiej nie testować jego wysokości. Inną niezbyt pocieszającą sprawą jest fakt, że na spłatę długu wydajemy więcej niż na 800+. O kolejnej niedobrej wiadomości mówi mi Marcin Zieliński. – Na horyzoncie mamy ogromną zmianę demograficzną, która oznacza malejącą proporcję osób aktywnych zawodowo w porównaniu do grupy, która będzie otrzymywać emerytury. Coraz mniej osób będzie pracować, a coraz więcej będzie pobierać świadczenia, co potencjalnie zwiększy napięcia w finansach publicznych. Do tego pojawi się zwiększone zapotrzebowanie na finansowanie ochrony zdrowia – stwierdza analityk FOR-u.

Podsumowując: straszenie scenariuszem greckim należy do pewnego repertuaru polityczno-ekonomicznych ostrzeżeń, które mają bardzo niewielką szansę się zmaterializować. Nie warto jednak kusić losu.

Na koniec jeszcze rekomendacja Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ta niegdyś uważana (zresztą niebezpodstawnie) za jedną z najbardziej przeżartych neoliberalizmem organizacji w swojej nocie po wizytacji w naszym kraju pod koniec zeszłego roku pisała: „Jeśli obecne poziomy wydatków na świadczenia społeczne, obronność i płace publiczne mają zostać zachowane, przy jednoczesnym uwzględnieniu przyszłych presji związanych ze starzeniem się społeczeństwa i klimatem, dochody będą musiały wzrosnąć. W tym kontekście w polskim systemie podatkowym wyróżnia się podatek dochodowy od osób fizycznych (PIT), który generuje o 5 procent PKB mniej dochodów w porównaniu do średniej UE. Dochody z VAT można również zwiększyć poprzez ograniczenie zwolnień i preferencyjnych stawek, które należą do najbardziej kosztownych w UE. Ponadto preferencyjne i regresywne opodatkowanie nieruchomości (dochody z najmu, zyski kapitałowe, podatek od nieruchomości i VAT) można ograniczyć, szczególnie w przypadku drugich i trzecich nieruchomości".

Straszenie scenariuszem greckim należy do repertuaru ostrzeżeń, które mają niewielką szansę się ziścić.

Niektórzy mogliby powiedzieć, że piekło zamarza – neoliberałowie proponują podwyższanie podatków. Moim zdaniem to symptom pewnego przesunięcia, dający się od dłuższego czasu zaobserwować w organizacjach eksperckich. Zasadza się ono na dostrzeżeniu wagi komponentu społecznego w gospodarce. Widać to również w kwestii długu. Ten coraz rzadziej bywa postrzegany jako coś, z czym za wszelką cenę trzeba walczyć. I coraz częściej rozumie się, że jest narzędziem gospodarczym jak każde inne. Jeżeli ktoś z Państwa znajomych straszy wielkością długu, zapytajcie go, czy 70 kilometrów na godzinę to dużo. Zależy? Ano właśnie!

Mam nadzieję, że spłaciłem kredyt zaufania, który zaciągnąłem na początku tekstu. I jesteśmy kwita.

Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.



Więcej na ten temat przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/ekonomia**

FILIPKA

RUTKOWSKA

GENDER IS OVER

GALERIA STUDIO

PLAC DEFILAD 1, PKIN

WARSZAWA

13.04 — 5.07.2026

PAWEŁ ALTHAMER

HANAYO

DAWID NICKEL

PARTNERZY:

STUDIO teatrgaleria

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

PARTNERZY MEDIALNI:

VOGUE

MINT

SZUM

PORTRET

Kevin Kelly, kaznodzieja technoentuzjazmu

tekst KATARZYNA KAZIMIEROWSKA

ZNANY JEST Z TEGO, że nie zmienia zdania. W latach 90., kiedy zachłysnęliśmy się postępem i napędzającym go kapitalizmem, znalazł się w samym środku rewolucji kulturalnej, której ciemną stronę poznajemy dopiero teraz. Trudno było wówczas nie być optymistą. Problem w tym, że amerykański futurolog pozostał nim do dziś.

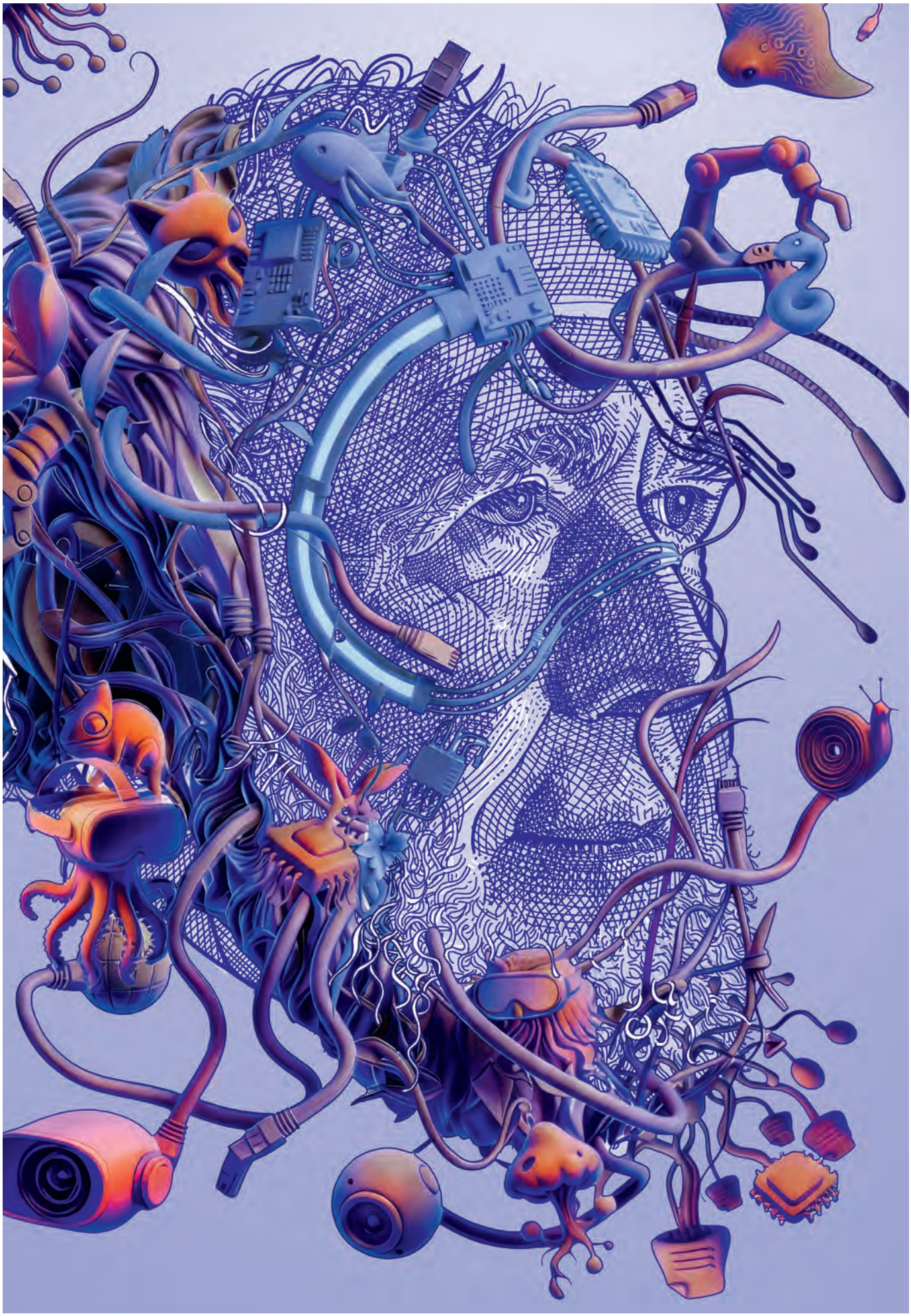
Z Kevinem Kellym, pierwszym redaktorem naczelnym magazynu poświęconego technologii „Wired", spotykam się w warszawskim Muzeum Historii Polski. Jest październik 2024 roku, widzimy się w trakcie dwudniowej konferencji Masters & Robots. Tego dnia zaprezentował na niej wizję przyszłości, w której ludzie będą ściśle współpracować ze sztuczną inteligencją. „Człowiek plus AI równa się lepszy człowiek – przekonywał podczas swojego wystąpienia Kelly. – Sztuczna inteligencja jest dziś jak dwuletnie dziecko, ale ma własną trajektorię rozwoju, która wykracza poza ludzką kontrolę. Stwórzmy jej odpowiednie warunki, by wyrosła i dojrzała". Technooptymizm Kelly'ego zachwyca jemu podobnych entuzjastów, w tym jednych z najpotężniejszych ludzi na świecie, właścicieli VLOP-ów (Very Large Online Platform – wielkich firm technologicznych). Jednocześnie futurolog nie traktuje poważnie tych, którzy w niepohamowanym rozwoju technologii widzą zagrożenia. To w ogóle nie jest dla niego temat do rozmowy.

Przekonałam się o tym, siedząc z nim w przestronnej, oświetlonej przez popołudniowe słońce stołówce muzealnej. Kelly, rocznik 1952, z charakterystyczną białą brodą okalającą twarz, wydaje się zmęczony i zirytowany wątpliwościami mnożonymi przez sceptyków i dziennikarzy. Gdy pytam go, jak po latach ocenia swoje prognozy dotyczące przyszłości technologii, przyznaje, że trudno myśleć z wyprzedzeniem. – Wszyscy mamy w głowie filmy science fiction wykreowane przez Hollywood. Tak mocno wpłynęły na naszą wyobraźnię, że musimy o tej wizji zapomnieć, aby móc wymyśleć coś zupełnie innego – tłumaczy. – Pracowałem kiedyś z think tankami, które tworzą scenariusze przyszłości dla dużych amerykańskich firm, takich jak Kodak czy Disney. Spotykaliśmy się z dyrektorami generalnymi, próbując skłonić ich do wspólnej dyskusji na temat kierunku, w którym zmierzają ich firmy. Najtrudniejszą rzeczą dla nich było porzucenie założeń dotyczących tego, jak powinna wyglądać przyszłość, którą uważali za oczywistą.

Zastanawiam się, jak bardzo on sam jest przywiązany do własnej wizji przyszłości, w której sztuczna inteligencja pięknie układa nam świat. Ale o to zapytam go za chwilę.

KIM JEST Kevin Kelly? Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce, znalazł się w grupie ludzi, którzy postanowili zrealizować wizję świata, o jakim ich współczesnym się nie śniło – wizję świata cyfrowego.

W takich biografiach fascynuje mnie moment, w którym życie obiera kierunek, z którego potem możemy się rozliczać albo zastanawiać, czy już było za późno, by cokolwiek zmienić. U Kelly'ego ten moment mógł nastąpić wcześnie, jeszcze w dzieciństwie. Jego ojciec był dyrektorem wykonawczym w magazynie „Time", gdzie zajmował się analizami systemowymi. Zaraził syna bakcylem cybernetyki, czyli nauki o przekazywaniu i przekształcaniu informacji w systemach, takich jak żywy organizm, społeczeństwo lub maszyna. Jednocześnie w wydanej w 2010



rysunki STUDIO2 / KOTNOWSKA / VASINA, portret na podstawie zdjęcia Christophera Michaela

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA, dziennikarka. Zastępczyni redaktorki naczelnej „Pisma". Redaktorka prowadząca wydań specjalnych. Autorka cyklu *Strategie przetrwania*, a także książek *Życie. Strategie przetrwania* oraz *Wielkie zmęczenie. Osobista historia cukrzycy typu 1.*

roku książce *What Technology Wants* (*Czego chce technologia*) Kelly przyznaje, że do czasu, gdy skończył 10 lat, w domu nie było telewizora. Obserwując, jak destrukcyjny wpływ miała telewizja na jego kolegów i koleżanki, którzy spędzali czas w domu, zamiast wychodzić na dwór, obiecał sobie, że on sam nie da się technologii.

Na studiach wybrał geologię, ale rzucił ją po roku, by ruszyć z plecakiem do Azji i na Bliski Wschód. W podróży spędził dziewięć lat. W 1979 roku znalazł się w Jerozolimie, by jako fotograf freelancer udokumentować obchody Wielkanocy. Kiedy chciał późnym wieczorem wrócić do hostelu, okazało się, że ten już był zamknięty, więc włóczył się po mieście, by znaleźć w końcu schronienie w jedynym otwartym kościele. Była to Bazylika Grobu Pańskiego, zbudowana – według tradycji chrześcijańskiej – w miejscu ukrzyżowania i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Dwie dekady później w podcaście *This American Life* opowiadał, co się wydarzyło, gdy obudził się następnego dnia rano: „Wpadła mi do głowy myśl, która nie chciała zniknąć – powinienem żyć tak, jakbym miał umrzeć za sześć miesięcy, że naprawdę, naprawdę powinienem żyć. (...) Takie miałem zadanie".

Kelly postanowił wrócić do domu i spędzić czas z rodziną. Najpierw pojechał do rodziców w New Jersey, a potem odwiedzał swoje rodzeństwo rozsiane po kraju, jeżdżąc do swoich czworga braci i sióstr na rowerze. A kiedy pół roku po nocy w Jerozolimie obudził się w rodzinnym domu, uznał: „Odzyskałem całe swoje życie. Znów miałem przyszłość". Myśl, która nawiedziła go w Bazylice Grobu Pańskiego, uznał za znak boskiej opatrzności. Wychowany w wierze katolickiej Kelly stał się kimś, kogo ewangelicy nazywają *born-again Christian* – powtórnie narodzonym chrześcijaninem.

O swoich podróżach Kelly pisał dla amerykańskiej prasy, więc w 1984 roku został zaproszony przez redaktora magazynu „Whole Earth Catalog" Stewarta Branda do współtworzenia kwartalnika o nazwie „CoEvolution Quarterly". Profesor David Karpf z George Washington University, wieloletni autor magazynu „Wired", opowiada mi o Brandzie: – Wyrósł z ruchu kontrkultury lat 60. i był w nim ważną postacią. Organizował The Trips, festiwal muzyczny w San Francisco, na którym wystąpił między innymi zespół The Greatful Dead. A potem założył „Whole Earth Catalog", w którym padały takie pytania jak to, czy technologie mogłyby zostać wykorzystane przez szeroko rozumianą kontrkulturę, w tym przez ruch powrotu do natury – tłumaczy mi Karpf. – Magazyn zdobył National Book Award i zyskał dużą popularność. Czytali go i inspirowali się nim tacy ludzie jak Steve Jobs.

„CoEvolution Quarterly", jak pisze na swojej stronie internetowej Kelly, był magazynem „poświęconym szerszemu rozumieniu wszystkich spraw: biologicznych, społecznych i technologicznych, adaptujących się do siebie i wzajemnie tworzących, a jednocześnie splatających się w jeden system. Jako wstęp Brand podał definicję: «Ewolucja to adaptacja do zaspokojenia własnych potrzeb. Koewolucja, szersza perspektywa, to adaptacja służąca zaspokojeniu wzajemnych potrzeb»" [przeł. tu i dalej, jeśli nie zaznaczono inaczej, K.K.].

W tym czasie Kelly – odtrącający dotąd nowe technologie – przeżył fascynację tym, w jaki sposób różne narzędzia mogą ułatwić nawiązywanie relacji na całym świecie. Wspomina w *What Technology Wants*: „Na własne oczy widziałem sieci łączące ludzi z pomysłami, możliwościami i innymi ludźmi, których inaczej nie mogliby poznać. Sieci uwalniały pasje, potęgowały kreatywność, wzmacniały hojność. Dokładnie w momencie, w którym eksperci ogłosili, że pisanie umarło, miliony ludzi zaczęły pisać online więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Dokładnie wtedy, gdy eksperci ogłosili, że w kręgle będzie się grać w pojedynkę [to nawiązanie do książki *Samotna gra w kręgle*, w której Robert D. Putnam diagnozował rozpad więzi społecznych w USA – przyp. red.], rzesze osób zaczęły spotykać się masowo. W sieci współpracowały, dzieliły się wiedzą i łączyły na niezliczone, nieoczekiwane sposoby. To było dla mnie nowością. Zimne krzemowe chipy, długie metalowe przewody i skomplikowane urządzenia wysokiego napięcia wspierały nasze najlepsze ludzkie wysiłki". Tę narrację podtrzymuje także dziś.

W 1985 roku „CoEvolution Quarterly" zmienił nazwę na „Whole Earth Review", z podtytułem „Tools and Ideas for the Computer Age". Pracowali nad nim naukowcy, pasjonaci, ale przede wszystkim przedstawiciele kontrkultury, w opozycji do politycznego i obyczajowego mainstreamu. Widać to na pierwszej okładce magazynu pod nowym tytułem: młoda dziewczyna w wianku na głowie pali jointa, a w tle widać jałową, postapokaliptyczną ziemię. W ramach pracy dla magazynu Kelly coraz bardziej interesował się systemami komunikacji i technologiami, więc gdy Stewart Brand i Larry Brilliant założyli The Well (The Whole Earth 'Lectronic Link), jedną z najstarszych na świecie wirtualnych społeczności (i, uwaga, wciąż działającą), Kelly od razu znalazł się na pokładzie. The Well rosła powoli, do 1993 roku miała 7 tysięcy użytkowników i roczny przychód w wysokości 2 milionów dolarów. Magazyn „Wired" w 1997 roku nazwał The Well „najbardziej wpływową społecznością online".

—

NADCHODZĄCY technologiczny skok wyczuł przedsiębiorca i wydawca Louis Rossetto. Uznał, że trzeba założyć magazyn, który nie tylko będzie śledził rozwój rodzącej się kultury cyfrowej, ale też zacznie ją kreować. Z braku inwestora jego przyjaciele wyruszyli w poszukiwaniu potencjalnych sponsorów do Nowego Jorku i San Francisco. Wkrótce uśmiechnęło się do nich szczęście – trafili do Nicholasa Negroponte, współzałożyciela MIT Media Lab, interdyscyplinarnego laboratorium badawczego na Massachusetts Institute of Technology, mającego łączyć sztukę i naukę. Ten spojrzał na biznesplan o 7:30 rano przed konferencją TED w Monterey w Kalifornii i z marszu postanowił zainwestować w nowy magazyn. Jak powiedział sam Negroponte: „Decyzja, by zainwestować w «Wired», była zuchwała. Reszta jest historią".

Gdy w 1992 roku Rossetto zaproponował Kelly'emu dołączenie do zespołu powstającego magazynu jako redaktor naczelny, ten nie wahał się ani chwili. „Od samego początku istniał jeden filtr: czy byłeś wystarczająco szalony, wystarczająco głęboko wierzący, by podjąć się niemożliwego? To był wymóg" – wspomina Kelly w artykule Teda Greenwalda *Step Behind the Scenes of*

the Frantic, Madcap Birth of Wired (*Zajrzyj za kulisy szalonych narodzin „Wired”*). Wprowadził do redakcji nie tylko wiedzę dotyczącą nowych technologii i swoją wizję ich rozwoju, ale też autorów, którzy razem z nim uczyli się w The Well.

„Wired”, pismo o kulturze cyfrowej, pojawiło się na rynku w najlepszym możliwym momencie, gdy internet dopiero raczkował. Czytane dziś pierwsze numery magazynu to prawdziwa podróż do przeszłości sieci i dowód na to, że kiedyś wyglądała ona inaczej: od pierwszych stron WWW o bardzo podstawowym, przaśnym interfejsie po gadżety służące do obsługi sprzętu („Wired” miał kolumnę o nazwie „Fetish”, w której pisano o technologicznych nowinkach). Z jednej strony był to magazyn dla geeków, wkręconych w komputery i kulturę cyfrową, która rodziła się na ich oczach, a z drugiej – reklamy i recenzje drogich gadżetów były kierowane do zarabiających duże kwoty białych kołnierzyków po 40-tce, których było stać na takie ekstrawagancje, jak zwraca uwagę Anna Wiener w artykule *On Reading Issues of Wired from 1993 to 1995* (*O czytaniu wydań „Wired” z lat 1993–1995*) dla „New Yorkera”.

Magazyn tworzyli – i go czytali – ludzie, którzy wywodzili się z kontrkultury lat 60.: artyści, anarchiści, hipisi. Na zdjęciu z 1996 roku ilustrującym tekst Greenwalda redakcja magazynu wygląda jak z mojej fantazji, gdy myślałam o dziennikarstwie na studiach: biurka zawalone komputerami, wszędzie drukarki, faksy, stosy pudeł, papierów i książek; mnóstwo ludzi piszących, rozmawiających ze sobą lub przez telefon; przy każdym niemal biurku rower. Przestrzeń, w której aż buzuje od kreatywności.

„«Wired» nie był magazynem o technologii, ale magazynem o kulturze technologii. Wynikało to w dużej mierze z moich podróży i było jednym z głównych aspektów pozwalających mi spojrzeć na świat z innej perspektywy i wykorzystać odmienność jako sposób myślenia” – powie potem Kelly w wywiadzie. Prowadził magazyn przez siedem lat, narzucając swój styl, tematy i fascynację technologią, w które ujrzał źródło świetlanej przyszłości ludzkości.

– Pamiętajmy, że „Wired” tworzony w latach 90. to zupełnie inny magazyn niż ten dzisiejszy. Stanowił fenomen, także pod względem wizualnym. Natomiast same treści nie były odkrywcze. Mieli sporo ciekawych newsów, nowinek technologicznych, ale równie dobre materiały o kulturze cyfrowej pisał w tym czasie mainstream, jak „Time” czy „The New Yorker” – zaznacza Sylwia Czubkowska, dziennikarka i autorka książki *Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem*. – Obecnie to medium bardzo krytyczne wobec big techów, braku regulacji dotyczących nowych technologii, mediów społecznościowych, AI czy dużych modeli językowych. To „Wired” w 2018 roku pierwszy opublikował ostry tekst o tym, co się dzieje w Facebooku. Pamiętam Marka Zuckerberga z obitą twarzą na okładce, a w środku kulisy zarządzania firmą i jej realnego wpływu na świat.

Nicholas Negroponte, współzałożyciel MIT Media Lab, spojrzał na biznesplan pomysłodawców „Wired” o 7:30 rano przed konferencją TED w Kalifornii i z marszu postanowił zainwestować w nowy magazyn. „Wired” pojawił sie na rynku, gdy internet dopiero raczkował.

David Karpf dodaje: – „The Wired” zaczął publikować krytyczne artykuły podczas pierwszej administracji Donalda Trumpa, od czasu do czasu ukazywał się jeszcze jakiś tekst Kelly’ego, który przy obecnej naczelnej, Katie Drummond, już nie pisze. Magazyn zdecydowanie odsuwa się od technomiliarderów, którzy chętnie by poopowiadali, że w Dolinie Krzemowej budują przyszłe miejsca pracy, więc zejdźcie im z drogi, nie przeszkadzajcie rozwojowi, a to są słowa, pod jakimi podpisuje się Kelly.

Według Karpfa naczelnego „Wired” wyróżnia fakt, że jest ponownie narodzonym chrześcijaninem: – Kiedy jego znajomi, w tym Brand, buntowali się w duchu hipisowskim przeciwko establishmentowi i społecznym regułom, odrzucając często kwestie religijne, on przeżył objawienie i myślę, że stąd też bierze się duża część jego filozofii. Doszedł do wniosku, że technologia, którą budujemy, jest sposobem, w jaki objawia się Bóg, i to napędza jego technooptymizm.

Kelly rozstawał się z „Wired” stopniowo, najpierw rezygnując ze stanowisk decyzyjnych, by móc rozwijać swoje zainteresowania i projekty. Zaczął pisać książki, nagrywać podcasty, prowadzić blogi i wysyłać newslettery, a także stał się popularnym mówcą, który nowinę o dobrodziejstwach technologii niesie niczym gałązkę oliwną.

—

KELLY JEST ZNANY z trzech kluczowych pojęć, które ukształtowały jego myślenie. Pierwsze z nich to *thousand true fans*, które oznacza, że wystarczy zdobyć dla swojej idei 1000 popleczników, żeby rozkwitła i zapewniła utrzymanie finansowe.

Drugie pojęcie to *technium*, które Kelly objaśnia w książce *What Technology Wants*. Pisze w niej, że istotną cechą *technium* jest „idea samonapędzającego się systemu stworzenia. (...) *Technium* chce tego, czego my chcemy (...) Ale oprócz tych popędów, ma ono swoje własne pragnienia. Chce się uporządkować, samoorganizować w hierarchiczne struktury tak jak większość dużych, głęboko powiązanych systemów. *Technium* pragnie również tego, czego pragnie każdy żywy system: utrwalać się, utrzymywać przy życiu. A wraz z jego rozwojem te wrodzone pragnienia nabierają złożoności i siły”.

– To chyba najciekawsze, co wnosi Kelly – przyznaje Czubkowska. – *Technium* w jego rozumieniu to globalny, autonomiczny system technologiczny, zbiór maszyn, narzędzi, ale też procesów naukowych, infrastruktury, instytucji, idei, kodów kulturowych, cały ekosystem. I rzeczywiście kiedy się przyjmie jego perspektywę, że i tak funkcjonujemy w takim ekosystemie, czy tego chcemy, czy nie, w którym wszystkie te elementy ze sobą współpracują, to okaże się, że nasz świat działa jak quasibiologiczny organizm. Według Kelly’ego to wielka siła, której nie ma sensu próbować opanować, lepiej z nią współpracować. Opisuje ją niczym naturalne mechanizmy rozwojowe, którym nie ma co za bardzo się przeciwstawiać, bo to tak, jakbyśmy stawiali opór sile natury, która zawsze z nami wygra. Tylko że to nieprawda,

bo przecież co rusz ograniczamy naturę, narzucamy jej nasze pomysły – mówi.

W opublikowanych meilach wymienianych z eseistką Jeannette Cooperman Kelly pisze: „*Technium* chce tego, co każdy żywy organizm: utrwalić się, utrzymać przy życiu. A w związku z tym chce się kopiować, tak jak życie chce się kopiować, by rosnąć, rozwijać się, technium kopiuje informacje i jego celem jest nieustanne powielanie". Kiepska wiadomość dla własności intelektualnej – stwierdza Cooperman w portalu The Common Reader.

Jeszcze dokładniej technologiczny determinizm tłumaczy Jan Jęcz, socjolog i ekspert od nowych technologii z Polityki Insight, postrzegający *technium* Kelly'ego jako żywioł, z którym nie możemy walczyć, za to możemy go ukierunkować. – Podobnie o technologii pisze Marc Andreessen, współtwórca Netscape'a i autor manifestu technooptymistycznego z 2023 roku, w którym uznał, że wrogami postępowych optymistów są regulacje środowiskowe oraz ludzie zajmujący się etyką sztucznej inteligencji i zwracający uwagę na społeczne koszty rozwoju technologii – mówi Jęcz.

W jednym z podcastów Kelly powiedział, że wynalezienie sztucznej inteligencji można porównać do opanowania ognia. – To porównanie jest nieprawdziwe, nieadekwatne, ale jaka jest prawda? Może najpierw tym się zajmijmy, skąd się wzięła ta sztuczna inteligencja, gdzie jest rozwijana, przez jakich ludzi, z jakimi interesami, skąd się biorą dane do jej trenowania, kto wymyśla algorytmy uczenia maszynowego. To jest o wiele ciekawsze – odbija piłeczkę Jęcz. – I dopiero gdy już będziemy mieli to tło, zacznijmy się zastanawiać, czy da się tę technologię ukierunkować, czy ona jest ostatecznie siłą dobra, czy zła. Natomiast jak się nie odrobi tej lekcji z historycznego materializmu, to później bardzo łatwo jest po prostu budować zamki z piasku, gdzie każda kolejna teza wynika z poprzedniej, ale żadna nie jest motywowana statystykami czy etnografią. I to jest problem nie tylko z Kevinem Kellym, ale generalnie z technologicznymi wizjonerami, którzy są świetni publicystycznie, ale nie wykonali pracy w bibliotece, w laboratorium, w krajach globalnego Południa, gdzie na przykład jest outsourcowana praca moderatorów. Gdy tego brakuje, to łatwo zabrnąć w absurdalne tezy.

Gdy pytam Karpfa o *technium*, ten tylko się uśmiecha: – Chyba wszyscy akademicy obśmiali ten koncept. Nikt tego technologicznego determinizmu nie bierze na poważnie. I nikt tym się już nie zajmuje.

– Jewgienij Morozow w wydanej w 2013 roku książce *To Save Everything, Click Here* [*Kliknij tu, by zachować wszystko*; to gra słów, bo *save* oznacza też „uratować" – przyp. red.] polemizuje z *What Technology Wants* – mówi Jęcz. – Wskazuje Kelly'ego jako ojca założyciela internetocentryzmu, którego czytają całe pokolenia młodszych autorów, na przykład Tim Wu, także bezkrytycznie nakręcający taką narrację. Według tych wizjonerów na technologie takie jak internet czy sztuczna inteligencja można patrzeć w oderwaniu od kontekstu społecznego. W wystąpieniach Kelly'ego nie ma słowa o ludziach, którzy tę technologię tworzą, nie ma środowiska naturalnego jako źródła rozwoju technologicznego, nie ma społeczeństwa jako kontekstu tego rozwoju.

Chcę aby ludzie mieli 100-letnią perspektywę. Aby zadali sobie pytanie, w jaki sposób mogą stać się dobrymi przodkami. Czy mogą zrobić coś, za co przyszłe pokolenia będą im wdzięczne – mówi Kelly.

Trzecim pojęciem, wokół którego obraca się myślenie Kelly'ego, jest *protopia*. W książce *Nieuniknione. Jak inteligentne technologie zmienią naszą przyszłość* z 2016 roku Kelly pisze: „*Protopia* to stan ciągłego stawania się, a nie dążenie do konkretnego celu. To proces. W modelu protopijnym rzeczy dzisiaj są lepsze, niż były wczoraj, ale tylko trochę lepsze. To stopniowe usprawnienia lub umiarkowany postęp. Cząstka «pro» w słowie *protopia* pochodzi od pojęć proces i progres". – *Protopia* to sposób, w jaki może rozwijać się świat, bo jeśli założymy, że pozytywne zmiany dokonują się bardzo powoli i w niewielkim procencie (niech to będzie procent na rok), to jasne, że są niezauważalne. Ale w perspektywie 100 lat to przecież 100 procent! Czyli to będzie czysty rozwój w dobrą stronę – tłumaczy analityk podczas naszego spotkania.

Kelly ma skłonność do wybiegania myślą daleko przed siebie, niechętnie dostrzegając wyzwania, z jakimi mierzymy się tu i teraz. W rozmowie ze mną mówi: – Spróbuj wyobrazić sobie coś więcej niż tylko następne 25 lat, myśl w kategoriach cywilizacji. Poświęć trochę czasu i zasobów na coś, co będzie trwało 100 lat. Chcę, aby ludzie mieli 100-letnią perspektywę. Chcę, aby zadali sobie pytanie, w jaki sposób mogą być dobrymi przodkami. Czy mogą zrobić coś, za co przyszłe pokolenia będą im wdzięczne? W jaki sposób mogą myśleć w kategoriach pokoleń, kiedy coś tworzą?

– Jako optymista nie uważam, że nasze problemy są mniejsze, niż nam się wydaje. Co więcej myślę, że sztuczna inteligencja spowoduje największe problemy w naszym życiu – przyznaje Kelly. – Jest to w końcu najpotężniejsza technologia. Jednak pozostaję optymistą, ponieważ uważam, że nasza zdolność do rozwiązywania problemów jest większa, niż sądzimy. Różnica między dystopią a utopią jest niewielka. Wszystko, czego potrzebujemy, to stworzyć choć trochę więcej, niż zniszczymy, osiągnąć 51 procent dobra w stosunku do 49 procent zła. Ta różnica jest prawie niewidoczna. Można ją dostrzec tylko w przeszłości. Złe rzeczy dzieją się szybko, a dobre zajmują dużo czasu. Dlatego trzeba ignorować wiadomości, a zamiast nich patrzeć na dane. A dane są bardzo jasne: świat staje się lepszy. Każdy z nas może wymienić straszne rzeczy, które wydarzyły się w zeszłym roku. Ale nie ma to znaczenia, ponieważ dane pokazują, że w zeszłym roku świat stał się nieco lepszy niż rok wcześniej. Długość życia, liczba urodzeń; wszystko się poprawia – kończy.

Kiedy zwracam uwagę, że rozwój edukacji, postępy w medycynie czy bogacenie się społeczeństw to rzeczywiście pozytywne rzeczy, ale nie wydarzają się wszędzie, za to koszty rozwoju widać w krajach globalnego Południa, w katastrofie klimatycznej, więc nie jestem taką optymistką, Kelly wchodzi mi w słowo: – To problem możliwy do rozwiązania, już obserwujemy innowacje wielu przedsiębiorców na rzecz walki ze

zmianami klimatu i jest dla mnie oczywiste, że osiągamy postępy. Możemy więc wyobrazić sobie sukces w tej dziedzinie – twierdzi.

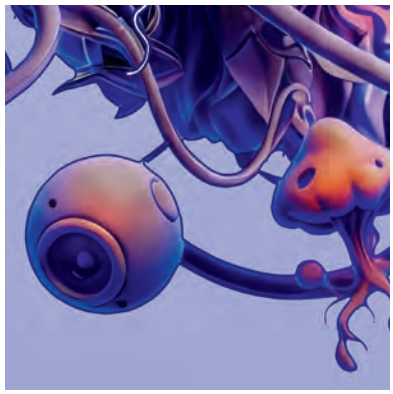
Optymizm Kelly'ego jest nie do zdarcia. – Nie można zbudować samolotu, jeśli nie uwierzy się, że jest to możliwe. Dlatego uważam, że mamy moralny obowiązek być tak optymistyczni, jak to tylko możliwe, aby wyobrazić sobie przyszłość, jakiej pragniemy. Jeśli jej sobie nie wyobrazimy, to ona nie nastąpi – mówi. W książce *Nieuniknione*... pisze, że obawia się, iż przestaniemy dostrzegać przyszłość, odtrącając utopię, dystopię i *protopię*, pozostając w, jak to nazywa, „ślepym teraz", w niezmiennej teraźniejszości.

—

KIEDY ROZMAWIA SIĘ Z Kellym, wszystko, co mówi, brzmi bardzo sensownie i logicznie. Dopóki nie wgryziemy się w to głębiej. Nasza rozmowa szybko schodzi na sztuczną inteligencję, bo jego wystąpienie podczas Masters&Robots krążyło wokół AI i kreatywności. Podkreślał, że błędem, jaki popełniamy, jest myślenie o jednej sztucznej inteligencji. – Jest ich nieskończenie dużo – uważa Kelly. – Mogą nam się więc przydawać w wielu obszarach i można je szkolić do różnych rzeczy. Skoro robot ma zbierać truskawki, to nie trzeba go karmić wiedzą z filozofii.

Podczas spotkania tłumaczy mi, że sztuczna inteligencja uwolni nas od nudnych, powtarzalnych zawodowych obowiązków, a pozwoli pracować kreatywnie i najlepiej, jak potrafimy. – Dzięki temu, że AI wykona za ciebie żmudne zadania, będziesz mieć więcej czasu na pisanie wartościowych artykułów – przekonuje mnie. W *Nieuniknionych*... Kelly pisze o sobie: „Mój sposób myślenia stał się bardziej aktywny, mniej kontemplacyjny. (...) Dla niektórych osób to najgorsza cecha sieci – utrata namysłu. (...) Ten nowy sposób funkcjonowania – surfowania po falach, głębokiego nurkowania, wypływania, przemykania od bitu do bitu, tweetowania i ślizgania się po powierzchni, zagłębiania się w nowości, marzenia na jawie, kwestionowania wszystkiego – to nie błąd. Tak ma po prostu być. Właśnie to jest właściwa reakcja na ciągły strumień danych, newsów i faktów, które nas zalewają".

Kelly chętnie dzieli się swoimi eksperymentami z ChatemGPT i uważa, że korzystanie z dużych modeli językowych (*Large Language Models*, LLM) poprawia wydajność. Na konferencji pokazywał slajdy mające dowodzić, że osoby piszące i programiści wykonywali swoją pracę o wiele szybciej i efektywniej, korzystając z LLM-ów. Tymczasem badania z 2025 roku cytowane przez magazyn „Time" wskazują na coś zgoła innego: osoby, które podczas badania miały napisać esej, posługując się ChatemGPT, wykazywały najniższy poziom zaangażowania mózgu i „konsekwentnie osiągały gorsze wyniki na poziomie neuronalnym, językowym i behawioralnym w porównaniu do osób, które napisały tekst, nie korzystając z ChataGPT. Używający LLM-ów w ciągu kilku miesięcy stawali się coraz bardziej leniwi przy pisaniu kolejnych esejów, często pod koniec badania uciekając się do kopiowania i wklejania treści".



Sam Kelly liczy na to, że ludzie będą czerpać radość ze sztucznej inteligencji, a także dadzą upust swoim ambicjom i talentom. Bo dzięki AI każdy dziś może być twórcą. O wątek egalitarności podpytuję Wojciecha Orlińskiego, byłego dziennikarza, autora książek oraz znanego lemologa. – Pamiętam te początki korzystania z internetu, tę radość, że oto mamy narzędzie demokratyczne, które może dotrzeć wszędzie, niezależnie od tego, czy ktoś mieszka w dużym mieście, czy na wsi. Podobało mi się, że nie ma centrali narzucającej zasady gry czy monopolizującej produkt – przyznaje Orliński. – Internet na początku dawał poczucie równości możliwości, ale też taką samą wiedzę dla wszystkich. Dziś jest już inaczej. Jedyna dobra rzecz, jaka odpowiada tym ideom wczesnego internetu i która jakimś cudem przetrwała, to Wikipedia, w której rzeczywiście każdy może być twórcą. A nam na początku wydawało się, że wszystko w internecie będzie taką Wikipedią, demokratycznie tworzoną i rzetelną.

Podczas wystąpienia na konferencji Kelly stwierdził: „Już nie jesteśmy ludźmi książki, tylko ludźmi ekranu, a AI generuje wideo. A to zmieni studia filmowe, które dziś przeznaczają dużo pieniędzy na pracowników, ich ubezpieczenie, na montaż, ale jeśli będzie można samemu zmontować film, to jest to szansa dla filmowych geniuszy". Czy rzeczywiście AI to odpowiedź na strajki aktorów i reżyserów? Chcemy oglądać filmy z aktorami AI, zmontowane przez AI? Sam Kelly stwierdził w jednym z wywiadów, że nie obchodzi go, czy na ekranie ogląda aktora, czy wygenerowaną postać, interesuje go tylko, czy film jest dobry. Pytam go o kreatywność, bo budzi we mnie ogromny niepokój fakt, że sztuczna inteligencja na podstawie danych, którymi ją karmimy, kopiuje bez opamiętania muzykę, grafiki, sztukę i dzieła literackie [o roli AI w muzyce pisał Jakub Knera, „Pismo" nr 2/2026 – przyp. red.].

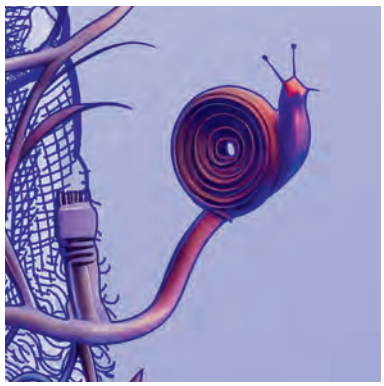
Nawet nie poruszam tematu praw autorskich i własności intelektualnej, bo Kelly jest znany z tego, że uważa wszelkie takie regulacje za zbędne. W podcaście *Beyond the Prompt* powiedział, że „zawsze najlepszym rozwiązaniem jest opracowanie nowych ram praw autorskich. Może pojawić się nowa koncepcja dotycząca tego, czym są prawa i odniesienia, a co powinno zostać usunięte z odniesień. Samo płacenie za użycie dzieła nie przynosi dużych zysków". Uważa jednak, że czym innym jest kradzież, a czym innym inspirowanie się. Jak twierdzi, przecież obrazy, które dziś są kopiowane przez AI (pamiętacie, *technium* kopiuje wszystko), także powstały z inspiracji innymi obrazami. W książce *Nieuniknione*... pisze: „Tym [twórcom], którzy godzą się ze skłonnością internetu do kopiowania i szukają takich wartości, których nie da się łatwo skopiować (...), będzie się powodzić, a ci, którzy odmawiają, zabraniają i próbują walczyć z chęcią kopiowania w sieci, zostają z tyłu. (...) Powszechne kopiowanie jest nieuniknione, ale możemy dokonać wyborów przesądzających o jego charakterze".

Rzeczy, które niepokoją w wypowiedziach Kelly'ego, jest więcej. Podczas swojego wystąpienia na Masters & Robots powiedział, że lepiej mieć terapeutycznego bota niż czytać książkę o terapii. I jako przykład podał przypadek Esther Perel [jej portret publikujemy w Wydaniu Specjalnym w czerwcu – przyp. red.], znanej terapeutki, wypowiadającej się zwłaszcza w temacie związków romantycznych. Kelly stwierdził, że w internecie można znaleźć tyle jej wystąpień i wywiadów, że nakarmienie nimi AI spowoduje, że udzieli nam takich samych porad, jakich by udzieliła Perel. Sprawia wrażenie, jakby zapomniał, że ludzkie historie – nawet jeśli są schematyczne – różnią się często w istotnych szczegółach. Nie ma dwóch identycznych opowieści o miłości, zdradzie czy rozstaniu.

Do tego dochodzą jeszcze kwestie techniczne, czyli jak działa taki bot terapeuta. „Załóżmy, że ktoś ma podejrzenia, że jest prześladowany albo jest jednostką wybitną. Czatbot AI będzie powtarzał, wzmacniał i potwierdzał w rozmowie z taką osobą wszystko, co ona mówi" – powiedział profesor Marek Krzystanek, kierownik Katedry i Kliniki Rehabilitacji Psychiatrycznej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w wywiadzie udzielonym portalowi Wyborcza.biz. I dalej: „Tak zaprogramowane są czatboty. Nie tworzą nowych rad czy zaleceń, tylko odzwierciedlają i rozwijają to, co już usłyszały i przeczytały. Są stworzone, aby wciągać w rozmowę i utwierdzać użytkownika w tym, co mówi, nie zaś do terapii czy tego, żeby zastąpić kontakt z człowiekiem".

Zagaduję więc Kelly'ego o zdrowie psychiczne. Kiedy rozmawiamy, jeszcze nie wiem, że w 2026 roku w Australii wejdzie w życie zakaz korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci i młodzież do 16. roku życia [pisała o tym Agi Burton, „Pismo" nr 2/2026 – przyp. red.]. Ale gdy pytam o wpływ nadużywania technologii i wyzwania dla zdrowia psychicznego, mówi, że pewnie będą miasta czy państwa, które postanowią nakładać jakieś regulacje, ale żeby to zrobić, trzeba się kierować konkretnymi dowodami, a nie niepokojami.

W rozmowie z Grzegorzem Kuberą z Business Insider Kelly jest bardziej bezpośredni: „Problemy związane ze stanem psychicznym i szeroko pojętym dobrostanem dotyczą głównie ludzi młodych, którzy są na nie podatni. Bycie nastolatkiem to trudny okres w życiu. I nie sądzę, żebyśmy jako społeczeństwo powinni oceniać daną technologię i jej wpływ na podstawie tego, jak korzystają z niej nastolatkowie. To oczywiste, że będą oni podchodzić do technologii obsesyjnie i przesadnie. Taka jest natura bycia nastolatkiem. Cokolwiek pojawi się w przyszłości, nastolatkowie prawdopodobnie będą tego nadużywać. Obecnie wiele raportów i badań dotyczy za często rzeczy związanych z social mediami przez pryzmat używania ich przez nastolatków, a nie tego, jak korzystają z technologii ludzie dorośli. Kto z nas ma faktycznie problemy z social mediami?". Aż chciałoby się odpowiedzieć: każdy, kto ich używa. Podczas konferencji Masters & Robots Kelly dodał: „Możliwe, że ludzie będą mieli bardzo silne relacje z botami i AI, bo będziemy chcieli budować z nimi takie emocjonalne więzi i będziemy zaskoczeni, jak wspaniałe możemy z nimi mieć interakcje".



Gdy mówię Kelly'emu, że sztuczna inteligencja i ChatGPT chętnie kopiują i podbijają dezinformację, ten odsuwa pytania, odnosząc się do swojej tezy, że internet odzwierciedla tak zwaną uśrednioną mądrość ludzi, dlatego sztuczne inteligencje wymuszą w końcu na nas, byśmy stawali się coraz lepsi, także etycznie. W jego rozumieniu im mądrzejsi ludzie, tym mniej dezinformacji. A nie można winą za jej kopiowanie obarczyć technologii.

Wytyka mu to Jan Jęcz: – Badania na temat algorytmów filtrujących portale społecznościowe i powielających *fake newsy* pokazują, że nie można polegać na technologii w kwestii dezinformacji. Ani na tym, że w końcu ludzie zmądrzeją. Za wyłapywaniem *fake newsów* i szerzeniem dezinformacji stoją konkretne decyzje polityczne podejmowane przez konkretnych ludzi, z konkretnymi intencjami. To, że coś jest prostowane, a jakieś źródła wskazujące na prawdziwość czy fałszywość informacji zostają podpięte pod post, to nie jest efekt mądrości ludzi, tylko decyzji na górze – mówi.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie o dezinformację, Kelly wraca do wpływu AI na twórczość i rozwój wiedzy: pyta mnie, czy słuchałam podcastu Google Notebook. Gdy zaprzeczam, mówi, że to wspaniałe narzędzie, pozwalające wrzucać różne dokumenty naukowe, artykuły, książki i dodawać komendę, by z tych materiałów narzędzie zrobiło podcast. – W efekcie dostajesz nagranie, które brzmi jak rozmowa dwojga ludzi omawiających temat, żartujących i kłócących się. To jest świetne! – entuzjazmuje się Kelly. A kiedy pytam go, po co miałabym tracić czas na boty, kiedy mogę posłuchać ludzi, odpowiada, że nie każdy potrafi klarownie wytłumaczyć choćby kwestie naukowe, prace akademickie. – A co, jeśli boty zaczną manipulować treścią, dostosowywać ją do mnie na granicy dezinformacji? – Nie poddaję się. – No to wybrałbym tego, który tego nie robi, albo odrzuciłbym tego, który chce mi sprzedać jakieś treści marketingowe, co to za problem. – Kelly nie kryje irytacji. Ewidentnie mam kłopot z wytłumaczeniem mu, że nie zawsze jesteśmy w stanie wyczuć manipulację czy *fake newsy*.

Kolejna rzecz, która mnie niepokoi, to jego propozycja, która silnie wybrzmiewa między innymi w książce *Nieuniknione*..., dotycząca nieustannego monitorowania ulic przez AI. Kelly pisze, że „internet jest największą i najszybszą na świecie maszyną do monitorowania, zatem wszystko, co będzie miało z nim styczność i może być śledzone, na pewno będzie śledzone. Będziemy śledzić samych siebie oraz naszych znajomych, a sami będziemy śledzeni przez znajomych, firmy, rząd i administrację. (...) Są ludzie, którzy walczyli i nadal mocno walczą ze skłonnością technologii do monitorowania, są też tacy, którzy w końcu zaczną działać zgodnie z naturą technologii".

Przypominają mi się słowa Sylwii Czubkowskiej, że przecież technologia nie kieruje się bezwzględnymi prawami jak natura, stoją za nią ludzie, ich motywacje i intencje. Pytam go o to. – W małej wiosce każdy był widoczny jak na dłoni. Prawdopodobnie ludzie nawet nie spali w oddzielnych pokojach, więc o czym mówimy – odpowiada zirytowany. – Jesteśmy przyzwyczajeni do bycia obserwowanymi, w ten sposób się rozwinęliśmy społecznie. Przez miliony lat nie było prywatności, to norma dla ludzi – dodaje. Nie chcę przypominać, że jego wizja inwigilacji odpowiada programom, jakie w swoim kraju stosują przecież Chiny (albo amerykański Palantir), ale dla Kelly'ego to nie jest argument. W *Nieuniknionych*... pisze, że dla rozwoju trzeba zmienić definicje tego, co prywatne. Czytamy tam: „Fala przemiany już się rozpoczęła. Nieustępliwie zmierzamy w kierunku mocnego połączenia wszystkich ludzi i wszystkich maszyn w globalną matrycę".

—

GDY MÓWIĘ profesorowi Karpfowi, że chcę nakreślić uczciwy portret człowieka, który od ćwierć wieku nazywany jest wizjonerem, ale jego wizja coraz bardziej zgrzyta, mówi mi, że miał podobne nastawienie do Kelly'ego, ale zmienił zdanie. – Dla mnie kłopot polega na tym, że on często się myli, ale wierzy, że ma rację. I jego naczelna narracja jako twarzy i piewcy technooptymizmu to opowieść o tym, że ze światem jest coraz lepiej – wyjaśnia. – Kelly powtarza, że problem polega na tym, że media nie mówią o wszystkich pozytywnych przykładach rozwoju, tylko o tych złych. I jeśli idąc tropem tych złych wiadomości, pogrążymy się w pesymizmie, ryzykujemy utratę wspaniałego jutra – dodaje. Rzeczywiście, podczas wystąpienia na TED Talk w 2021 roku Kelly przyznał, że skala problemów, z jakimi się dziś mierzymy – od zmian klimatu po nierówności społeczne – jest duża, ale „nasza historia została ukształtowana przez optymistów, więc jeśli chcemy wpływać na przyszłość, musimy pozostać optymistami".

– Tylko że przeciwieństwem technooptymizmu nie jest technopesymizm, lecz technopragmatyzm, który koncentruje się na tym, co tu i teraz, a nie na tym, co za 10 tysięcy lat – odbija piłeczkę Karpf. – Na tym, co nowe technologie i stojące za nimi big techy robią nam i światu, co robią lepiej, a co gorzej, i jak możemy wpłynąć, by robiły więcej dobrze, zamiast psuć gospodarkę, społeczeństwo czy środowisko naturalne – tłumaczy. Pytam, czy mówiąc o 10 tysiącach lat ma na myśli *opus magnum* Kelly'ego, Long Now Foundation, która zajmuje się takimi rzeczami jak zbudowanie mechanizmu wielkiego zegara, który ma działać przez 10 tysięcy lat. Budowa jest już na ukończeniu, schowany będzie w górach w Teksasie, na ziemi należącej do Jeffa Bezosa. W artykule poświęconym zegarowi Kelly nie zastanawia się nad sensem budowy i istnienia zegara, tylko stawia pytanie, czy ci, którzy nastąpią po nas, uznają nas za dobrych przodków.

Kelly twierdzi, że internet odzwierciedla tak zwaną uśrednioną mądrość ludzi, dlatego sztuczne inteligencje wymuszą na nas, byśmy stawali się coraz lepsi, także etycznie. W jego rozumieniu winą za kopiowanie dezinformacji nie można obarczyć technologii.

Proszę Karpfa o przykład dotyczący technopragmatyzmu. – Weźmy AI. Każda nowa technologia skręca w kierunku pieniędzy. Dlatego najbardziej prawdopodobną przyszłością jest ta, która przyniesie największe zyski firmom tworzącym sztuczną inteligencję. A to otwiera pole do działania dla organów regulacyjnych, na przykład dla rządu, który może powiedzieć: „No dobrze, zwiększymy cenę pewnych towarów, a inne będziemy promować niższymi cenami, aby zapewnić sobie lepszą przyszłość". To stwarza obszar do decyzyjności dla społeczeństwa i oznacza, że nic nie jest w rzeczywistości nieuniknione, jak by tego chciał Kelly. Przebieg przyszłości zależy od wyborów, których dokonujemy jako społeczeństwo, więc pragmatyzm skupia się raczej na teraźniejszości niż na odległej przyszłości, ponieważ jedyne wybory, których możemy dokonać, dotyczą tej pierwszej – dodaje.

Gdy przypominam mu o „ślepym teraz", którego obawia się Kelly, czyli że z lęku przed przyszłością za bardzo skupiamy się na teraźniejszości, a przecież trzeba myśleć w perspektywie 100 lat, Karpf przyznaje: – Ta historia pomaga miliarderom z branży technologicznej uznać, że są dobrymi ludźmi i powinni wciąż robić to, co robią. I też dlatego Kelly jest wciąż obecny w mediach, bo im gorsza jest obiektywna rzeczywistość, tym bardziej atrakcyjne stają się scenariusze technooptymizmu – podsumowuje. Karpf wywodzi się z ruchu ekologicznego, jest aktywistą klimatycznym od lat 90. – Kiedy opowiadam moim studentom o polityce klimatycznej, trudno uniknąć poczucia beznadziei, które nie jest specjalnie produktywne. Ale idea pragmatyzmu polega na tym, aby dowiedzieć się, co możemy zrobić teraz, i skupić się na tym – przekonuje.

—

W 2010 ROKU Kelly we wstępie do *What Technology Wants* pisał, że nie ma smartfona ani laptopa, nie używa Twittera, jego dzieci dorastały bez telewizora, a dziś nie mają telewizji kablowej. Jednocześnie prowadzi stronę o technologicznych gadżetach, nagrywa podcasty, jest na bieżąco, zwłaszcza z nowościami dotyczącymi AI i LLM. W książce przyznaje, że jego życie jest pełne sprzeczności, ale – konstatuje – czyje nie jest? I, jak sam twierdzi, jest w stanie przyznać się do błędów. W rozmowie z Danem Shipperem w podcaście *Every* powiedział, że mylił się co do bitcoinów, a także nie wierzył, że eBay odniesie sukces. W książce *Nieuniknione*... przewidywał, że przed 2026 rokiem głównym produktem Google'a będzie nie wyszukiwarka, tylko sztuczna inteligencja – wiemy, że i tu mu nie wyszło. Za to niezmiennie twierdzi, że nie myli się w swoim technooptymizmie. Rozwój technologii, w tym rozwój sztucznej inteligencji, ma nam wychodzić tylko na lepsze.

– Kelly przekonuje, że technologia pomaga nam rozwiązywać problemy, zwłaszcza jeśli chodzi o internet. Ale nie widzi tego, że generuje jeszcze więcej wyzwań, którym nie jest w stanie sprostać – zwraca uwagę Sylwia Czubkowska. – Kelly jest dzieckiem swoich czasów, autorytetem dla wielu, ale ze świata, który przemija, bo nie jest krytyczny wobec samego siebie – mówi.

– Pamiętam hurraoptymizm lat 90., nadejście internetu i hasło *Information wants to be free* [„Informacja chce być wolna" – przyp. red.], czyli nieważne, do kogo należą wyszukiwarki i komputery, bo internet nas wyzwoli, a każdy ma prawo do informacji – wspomina Wojciech Orliński. – Dziś mi głupio, że dałem się nabrać, ale jeśli są dziś technologiczni wizjonerzy, którzy wiedząc to, co wiemy o big techach, wciąż głoszą optymizm, że technologia pomoże ludzkości, jeśli nie teraz to za 50 czy 100 lat, to muszą być odklejonymi od rzeczywistości dziadkami, którzy nie chcą przyznać, że się pomylili.

Kiedy zwracam uwagę na obraz pokornego wizjonera, jaki Kelly kreuje, David Karpf opowiada mi historię zakładu między Kellym a Kirkpatrickiem Sale'em. – Ten drugi w 1995 roku napisał książkę o ruchu luddystów, w wymowie skierowaną przeciwko rozwojowi technologii. Podczas jednego ze spotkań promujących ją rozwalił na scenie komputer. – Uśmiecha się Karpf. Kelly przeczytał tę książkę, poczuł się głęboko urażony i w związku z tym nie tylko zlecił jednemu z autorów napisanie jej druzgocącej recenzji w „Wired", lecz także jeszcze umówił się na wywiad z jej autorem. Postawa Kelly'ego była wroga, jego pierwsze pytanie brzmiało: „Czego właściwie dokonali luddyści, poza podpaleniami i wandalizmem?". – Na koniec rozmowy zaproponował Sale'owi zakład. Postawił 1000 dolarów, że za 25 lat okaże się, że jego pesymistyczne wizje przyszłości społeczeństw napędzanych technologią się nie spełnią – mówi Karpf. – Sale stwierdził: „Oczywiście, że się spełnią, będziemy mieć załamanie środowiska naturalnego, kryzys ekonomiczny, kryzys zaufania do instytucji". Na co Kelly odpowiedział: „Super, to łatwy zarobek, bo to się nie wydarzy".

Pytam Karpfa, czy po latach doszło do spotkania oponentów. – Wyobraź sobie, że kilka razy odzywałem się do Kelly'ego w tej sprawie. Raz w 2018 roku, pisząc tekst do „Wired", zapytałem go, czy uważa, że przegrał zakład. Odpisał mi, że myślał o tym, by odezwać się do Sale'a i podwoić stawkę, bo wszystko idzie po jego myśli. Drugi raz odezwałem się w styczniu 2020 roku. Powiedział wtedy, że historia udowodniła, że jego technooptymizm jest właściwy. Rozumiałem jego optymizm w połowie lat 90. (koniec zimnej wojny, technologia dawała rozwój i wiele obietnic, nie znaliśmy jeszcze konsekwencji globalizacji), ale mówienie w 2020 roku, że wszystko idzie zgodnie z planem, było szokujące. Historia wspomnianego zakładu to dla mnie esencja tego, kim jest Kevin Kelly – kwituje Karpf. (Stawkę rzeczywiście podwojono, a ponieważ Kelly uznał, że to, co Sale nazwał kryzysem i katastrofą, nie wydarzyło się i nie wydarza, Sale machnął ręką i wypisał czek na 2 tysiące dolarów. Gdy zapytał Kelly'ego, kto ma go otrzymać, ten wskazał Long Now Foundation).

Kiedy w 2024 roku rozmawiam z Kellym w stołówce Muzeum Historii Polski, ma podobną postawę. Gdy pytam go, czy są jakieś koncepcje, z którymi się nie zgadza, a które dotyczą rozwoju technologii, od razu wchodzi mi w słowo: – Jedną z takich idei jest zasada ostrożności. Stanowi ona podstawę wielu regulacji i działań wielu grup nadzorczych. Zasadniczo mówi ona, że nie należy dopuszczać do legalizacji lub upowszechniania technologii, dopóki nie zostanie udowodnione, że nie jest ona szkodliwa. To całkowicie błędne podejście, ponieważ każda technologia powoduje szkody. Ludzie mówią, że nie można wprowadzić samochodów autonomicznych, dopóki nie udowodni się, że nikogo nie zabijają. Ale mamy ludzi, którzy prowadzą samochody i zabijają milion osób rocznie [Kelly ma rację, WHO szacuje globalną liczbę zgonów w wypadkach samochodowych na niemal 1,2 miliona – przyp. red.]. Dlaczego więc pozwalamy ludziom prowadzić samochody? Istnieje niesprawiedliwość w stosunku do obecnego *status quo*, które nie jest regulowane, w porównaniu z nowymi rozwiązaniami. Zasada ostrożności jest błędna, ale stanowi ważny element wielu europejskich regulacji. Myślę, że szkodzi to nie tylko europejskim rządom, ale też wszystkim mieszkańcom Europy.

Kelly uważa, że technologia pomaga nam rozwiązywać problemy z AI, ale nie widzi, że generuje jeszcze więcej wyzwań, którym nie jest w stanie sprostać. Jest autorytetem ze świata, który przemija, bo nie jest krytyczny wobec samego siebie.

Sylwia Czubkowska podczas rozmowy wspomina o książce, którą Kelly wydał na rynku chińskim (bez dystrybucji na Zachodzie), dotyczącej drugiej połowy XXI wieku. Jej tytuł brzmi *2049: The Possibilities of the Next 10,000 Days* (*Rok 2049. Możliwości na następne 10 tysięcy dni*), co stanowi nieprzypadkowe nawiązanie do stulecia Chińskiej Republiki Ludowej. To książka o „fajnych Chinach", w których za ćwierć wieku każdy będzie chciał żyć. W wywiadzie odnoszącym się do nowej książki Kelly opowiadał, co na nas czeka w tej przyszłości: każdy będzie mieć swojego cyfrowego bliźniaka, którego będzie wysyłać wszędzie tam, gdzie fizyczna obecność nie będzie konieczna, i załatwiać sprawy poprzez kontakt z innymi botami. Będziemy pod nieustanną inwigilacją, gdyż rozwój ma swoją cenę, ale będziemy wiedzieć, kto, kiedy i jak nas podgląda. Zaczniemy bardziej cenić naszą uwagę i dokonywać większej selekcji wobec nadmiaru czy też, jak woli Kelly, obfitości treści.

Optymistyczna wizja? Na pewno taka, która nie dostrzega, że wszystko może pójść źle i że te scenariusze niosą za sobą ofiary. Kelly uważa, że bycie optymistą to odpowiedzialność. Nie mam jednak poczucia, by mówił to człowiek, który poniósł jakiekolwiek konsekwencje za swoje wizje, nawet te błędne.

– Gdy myślę o technooptymizmie takich ludzi jak Kevin Kelly, przypomina mi się prognoza Stanisława Lema dotycząca rozwoju technologii – mówi Wojciech Orliński. – Otóż Lem miał takie matematyczne rozumowanie, że w sieciach komputerowych, czyli w internecie, jak byśmy dziś powiedzieli, wszelka dezinformacja będzie się rozprzestrzeniać wykładniczo, czyli w postępie geometrycznym, a prawdziwa informacja będzie to robić arytmetycznie, czyli liniowo. W tej sytuacji kłamstwo i dezinformacja muszą wygrać. Lem nazwał to zagrożeniem bomby megabitowej już w 1965 roku. Wiedział to, bo rozumiał naturę ludzką, to, że tacy są ludzie, zarówno jako twórcy, jak i jako odbiorcy informacji. I z tego trzeba wyciągnąć wnioski, a nie z optymistycznej utopii o szlachetnym rozwoju technologii, która wie, co robi.



APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania, ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka amerykańskiego muzyka ZACHA CONDONA, znanego jako BEIRUT?

Bo piękno istnieje

BEIRUT, właściwie Zach Condon, amerykański kompozytor, wokalista i multiinstrumentalista. Zadebiutował w 2006 roku albumem *Gulag Orkestar*, który przyniósł mu międzynarodowe uznanie. Jako Beirut wydał do tej pory siedem albumów studyjnych, z czego ostatni *A Study of Losses* ukazał się w 2025 roku.

Beirut wystąpi 27 czerwca na **Malta Festival** w Poznaniu.

Jestem typem eskapisty. Dlatego apteczka kojarzy mi się głównie z tym, co pozwala oderwać się od rzeczywistości. W okresie dorastania były to długie godziny jeżdżenia na desce w skateparku. Moi rodzice namawiali mnie, żebym dołączył do jakiejś drużyny sportowej. Chcieli, żebym zaczął bardziej socjalizować się z rówieśnikami. Ja jednak zawsze byłem wolnym duchem i reagowałem alergicznie na każdą próbę przekonania mnie do czegokolwiek. Nic się nie zmieniło, gdy dorosłem.

Jest jakaś część mnie, która zawsze będzie nieusatysfakcjonowana. Zdaję sobie sprawę, że ucieczka to okropny mechanizm radzenia sobie ze światem. Mimo to nadal co jakiś czas nachodzi mnie myśl, że zmiana miejsca do życia lub kolejna podróż w poszukiwaniu inspiracji stanie się remedium na wszystkie problemy. W takich momentach chcę sobą potrząsnąć i powiedzieć: „Jesteś głodny czegoś, co nie istnieje".

Równocześnie mam świadomość, że gdybym nie rzucił szkoły i nie wyruszył w podróż po Europie, pewnie nie byłbym dziś tym, kim jestem. Gdybym nie zdecydował się na wyjazd z rodzinnego Santa Fe, mój debiutancki album *Gulag Orkestar* pewnie nigdy by nie powstał. Gdybym nie zamieszkał w Paryżu, nie byłoby *The Flying Club Cup*. A gdyby nie kilkumiesięczny pobyt na wyspie Hadsel w Norwegii, tuż przed wybuchem pandemii, nie otrząsnąłbym się z kryzysu po odwołanej trasie ani nie odzyskałbym chęci do nagrywania piosenek.

Wiem, że życie, które wybrałem, może wydawać się nieodpowiedzialne, jest za to niewyczerpanym źródłem coraz to nowych bodźców. Bez nich nie byłoby muzyki. A w mojej apteczce to właśnie ona jako jedyna – niezależnie od okoliczności – zawsze przynosi mi ulgę.

Nie ma dnia, żebym przynajmniej przez godzinę nie słuchał muzyki. Nigdy nie byłem jednak fanem tego, co leciało w radiu. Już w latach 90. kawałki, które królowały na listach przebojów, wydawały mi się koszmarnie tendencyjne. Nie ciągnęło mnie też w stronę punka i surowej alternatywy, którymi zachwycały się dzieciaki w moim wieku. Szukałem w muzyce duchowych przeżyć. Odnalazłem je w bałkańskim folku i w tradycyjnych brzmieniach z Bliskiego Wschodu, a także słuchając zespołów mariachi podczas fiest w Santa Fe. We wszystkich tych aranżacjach było coś wręcz magicznego. Wtedy zrozumiałem, że właśnie taką muzykę chciałbym tworzyć.

Tym emocjonalnym, wielowarstwowym brzmieniom pozostaję wierny do dziś. Z każdą kolejną płytą staram się jednak wprowadzać do mojego muzycznego świata nowe elementy. Kilka lat temu podczas pracy nad albumem *Hadsel* zakochałem się w dźwiękach kościelnych organów. A szukając na YouTubie inspiracji wśród dawnych kompozycji na ten instrument przy okazji odkryłem muzykę chóralną.

Wróciłem do niej, gdy jakiś czas temu zostałem poproszony o stworzenie ścieżki dźwiękowej do spektaklu szwedzkiej grupy cyrkowej Kompani Giraff, który powstał w oparciu o książkę *An Inventory of Losses* Judith Schalansky. Na albumie *A Study of Losses* też mierzę się z pojęciem straty. Nie nawiązuję jednak zbyt dosłownie do tematów, które porusza autorka w swoim eseju. Korzystam raczej z bardziej impresjonistycznych skojarzeń. Stąd na płycie wielowarstwowe harmonie wokalne, które przywodzą na myśl brzmienie kościelnego chóru.

Fascynacja muzyką sakralną pozostała ze mną do dziś. Ostatnio wieczorami słucham głównie hymnów wykonywanych podczas prawosławnej liturgii. Jest w nich coś głęboko poruszającego. Na zachodzie prowadzimy obecnie filozoficzny spór o to, czy w ogóle można mówić o czymś takim jak piękno, skoro wszystko jest subiektywne. Tymczasem prawosławna cerkiew stawia je na równi z prawdą i dobrem.

Kiedy na własnej skórze doświadczamy czegoś naprawdę pięknego – nieważne, z jakiego kręgu kulturowego się wywodzimy – wszyscy czujemy to samo. Bo piękno istnieje. Jest we wnętrzu zabytkowego meczetu w Stambule, jest w wąskich uliczkach Florencji i jest w muzyce. Wystarczy tylko go poszukać. Może wtedy choć przez chwilę da się być spełnionym?

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler



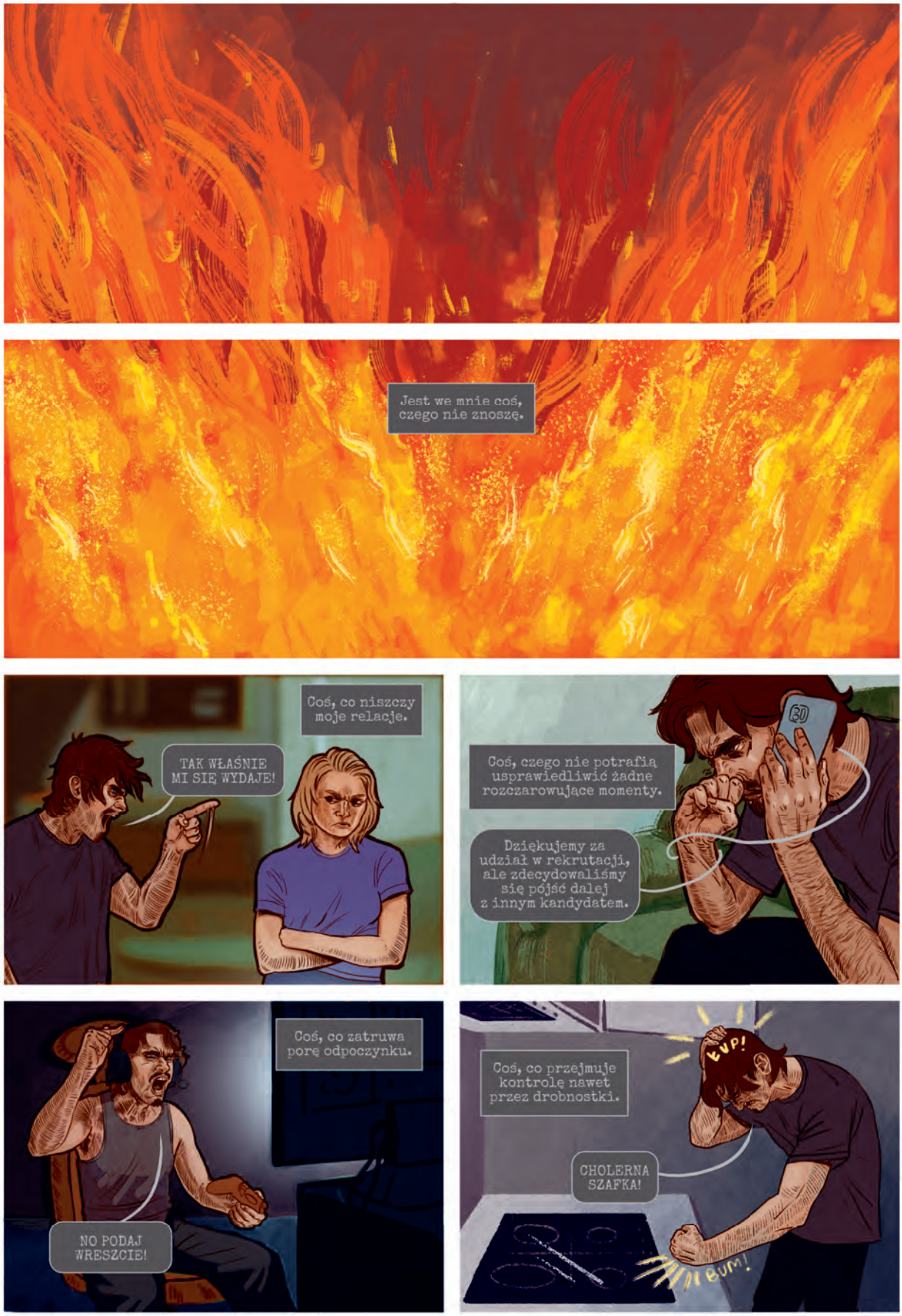
MATEUSZ ROESLER, kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA

KOMIKS

Ludzie ognia

tekst WIKTOR TALAGA, *rysunki* ALEKSANDRA MACHOŃ




Nie pamiętam okresu, gdy nie byłem otoczony przez to uczucie.
Łudziłem się, że może zejdę temu z drogi, ale nigdy nie potrafiłem uciec.
A TY DO ŁÓŻKA, ALE JUŻ!
Na początku odczuwałem tylko strach i wstyd.
Jednak potem pojawiła się iskra. To zaczęło we mnie płonąć.
Miałem dość bycia ofiarą.
AH! Przepraszam...
Ja ci pokażę...!
Teraz inni mieli przejąć tę rolę.

WIKTOR TALAGA, scenarzysta komiksowy oraz copywriter pracujący w *gamedevie*. Współtwórca *Cząberka*, czyli serii komiksowej dla dzieci o przygodach czarnego kota i jego rodziny.



ALEKSANDRA MACHOŃ, absolwentka grafiki na UMCS w Lublinie. Rysowniczka serii dla dzieci *Cząberek*. Wielka miłośniczka natury, archeologii i fantastyki.




To za mało.
To za wiele.
Czuję, że czeka mnie wiele lat walki z samym sobą.
Mozolnego i momentami frustrującego przepisywania własnego DNA.
Nie wiem, skąd wykrzesać taką siłę woli. Boję się.


Jednak wizja życia bez tego procesu przeraża mnie jeszcze bardziej.
Bo wiem, co może się stać.
Widziałem to już wiele razy dookoła mnie.
Dobrze znam swój potencjał.
Ile mogę zniszczyć.
Ludzie ognia żyją w domach z pyłu.
Historia mi to pokazała.

Dzikie stwory uczą emocji

tekst AGNIESZKA SOWIŃSKA

WSPÓLNA LEKTURA I ROZMOWA zacieśniają więź, budując bezpieczną bazę dla relacji, która jest zasobem na całe życie i podstawą rezyliencji.

Światowa Organizacja Zdrowia prognozuje, że do 2030 roku depresja będzie najczęstszą chorobą psychiczną na świecie. Według raportu MEN *Diagnoza Młodzieży*, opublikowanego w marcu 2026 roku, aż 60 procent polskich nastolatków żyje w stanie chronicznego stresu i przemęczenia, 46 procent ma skrajnie niską samoocenę. Autorzy raportu jako główne przyczyny tego zjawiska wskazują między innymi koncentrację na „ja" przy jednoczesnym poczuciu osamotnienia i osłabieniu więzi, przeciążenie bodźcami cyfrowymi, funkcjonowanie w permanentnym kryzysie (globalne zagrożenia, presja szkoły i rodziny). Według statystyk Komendy Głównej Policji liczba prób samobójczych podejmowanych przez osoby przed 19. rokiem życia od 2013 roku (148 przypadków) do 2024 roku wzrosła w Polsce niemal 14-krotnie (2054 przypadki).

Dzisiejszy świat zmienia się w tempie dotąd nieznanym ludzkości. Aż chciałoby się powiedzieć, że żyjemy w czasach do bani, ale tak naprawdę to „świat BANI". Termin ten, będący akronimem od słów *brittle* (kruchy), *anxious* (niespokojny), *non-linear* (nieliniowy), *incomprehensible* (niezrozumiały), został wprowadzony przez amerykańskiego pisarza i futurystę Jamaisa Cascio. Definiuje współczesność jako niepewną i chaotyczną. I nie ma się co oszukiwać – nawet jeśli próbujemy udawać, że nadążamy, nie nadążają nasze układy nerwowe. W dodatku w dzisiejszym szybko zmieniającym się świecie nie mamy pojęcia, które umiejętności będą cokolwiek znaczyć za 10, 20, 30 lat. A jednak istnieje jedna super moc, której znaczenia nie sposób przecenić w świecie (do) BANI. Rezyliencja.

Czym ona właściwie jest? Psycholożka i psychoterapeutka Ula Malko, współzałożycielka warszawskiego ośrodka wsparcia i rozwoju „Bliskie Miejsce", definiuje ją następująco: – Rezyliencja to zdolność do powracania do równowagi po trudnych doświadczeniach. Można ją rozumieć jako pewien rodzaj wewnętrznej sprężystości. Kiedy coś idzie nie tak, gdy zderzamy się z frustracją, stratą czy stresem, rezyliencja pozwala to przeżyć i iść dalej. A nawet więcej: pozwala uczyć się z trudnych doświadczeń, przeformułować je, nadać im nowy sens. Ważne jest również to, czym rezyliencja nie jest. Nie jest pancerzem, odpornością na ból ani umiejętnością „nieczucia". Nie polega na zaprzeczaniu trudowi, stracie czy żałobie. Opiera się na tym, że po przeżyciu silnych emocji potrafimy się podnieść i spojrzeć na sytuację z nowej perspektywy. Dziecko rezylientne to nie dziecko, które nie płacze i „daje radę" w samotności. To dziecko, które potrafi poczuć trudne emocje, wyrazić je i z powrotem poczuć się bezpieczne. Co istotne – to zdolność, którą można rozwijać.

A jaką rolę w rozwijaniu rezyliencji mogą odegrać książki? Czy lektura, która wymaga zatrzymania i skupienia uwagi bez nieustannego podbijania dopaminowego haju, w ogóle coś jeszcze może w tym scyfryzowanym, rozpędzonym świecie nastawionym na łatwą przyjemność?



rysunek KA MOCHI

AGNIESZKA SOWIŃSKA, tłumaczka literatury, do niedawna redaktorka „Książek. Magazynu do Czytania". Publikowała m.in. w Dwutygodniku, „Książkach. Magazynie do Czytania", „Gazecie Wyborczej", „Dużym Formacie", „Wysokich Obcasach Extra". Jurorka Literackiej Nagrody m.st. Warszawy.

– Tak, i to na kilka sposobów – mówi Ula Malko. – Kiedy czytasz dziecku książkę, której bohater przeżywa coś trudnego, na przykład boi się, gubi, traci coś, co było dla niego ważne, to dziecko dowiaduje się cennej rzeczy: że trudne uczucia da się opowiedzieć, że historia ma ciąg dalszy. To bezpieczna przestrzeń do oswajania tego, co w realnym życiu może być przytłaczające. Czasami sama historia budzi w dziecku silne emocje – to dobry moment, żeby się zatrzymać i wspólnie wyregulować: przytulić się, oddychać razem, poskakać, zanim pójdziecie dalej. Warto szukać książek, które pokazują bohaterów przeżywających emocje – złość, smutek, strach – i wychodzących z tego z pomocą kogoś bliskiego. Takie opowieści są dla dzieci czymś w rodzaju mapy: „To się może przydarzyć, tak to wygląda i można z tego wyjść".

—

KSIĄŻEK PORUSZAJĄCYCH „trudne tematy" (biorę to obiegowe pojęcie w cudzysłów, bo w rzeczywistości wszystko zależy od języka, jakim dany temat dziecku opowiemy) – takie jak śmierć rodzica, dziadka, rodzeństwa, choroba, niepełnosprawność, neuroróżnorodność, wykluczenie społeczne i prześladowania ze strony grupy rówieśniczej, depresja, wojna, katastrofa klimatyczna – nie brakuje. Jedne prowadzą narracje realistycznie, inne odwołują się do języka baśni czy fantasy. Bohaterowie wystawiani są na rozmaite próby, nierzadko – zdawałoby się – przekraczające możliwości dziecka. Harry Potter pokonuje Voldemorta, bracia Lwie Serce – Tengila i potwora Katlę, Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja, bohaterowie *Opowieści z Narnii*, wspólnie z Aslanem zwyciężają Białą Czarownicę i jej armię.



Życie to gruz, pot i łzy. Nie ma co mydlić dzieciom oczu. I, jak to ujęła psycholożka Marta Niedźwiedzka w jednym z odcinków swojego podcastu *O zmierzchu* – owijanie bąbelków folią bąbelkową, osłaniającą je przed całym złym złem tego świata, raczej owym bąbelkom szkodzi, niż wzmacnia ich poczucie sprawczości i faktyczny dobrostan.

Ale czy to znaczy, że aby wspierać rezyliencję dzieci, mamy je teraz wystawiać w podkoszulku na mróz i wyprawić samotnie do lasu w poszukiwaniu pożywienia?

– Najważniejsza wiadomość: rezyliencji nie rozwija się przez hartowanie. Nie przez uczenie dziecka, żeby „samo sobie radziło", ani przez celowe wystawianie go na stres, żeby „trenowało". Z badań nad rozwojem mózgu i teorią przywiązania wynika coś innego: rezyliencja wyrasta z bezpieczeństwa, nie z trudności – mówi Ula Malko. I, zbijając argumenty zwolenników folii bąbelkowej, od razu dodaje: – Nie chodzi o to, żeby usuwać dziecku z drogi wszystkie przeszkody. Chodzi o to, by być obok, kiedy natrafia ono na coś trudnego.

Neuropsycholog Rick Hanson w swoim bestsellerowym poradniku *Rezyliencja. Jak ukształtować fundament spokoju, siły i szczęścia* przywołuje stworzony przez amerykańskiego psychiatrę Daniela Siegla model pobudzenia układu nerwowego. Wyróżnia się w nim „strefę zieloną" będącą bezpieczną przestrzenią optymalnego spokoju i rozwoju człowieka (w języku psychologii określaną jako tryb responsywny) oraz „strefę czerwoną" – skrajnie trudne do regulacji czy kontroli emocje (tryb reaktywny). Niestety dziś, w czasach narzucających tempo życia nieznane naszym przodkom (ani naszemu ukształtowanemu przez miliony lat ewolucji układowi nerwowemu), funkcjonujemy głównie w trybie reaktywnym. „Tryb reaktywny nas rujnuje, podczas gdy responsywny – buduje. Przeciwności losu z pewnością stanowią okazję do rozwijania w sobie rezyliencji i odporności na stres, a także do wzrostu po doznanej traumie. Żeby jednak dana osoba mogła się rozwijać dzięki trudnościom, musi mieć odpowiednie zasoby responsywności" (przeł. Anna Sawicka-Chrapkowicz) – pisze Hanson.

Aby to nieco uprościć, warto przypomnieć w tym miejscu, jakie jest właściwe pochodzenie słowa „rezyliencja". Zostało ono zapożyczone z fizyki – z nauk o sprężystości materiałów i ich zdolności do odzyskiwania pierwotnej formy po mechanicznym odkształceniu. W kontekście psychologii po raz pierwszy użyła go Emmy E. Werner, pionierka badań nad rezyliencją, która w latach 50. XX wieku rozpoczęła trwające 40 lat badania w grupie 698 polinezyjskich dzieci.

Sprężyna, gąbka czy trampolina – wszystkie pod wpływem nacisku się uginają, a gdy ucisk maleje lub znika, odzyskują początkowy wygląd, nienaruszone. Żeby jednak rzecz mogła powrócić do pierwotnego kształtu, forma wyjściowa musi być na tyle mocna i spójna, by nacisk jej trwale nie uszkadzał. Tymczasem – jak pisze Boguś Janiszewski w książce *Emocje* z serii *To, o czym dorośli ci nie mówią* – „wygląda na to, że kiedy Matka Natura tworzyła ludzki emocjonalny miks, postanowiła nieco zaoszczędzić na szczęściu". Jej nie chodziło o to, byśmy byli szczęśliwi (czytaj: siedzieli w strefie zielonej), tylko byśmy – choćby i poobijani, i poranieni – przetrwali jako gatunek. Na szczęście rezyliencja służy również przezwyciężaniu tych uwarunkowań biologicznych.

Czy są książki wspierające powrót do „strefy zielonej"? Jak twierdzi Ula Malko, już sama czynność wspólnej lektury może pomóc: – Rytuał czytania ma znaczenie regulacyjne. Wspólne siedzenie, twój głos, bliskość fizyczna, to wszystko aktywuje układ nerwowy dziecka w kierunku spokoju i bezpieczeństwa. Wieczorny rytuał z książką to nie tylko miły zwyczaj, to codzienna dawka koregulacji (czyli wzajemnej regulacji emocji, bo nasze układy nerwowe na siebie wpływają).

Ale przychodzi mi na myśl również kilka konkretnych – przykładowych, zaznaczam, i wybranych subiektywnie – tytułów, których lektura wspierała moje dziecko oraz bliskie mi dzieci w powrocie do strefy zielonej.

Pierwszą z nich jest książka dla wczesnych przedszkolaków – wiecznie sfrustrowanych tym, że coś się nie udaje – *A królik słuchał* Cori Doerrfeld. Jej bohaterem jest mały Taylor, który wznosi wysoką wieżę z klocków. Budowla zgodnie ze swoją naturą rozpada się, co – jak nietrudno się domyślić – budzi rozpacz chłopca. Zbiegają się wszystkie zwierzątka, by go pocieszyć, każde ma dla niego jakąś „dobrą radę". Tylko królik nic nie mówi, nie próbuje rozwiązać problemu – zamiast tego przysiada obok, uważnie słucha chłopca i towarzyszy mu w przeżywaniu emocji.

Drugi przykład to seria książek o Albercie Albertsonie szwedzkiej pisarki Gunilli Bergström. Pierwsza część ukazała się w 1972 roku, w Polsce początkowe trzy tomy wydało wydawnictwo Zakamarki w 2012 roku. Choć od premiery upłynęło ponad 50 lat, po książki sięgają kolejne pokolenia (w Szwecji postać Alberta trafiła nawet na… pieluchy). Seria opowiada o rezolutnym czterolatku (później sześciolatku) Albercie i opiekującym się nim tacie. Choć postaci taty zarzucano wiele, między innymi to, że pozwala synowi bawić się młotkiem i wspinać na drzewa, bawić się lalką, samotnie szwendać po osiedlu i oglądać strzelanki w telewizji, dla mnie jest to sylwetka „wystarczająco dobrego" rodzica. Nie idealnego, nie modelowego, nie wzorcowego. Ale naprawdę obecnego. I jest coś niezwykle uspokajającego – zarówno dla rodzica, jak i dla dziecka – w tym, że codziennej, bezpiecznej relacji nie musi towarzyszyć nieustanny pokaz fajerwerków.

Trzecia książka to *Miłość* Astrid Desbordes z ilustracjami Pauline Martin. Kolejne jej lektury (a było ich naprawdę wiele) budziły we mnie i w moim synu szczególny rodzaj rozczulenia i poczucie głębokiej wzajemnej więzi. *Miłość* zaczyna się od pytania synka: „Powiedz, mamo, czy będziesz mnie kochać całe życie?". Nietrudno się domyślić, jak brzmi – rozwijana na każdej kolejnej stronie – odpowiedź. Wzruszające jest to, że zamiast składania górnolotnych deklaracji mama przywołuje codzienne sytuacje, w których go kocha (czyli zawsze): od tych, kiedy synek pachnie ładnie (po kąpieli w łazience), po te, w których „to nie ma znaczenia" (ubłocony przybiega z piłką do domu i brudzi dywan), gdy jest blisko i kiedy wybucha awantura.

Myślę, że my – pokolenie urodzone w latach 80. – mamy większą niż nasi rodzice łatwość mówienia swoim dzieciom, że je kochamy. Jednak nie jest to regułą. *Miłość* Astrid Desbordes pomoże wyrazić to uczucie, gdy brakuje nam słów. Albo wyrazić je raz jeszcze, nowymi słowami. A poczucie, że jesteśmy naprawdę kochani, jak nic innego wpływa na powrót do „strefy zielonej".

—

JAK PODKREŚLAJĄ wszystkie osoby zajmujące się badaniem rezyliencji, umiejętność ta nie jest możliwa bez znajomości emocji: ich rozpoznawania, sczytywania z ciała, rozróżniania ich odcieni. Nazwanymi emocjami możemy świadomie zarządzać, zamiast bezwolnie się im poddawać.

Traktujących o emocjach książek dla dzieci na rynku nie brakuje, jesteśmy nimi wręcz zalewani. Nie tylko w Polsce, to trend ogólnoświatowy, na co wskazywała między innymi Grazia Gotti, konsultantka największych i najbardziej prestiżowych na świecie Targów Książki Dziecięcej w Bolonii, podczas konferencji branżowej w ramach festiwalu Mały Koneser w marcu bieżącego roku. W tym zalewie można znaleźć narracje prowadzone w każdej tonacji, książki o bardzo różnej estetyce, skala różnorodności jest ogromna.

Niewątpliwym bestsellerem ostatnich lat były utrzymane w bezpiecznej, szaro-pastelowej tonacji książki Tiny Oziewicz i Aleksandry Zając z serii *Co robią uczucia*. Włochate stworki reprezentujące poszczególne emocje w metaforycznych (i nie da się ukryć, że również mocno upraszczających) scenkach przedstawiają tu swoje właściwości („Smutek otula się kocem", „Gościnność piecze ciasto").

Po postać sympatycznego, ale zdecydowanie bardziej charakternego stwora sięgnęła Anna Llenas w pop-upie *Kolorowy potwór*. Autorka skupia się na kilku podstawowych emocjach, jak radość, smutek, złość, strach, spokój. I to ograniczenie jest ogromną wartością tej pozycji skierowanej do najmłodszego czytelnika. Na niuansowanie emocji przyjdzie jeszcze czas. Element zaskoczenia i zabawy, wprowadzany w formie trójwymiarowych ilustracji, naprawdę angażuje odbiorcę. Można kolorowego potwora pobujać na hamaku, pozwolić, żeby nas wystraszył, gdy w złości szeroko otwiera zębiastą paszczę i rozczapierza łapy, można przyjrzeć się chmurom i kapiącemu z nich deszczowi pod postacią niebiesko-białych sznureczków.

Liczby pokazują, że jako rodzice szukamy pomocy i narzędzi, dzięki którym moglibyśmy adekwatnie wspierać rozwój dziecka. Napisana przez Martę Galewską-Kustrę (doktorkę nauk humanistycznych, logopedkę i pedagożkę z wieloletnim doświadczeniem w pracy z dziećmi), oparta na ćwiczeniach logopedycznych seria o Puciu w ciągu 10 lat sprzedała się w ponad 3 milionach egzemplarzy. Z kolei sprzedaż poświęconej komunikacji bez przemocy, regulacji emocjonalnej i wzmacnianiu poczucia własnej wartości serii o niebieskim stworku Pinku, autorstwa psycholożki Urszuli Młodnickiej

Jest coś uspokajającego – zarówno dla rodzica, jak i dla dziecka – w tym, że codziennej, bezpiecznej relacji nie musi towarzyszyć nieustanny pokaz fajerwerków.

i z ilustracjami Agnieszki Waligóry, przekroczyła 500 tysięcy egzemplarzy. Codzienne sytuacje stają się tu okazją do rozmowy o konkretnym problemie. Rodzic Pinka to rodzic modelowy – zadaje dziecku pytania tak, by pomóc mu zrozumieć i nazwać przeżywane emocje, narysować mapę trudności, jest zawsze cierpliwy i uważny. Pod każdą scenką-sytuacją znajdują się ćwiczenia skierowane do rodzica i dziecka, które pomagają poznane metody zastosować w praktyce. Bo dla Młodnickiej ważna jest przede wszystkim praktyka – poznanie narzędzi to jedno, ale dopiero wprowadzanie ich w życie podczas mierzenia się z trudnościami buduje poczucie sprawczości i pewności siebie.

Autorki i autorzy książek, które można by sprowadzić do wspólnego mianownika „edukacja emocjonalna dzieci", często sięgają po postać mniej lub bardziej słodkiego potwor(k)a. A dzieci niewątpliwie lubią te maskotkopodobne postaci. Zdają się bezpieczne i łatwe do oswojenia. I jeśli pomagają najmłodszym lepiej poznać złożony świat emocji, nauczyć się je rozpoznawać i nazywać – spełniają swoje zadanie. Mam jednak niepokojące wrażenie, że wszystkie te urocze stworki (zdrobnienie nieprzypadkowe!) są jedynie dalekim pogłosem arcydzieła literatury dla dzieci – książki Maurice'a Sendaka *Tam, gdzie żyją dzikie stwory*. Niesforny Max po serii psot zostaje za karę odesłany bez kolacji do swojego pokoju. Gdy za mamą zamykają się drzwi, w pokoju wyrasta las, pojawia się także ocean z łódką, którą chłopiec może pożeglować „tam, gdzie żyją dzikie stwory", które „strasznie ryczą, zgrzytają swymi strasznymi zębami, wywracają strasznymi oczami i wygrażają strasznymi pazurami" (przeł. Jadwiga Jędryas). I naprawdę nie są wizualnie milusie. Sendak nieprzypadkowo tyle razy powtarza słowo „straszne" – one mają być nieoswojone i przerażać. Max zostaje ich królem, wydaje im rozkazy, a stwory go słuchają. I to chłopiec decyduje, kiedy ma dość dzikich harców i chce wrócić do domu. Ani razu nie pada tu słowo „emocja", a tym bardziej zbitka „regulacja emocjonalna". A przecież dokładnie to się rozgrywa w świecie wewnętrznym Maxa – krainie zamieszkanej przez dzikie stwory, które może oswoić tylko ich król. Sendak nie traktował swojego czytelnika jak kogoś, komu trzeba coś wytłumaczyć czy kogo należy pouczyć. Wciągał dziecko do stworzonego świata i pozwalał mu go przeżyć.

Jednak nie tylko najmłodsze dzieci potrzebują wsparcia w ogarnięciu dokazujących dzikich stworów. Nieco starszym czytelnikom, mniej więcej od wczesnej nastoletniości, która dziś zaczyna się około 10. roku życia, poleciłabym wspomnianą już wyżej książkę Bogusia Janiszewskiego i Maxa Skorwidera *Emocje* z serii *To, o czym dorośli ci nie mówią*. Nie ma w niej uroczych potworków – są ludzie i bogowie z różnych porządków teologicznych. Oraz uwielbiana przez dzieci (i równie mocno znienawidzona przez rodziców) sepleniąca, plująca śliną lama, która co rusz próbuje wtrącić swoje trzy grosze. A przede wszystkim – solidna, ale nieprzytłaczająca porcja wiedzy na temat ewolucji, fizjologii, filozofii oraz emocji, podlana odniesieniami do popkultury oraz ogromną dawką dowcipu i ironii (oraz autoironii, co niezwykle sobie cenię w książkach tego duetu), żartów słownych i rysunkowych. Zacytuję tylko jeden przykład: „Gdyby Matka Natura zaprojektowała nas, ludzi, porządnie, zupełnie od zera, to pewnie nie byłoby wielu późniejszych kłopotów. A tymczasem wyszło jak zwykle – po taniości. Zostaliśmy stworzeni na podstawie starych przepisów i patentów, przetestowanych wcześniej w świecie zwierząt. Ale to, co działa na sawannach, w norach, dżunglach lub morskich głębinach, niekoniecznie sprawdza się w szkole czy przed kompem". Co rusz parskając śmiechem przez 149 stron, młody czytelnik wychodzi po lekturze z konkretną wiedzą na temat własnego centrum zarządzania emocjami, hormonów regulujących (bądź rozregulowujących) procesy emocjonalne, a nawet z patentami, jak to wszystko ogarnąć.

—

CO BYŁO KLUCZOWE w rozwoju człowieka na przestrzeni dziejów ludzkości? Dostrzec piękno przelatującego motyla, zachwycić się barwnym kwiatem lub spektaklem, jaki słońce odegrało na niebie o zachodzie, czy zauważyć czającego się w pobliżu drapieżnika? Odpowiedź jest oczywista. Nasz układ nerwowy zaprogramowano na stan ciągłej gotowości i czujności, na nieustanne wypatrywanie zagrożenia.



rysunek ZBIGNIEW LENGREN

Aby możliwie najprzystępniej wyjaśnić ten mechanizm, Rick Hanson przywołuje przykład „papierowego tygrysa". „Kiedy rozwijał się układ nerwowy, zwierzęta mogły – mówiąc w przenośni – popełnić dwa rodzaje błędów: uwierzyć, że w krzakach kryje się tygrys, którego tak naprawdę tam nie było; uwierzyć, że w krzakach nie ma tygrysa, podczas gdy on właśnie szykował się do skoku. Jaki byłby koszt popełnienia pierwszego błędu w dzikim otoczeniu? Niepotrzebny lęk, który jest nieprzyjemny, ale nie prowadzi do śmierci. A jaki byłby koszt drugiego błędu? Spore ryzyko śmierci. W związku z tym u naszych przodków rozwinęła się silna tendencja do powtarzania pierwszego rodzaju błędu, tak by ani razu nie popełnić błędu drugiego rodzaju. W rezultacie, adaptując się, zaczęliśmy paranoicznie reagować na papierowego tygrysa. To właśnie dlatego większość ludzi przecenia zagrożenia, nie docenia zaś własnych zasobów, dzięki którym można sobie poradzić z niebezpieczeństwem".

Antidotum na nieustanne wybieganie w przyszłość i wypatrywanie nieistniejącego tygrysa może stanowić świadome przełamywanie biologizmów i zanurzenie w chwili obecnej.

W naszym zachodnim świecie nadmiaru i idącego z nim w parze ciągłego nienasycenia jednym z najwspanialszych ćwiczeń zakorzeniających w doświadczaniu chwili obecnej może być umiejętność dostrzeżenia drobnych powodów do radości. My, dorośli, potrafimy zapłacić niemałe pieniądze za kursy mindfulnessu. Dzieci natomiast rodzą się z tą zdolnością i dysponują nią, dopóki – dając im do ręki tablet czy komórkę – nie przekierujemy ich zaciekawienia światem na świat wirtualny. Tym jednak, którym przydałoby się odżywić ten zasób, proponowałabym przygodę z *Wielkim atlasem małych przyjemności* Olgi Ślepowrońskiej z ilustracjami Anny Mazurkijević–Fili.

Zaczyna się od bezpiecznej, bliskiej więzi, jaką dziewczynka nazywana Żółtym Berecikiem ma ze swoją babcią, kartografką, która po każdej podróży opowiada wnuczce o pięknie świata i zaraża ją tym zachwytem oraz pragnieniem doświadczania go. (Ślepowrońska wprost przyznaje, że to postać inspirowana jej babcią, która potrafiła „jak mało kto dostrzegać całe spektrum świata"). Ale babcia umiera, a Żółty Berecik długo nie może sobie poradzić z jej stratą: dużo płacze, często się złości, przestaje bawić się z kolegami i koleżankami, nie ma siły na basen, ulubione potrawy tracą dla niej smak. Jednak pewnego dnia, patrząc na modraszkę, która przysiadła na drzewie, dziewczynka przypomniała sobie słowa babci: „To skarb. Świat jest ich pełen na każdym kroku, wystarczy mieć otwarte oczy". Od tej chwili zaczyna skupiać się na dostrzeganiu takich małych skarbów, których – jeśli tylko się chce i umie je dostrzec – codzienność jest pełna: zabawy z dmuchawcami, szukanie czterolistnej koniczyny, ubieranie choinki, wypatrywanie pierwszego motyla, robienie przetworów, wchodzenie na drzewa, słuchanie morza w muszli i tak dalej, i tak dalej. Przy okazji dostajemy wgląd w inne kultury mające – jak się okazuje – nazwy na doświadczenia, które my opisujemy wieloma słowami. Na przykład szwedzkie *gökotta* oznacza wstawanie wcześnie rano, by posłuchać wiosennego śpiewu ptaków, japońskie *komorebi* to przebłyski słońca pomiędzy liśćmi drzew, a rumuńskie *a dărui* tłumaczymy jako radość z obdarowywania drugiej osoby.



Sendak nie traktował czytelnika jak kogoś, kogo należy pouczyć. Wciągał dziecko do stworzonego świata i pozwalał mu go przeżyć.

Nagle okazuje się, że codzienność może być pełna przyjemnostek wpływających na jej postrzeganie – pod warunkiem że się te drobiazgi dostrzeże i przez chwilę z nimi pobędzie. Praktykę choćby sześciosekundowego zanurzenia w doświadczenia wpływające na nas pozytywnie poleca w swoim poradniku również wspomniany tu już kilkakrotnie Rick Hanson. Taka stop-klatka pozwala zanurkować głębiej w odczucie przyjemności, zakorzenić je w sobie, bo tak działa nasz mózg – powtarzane doświadczenia wzmacniają sieć połączeń między neuronami. Zdaje się, że zarówno autorka, jak i ilustratorka *Wielkiego atlasu małych przyjemności* doskonale rozwinęły w sobie tę umiejętność. Tylko osoby naprawdę wyczulone na te drobne doświadczenia mogły w jednym albumie zgromadzić setki ich przykładów. Między innymi błahą, zdawałoby się, radość z wyjadania kruszonki na cieście, przyjemność, jaką – niestety coraz rzadziej – budzi skrzypienie śniegu pod butami, czy frajdę, jaką czujemy, słysząc cichy trzask rozgniatanych śnieguliczek.

—

ABY POKAZAĆ, jak rezyliencja może wyglądać w praktyce, przywołam moją ukochaną postać literacką ostatnich lat – tytułową bohaterkę książek Marcina Szczygielskiego *Antosia w bezkresie* oraz *Zbójeckie nasienie*.

Antosia Rossińska była wychuchaną, kochaną przez rodziców jedynaczką, wychowaną w leśnym majątku nad rzeką Lwą na Kresach Wschodnich (zdaję sobie sprawę z problematyczności tego sformułowania, ale to określenie z książki, adekwatne do narracji z 1941 roku), opiekunka Cysia co dzień pomagała jej założyć sukienkę z falbankami i zaplatała warkocze. Gdy Antosia miała osiem lat, wybuchła druga wojna światowa, gdy miała dziewięć, zostały wraz z mamą – jako członkinie rodziny polskiego oficera, czyli „burżujki" – aresztowane przez żołnierzy Armii Czerwonej i wywiezione do Kazachstanu.

W trakcie trwającej pięć tygodni podróży wagonem bydlęcym bohaterka po raz pierwszy w życiu styka się z głodem, wszami, koniecznością załatwiania potrzeb fizjologicznych w obecności innych osób. Wreszcie, podczas jednego z postojów, zostaje rozdzielona z mamą.

Już sama trafia do Kazachstanu, gdzie uczy się wyrabiać opał z krowich placków, przeklinać, gotować, kraść węgiel z przejeżdżających pociągów, później także polować na susły. Doświadczając rzeczy, które złamałyby niejednego dorosłego, stopniowo uczy się sobie z nimi radzić, rozwija własne poczucie sprawczości. Znajduje też oparcie – w rodzinie kobiety, która wzięła ją pod swoją opiekę, u dziada Daniło, do którego zostają dokwaterowane, czy w końcu u Kazachów, którzy znaleźli nieprzytomną Antosię w stepie po tym, jak uległa wypadkowi i została rozdzielona z opiekunką. To, rzecz jasna, postać literacka, ale skonstruowana w taki sposób, by ze spotkania z nią młody odbiorca wychodził wzmocniony i – posłużę się tu nieco już zwietrzałym określeniem – pokrzepiony na duchu.

Nie sądzę, żeby Marcin Szczygielski, tworząc postać Antosi, zrobił sobie listę rzeczy wzmacniających rezyliencję i tylko odhaczał kolejne punkty; jego pisaniem nie rządzi wyrachowanie. Poprzez *Antosię w bezkresie* chciał opowiedzieć historię tysięcy polskich dzieci podczas drugiej wojny światowej na rozkaz Stalina deportowanych do Kazachstanu i na Syberię oraz przybliżyć czytelnikom postać małego uchodźcy – wiele takich dzieci pojawiło się w Polsce po wybuchu wojny w Ukrainie w 2022 roku. A jednak Antosia staje się modelowym przykładem tego, czym w praktyce jest rezyliencja. Podczas wywiadu dla magazynu „Książki" Marcin Szczygielski opowiedział mi, jak jeden z czytelników, 12-letni chłopiec, wyznał mu, że to jego ulubiona książka: „bo jest o survivalu". Chodzi w niej jednak zdecydowanie o coś więcej niż tylko o zapis historii przetrwania w naprawdę niesprzyjających warunkach. A o co? W tym miejscu przywołam inną bohaterkę – Klarę, postać z *Wylinki* Wita Szostaka. Wprawni czytelnicy wiedzą, że lektura jednej książki może wydobyć sensy z innej, a postaci często rzucają światło na siebie nawzajem.

Klara pewnego dnia budzi się w pustym letnim domu w górach – jest sama, nie ma rodziców, a dziewczynka nie wie dlaczego. Czy pojechali bez niej? Zostawili ją samą? Po pewnym czasie w domu spotyka swojego rówieśnika Janka. Gdy zaczynają rozmawiać, okazuje się, że dla każdego z nich przestrzeń, w której się znajdują, to zupełnie inne miejsce, w innym czasie, a do ich spotkania doszło jakby w szczelinie pomiędzy. To rodzi pytania o status ontologiczny dzieci – może nie żyją? Osoby, które nie znoszą spoilerów, muszę lojalnie uprzedzić – zaraz się jednego dopuszczę. Dzieci są wylinkami: „Ktoś z nas wyrósł. Tak jak wyrasta się z ubrań i butów, a jaszczurki i raki ze swej skóry. I dzieci, którymi byliśmy, zrzuciły nas. Nie umarły, one żyją. Klara pojechała z rodzicami do Krakowa. A Janek wrócił pociągiem do swojego domu. Ale wylinki zostały". Zanim doszło do wylinki, każde z dzieci spotkało jakieś niełatwe doświadczenie – Klara podsłuchała rozmowę rodziców o chorobie mamy, Janek musiał zmierzyć się z odejściem (najprawdopodobniej wskutek samobójczej śmierci) taty. Każde z nich, aby zaabsorbować trudność, musiało się od niej odbić i wzrosnąć. Wit Szostak w powieści przygodowo-filozoficznej uchwycił istotę rezyliencji i niemożliwego bez niej wzrostu potraumatycznego.

Relacja z postacią literacką to więź głęboko intymna, to umiejętność porozumienia się z kimś, kto, choćby tylko pozornie, nie jest nami.

Spróbujmy poprzez ten pryzmat raz jeszcze rzucić okiem na Antosię Marcina Szczygielskiego. Myślę, że tym, co wspomniany przez autora 12-latek określił mianem „survivalu", jest właśnie rosnąca sprawczość bohaterki i jej przemiana, z której sama zdaje sobie sprawę: „I ja stałam się inna. Twardsza. Silniejsza". O dziewczynce, którą była przed doświadczeniem zesłania, mówi: „Strasznie mnie tamta Antosia denerwuje". Wylinka została zrzucona. Płaczliwa, grymasząca z byle powodu Antosia stała się Antosią, która potrafi aktywnie pokonywać przeszkody, ma do siebie zaufanie i za sprawą kolejnych skrajnie trudnych doświadczeń poznała siebie na tyle, by wiedzieć, że sobie poradzi. Nie zatraciła przy tym zdolności do głębokiego, szczerego zachwytu światem przyrody ani nie stała się samowystarczalną „Zosią Samosią" w kontrze do całego świata. Wciąż potrafi nawiązać bliskie, karmiące relacje z innymi – ze swoją opiekunką panią Myszyńską i jej dziećmi, dziadem Daniło, kazachskim chłopcem Abajem. I wciąż ma nadzieję, że któregoś dnia odnajdzie mamę. A jak podkreślają wszyscy badacze rezyliencji, nadzieja jest kluczowym składnikiem tego zasobu.

(Ja natomiast mam nadzieję, że obiecany przez Marcina Szczygielskiego trzeci tom przygód Antosi ukaże się w tym roku).

—

WSPOMNIANY JUŻ Rick Hanson jako jedno z narzędzi rozwijających rezyliencję proponuje wyobrażenie sobie, że mamy wewnątrz swoisty „komitet opiekuńczy", który tworzą różne osoby – zarówno te istniejące w świecie fizycznym, jak i wyobrażone. Mogą to zatem być bliscy i przyjaciele, ale również postaci fikcyjne. Do jego własnego „komitetu opiekuńczego", poza żoną czy dorosłymi dziećmi, należy między innymi Gandalf z *Władcy Pierścieni*. Muszę przyznać, że bohaterowie literaccy doskonale nadają się do zasilenia „komitetu". Choć w dzieciństwie nie zetknęłam się z pojęciem rezyliencji, miałam taką swoją wewnętrzną paczkę sprzymierzeńców składającą się z mojego psa oraz właśnie bohaterek i bohaterów literackich. Do grona tych najważniejszych należała Emilka z Księżycowego Nowiu, postać stworzona przez Lucy Maud Montgomery. Choć nie tak sławna jak rudowłosa Ania Shirley, w moim życiu odegrała jednak nieporównywalnie większą rolę. Na marginesie tylko nadmienię, że choć szalenie cenię sobie nowe przekłady

Anny Bańkowskiej, zarówno *Anne z Zielonych Szczytów*, jak i *Emily ze Srebrnego Nowiu*, w których tłumaczka wykonała niezwykle staranną pracę translatorską, mój „komitet opiekuńczy" zasila poznana i pokochana w dzieciństwie Emilka z Księżycowego Nowiu (bo tak nazwała ją tłumaczka Ryszarda Grzybowska). Była towarzyszką mojej samotności, współdzieliłam z nią zamiłowanie do słowa pisanego i umiejętność radzenia sobie z niedostatkiem. „Komitety opiekuńcze" osób, które dziś sięgną po książki Lucy Maud Montgomery, być może zasilą już jednak właśnie Anne czy Emily, nie Ania czy Emilka.

W tym miejscu przywołam jeszcze jedną świetną, nieszablonową książkę o emocjach – *Hotel dla uczuć* Lidii Branković. Aby przybliżyć dziecku świat emocji, autorka sięgnęła po bardzo trafną i udaną metaforę – hotelu, do którego przybywają różne uczucia, jedne na dłużej, inne na krócej, jedne głośno domagają się uwagi, inne są cichutkie i niekłopotliwe. Co ważne, żadna z tych emocji nie pozostaje w nim na zawsze, są tu tylko gośćmi. Rolą dyrektora hotelu jest zaś zaopiekowanie się wszystkimi przybyszami zgodnie z ich potrzebami. W miejsce opisanego przez Hansona „komitetu opiekuńczego" autorka *Hotelu dla uczuć* (oraz towarzyszącego książce zeszytu ćwiczeń pod tym samym tytułem) proponuje inne narzędzie, spełniające dokładnie tę samą rolę: Emocjonalny Zestaw Ratunkowy. To walizka na trudne chwile, do której każda czytelniczka i każdy czytelnik może wrzucić to, co ją lub jego wspiera, pozwala poczuć się bezpiecznie – od piosenki, poprzez ulubionego misia aż po zdjęcie kogoś, kogo się kocha, czy właśnie ulubioną postać z książki.

Tym, którzy nie doceniają roli „komitetu opiekuńczego" w swoim życiu, poleciłabym książkę *Preskot* Katherine Applegate w przekładzie Małgorzaty Glasenapp. To opowieść o roli, jaką w życiu 10-letniego Jacksona odgrywa niewidzialny dla wszystkich innych gadający kot uwielbiający żelki, kąpiele w pianie i jazdę na deskorolce. Wkracza w świat racjonalnego chłopca marzącego o karierze naukowca w bardzo trudnym momencie (rodzina zmaga się z chorobą taty, utratą pracy przez oboje rodziców, koniecznością zamieszkania w samochodzie) i pomaga mu nie tylko przetrwać ten czas, ale też zawalczyć w nim o siebie: „Preskot miał doskonałe wyczucie czasu. Pojawił się w moim życiu dokładnie wtedy, kiedy go potrzebowałem. To był odpowiedni moment na przyjaciela, choćby nawet wymyślonego".

Nikomu nie można narzucić, kogo umieści w swojej walizce na trudne chwile czy w gronie swojego „komitetu opiekuńczego". Relacja z postacią literacką to więź głęboko intymna, oparta na subiektywnym pejzażu wewnętrznym. Kluczowym słowem jest tu jednak właśnie więź – umiejętność nawiązania relacji z kimś, kto, choćby tylko pozornie, nie jest nami.

—

TĘ MAPĘ KSIĄŻEK możemy rozbudowywać właściwie bez końca – wymieniać kolejne tytuły, udowadniać ich pozytywny wpływ na dziecko na każdym etapie rozwojowym, traktować biblioteczkę jako narzędziownik. Ale nie o to tak naprawdę chodzi. Jak mówi Ula Malko: – Najważniejsze jednak jest nie to, jaką książkę wybierzesz, ale jak czytasz. Czy jest czas na zatrzymanie się, na pytanie: „A jak myślisz, dlaczego on się bał?", na to, żeby razem posiedzieć z tym, co budzi emocje. To właśnie w tej przestrzeni, między stronami książki a rozmową, dzieje się coś naprawdę ważnego.

Wspólna lektura i rozmowa zacieśniają więź, budując bezpieczną bazę dla relacji, która jest zasobem na całe życie i podstawą rezyliencji. I właśnie w tym tkwi największa moc książek.



Literacka Podróż Hestii

Esej sponsoruje Fundacja Artystyczna Podróż Hestii, organizator konkursu Literacka Podróż Hestii na najlepszą polską książkę *fiction* dla młodych czytelników i czytelniczek.



fot. ROBERT GŁOWACKI

Miecz dwubiegunowy

PINIAK PRZEMYSŁAW

farba akrylowa na płótnie,
blistry po tabletkach, 2024

Dzięki uprzejmości rodziny artysty i galerii Łęctwo

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA, historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

„Melancholik jest na drodze zrozpaczenia, lekarz wytacza mu proces, chory podnosi głos w imię własnego interesu, staje we własnej obronie – i władze umysłowe do normalnego powracają stanu" – pisał w 1864 roku autor jednego z pierwszych polskich podręczników psychiatrii, Józef Apolinary Rolle. W szpitalu w Kamieńcu Podolskim, gdzie kierował oddziałem dla umysłowo chorych, propagował nowatorskie metody, takie jak terapia rozrywką (między innymi tańcem) i pracą, a także wspomnianą technikę, w której terapeuta stawał się adwokatem diabła i prowokował swojego pacjenta. W innym miejscu rozprawy Rolle pisze, że „treścią leczenia chorób umysłowych jest terapia moralna, leki zaś farmaceutyczne stać winny na drugim planie". Terapia moralna, zwana także umysłową, polegała na rozmowach lekarza z pacjentem, była więc poprzedniczką nowoczesnej psychoterapii. W praktyce czerpała jednak w dużym stopniu z religii chrześcijańskiej i polegała na przywracaniu pacjenta „na właściwą ścieżkę". Działo się to w czasach, gdy granice psychiatrii i psychologii oraz ich metody były jeszcze dalekie od zdefiniowania, a do roli lekarzy dusz pretendowali przede wszystkim duchowni.

Dziesięć lat wcześniej we francuskim środowisku psychiatrycznym pojawiły się pierwsze opisy choroby afektywnej dwubiegunowej (ChAD), nazywanej wówczas „obłędem kolistym" (*folie circulaire*), w której epizody manii i depresji następują po sobie cyklicznie. Nietzsche posłużył się tym pojęciem w *Woli mocy*, by odwrócić dominującą narrację i ukazać duszpasterzy nie jako lekarzy, a oprawców. Filozof pisze: „Cały *training* chrześcijański pokuty i zbawienia można uważać jako dobrowolnie wywołaną *folie circulaire*". W XX wieku psychiatria kliniczna porzuciła wszelkie związki z religią, oceną moralną i postawiła na metodę naukową. Aż do 1949 roku, kiedy szczęśliwym trafem australijski lekarz John Cade odkrył pozytywny wpływ litu na stabilizację nastroju pacjentów cierpiących na dwubiegunówkę, większość chorych wciąż musiała radzić sobie ze swoimi demonami sama. Tak jest zresztą w dużym stopniu do dziś, gdyż ChAD uważany jest za jedno z najtrudniejszych diagnostycznie zaburzeń psychicznych.

„Piniak fajtłapa i lebiega. Ty musisz się zawziąć i sport zacząć uprawiać. Zobaczysz, ile problemów to rozwiązuje. Chudzielec i inne dziwne cechy niby nie do wykrycia, a jednak tak łatwo widoczne dla otoczenia" – to fragment pisma przedsądowego od pana Mola, który wykonuje na artyście „molowy sąd" w opowiadaniu *Warszawa Chmuroczy* autorstwa Przemysława Piniaka. „Proszę o ponowne schowanie osobnika do szafy", kończy swoją petycję Mol. Pochodzący ze Szczecina, przedwcześnie zmarły w ubiegłym roku artysta, w pracach często odnosił się do swojej „nienormalności" w oczach społeczeństwa, przede wszystkim związanej z jego queerową tożsamością. Fragmenty cytowanego opowiadania znalazły się na monumentalnym obrazie *Oczy ze środka głowy* (2023), na którym widzimy wiele niepokojących postaci o trójkątnych głowach wydających opinie i osądzających jego autora. Można odnieść wrażenie, że Piniak dokonał w nim autoterapii w duchu Rollego, zarazem formułując oskarżenie, jak i stając – poprzez sztukę – we własnej obronie.

Z głównego nurtu twórczości Piniaka wyłamuje się obraz *Miecz dwubiegunowy*, w którym artysta ujawnia, że jest osobą zmagającą się z chorobą afektywną dwubiegunową. Dwie schematycznie namalowane, skontrastowane kolorystycznie postaci symbolizują dwa oblicza choroby: manię i depresję, które walczą ze sobą za pomocą mieczy wykonanych z blistrów po tabletkach na ChAD. Leki są tu bronią, która działa na dwa sposoby: przez wyciszenie i podciągnięcie nastroju. Obraz jest mniej ironiczny niż inne prace artysty, a w miejsce groteskowej, śmieciowej estetyki pojawia się niemal klasyczny układ kompozycyjny, znany z historii europejskiego malarstwa. To jednak nie walka Jakuba z aniołem czy Święty Jerzy w walce ze smokiem, czyli motywy tradycyjnie interpretowane jako metafory starcia dobra ze złem, odbywającego się w sumieniu każdego człowieka. Otwarcie mówiąc o chorobie, Piniak odrzuca poczucie wstydu, jakie serwuje mu społeczeństwo.

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Prace Piniaka Przemysława można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie *Piniak Przemysław. Poszło w pięty* do 23 sierpnia 2026 roku.

Ile zdołasz znieść

tekst MELINDA MOUSTAKIS
przełożył JAREK WESTERMARK

W moich snach o głębinie matka zawsze mówi, że nie mogę wrócić do domu. Nie za to, co zrobiłam, ale za to, czego nie zrobiłam. Znam historię, którą opowiada czasem o moim dziadku Lisie, jak zostawił ją na zwyżce myśliwskiej wiele kilometrów od gospodarstwa, samą w ciemności, kiedy miała osiem lat. Bez lampy czy latarki, pod koniec września.

– Colleen, jesteś najstarsza – powiedział. – Znajdź drogę.

Miała strzelbę. Za każdym drzewem kolejne drzewo, cień albo niedźwiedź. Leśna gęstwina. I żadnych gwiazd, które mogłyby wskazać jej drogę.

– Jeśli ktokolwiek powie ci, żebyś obcięła włosy – mówi ona – to znaczy, że niszczy rzeczy piękne.

Strzygł ją ojciec. Latami. Ciął do ramion, bezceremonialnie, w imię wygody. Jej postrzępione fryzury świadczyły o jego powrocie z Korei czy z pracy na polach naftowych w Prudhoe Bay. Sama, jeżeli miała wybór, nigdy nie obcinała się na krótko. Pozwalała, by włosy rosły, sunęły w dół jej pleców, czarne i proste albo zaplecione w warkocz.

Mówi mi, żebym dotknęła czubka jej głowy, gdzie jest wgniecenie wielkości żetonu do pokera.

– Też takie masz. Twój brat nie. Ale ja mam to znamię i ty też i byłyśmy kiedyś wielorybami. Gdy śnię o mojej matce, śnię o wielorybach.

Mówi, że nie pokochała mnie od razu, kiedy tylko się urodziłam, potrzebowała czasu. Musiała sprawdzić, czy przeżyję, czy przetrwam, musiałam jej udowodnić, że starczy mi sił. Skończyłam cztery lata, zanim zrozumiała. Zasnęła na kanapie, kiedy odłożyła mnie na drzemkę. Wylazłam z łóżeczka, znalazłam jej czerwoną szminkę, pomalowałam nią całe nagie ciało, drepczący płomień, po czym zaczęłam tarzać się na jej białym dywanie z zajęczego futra, turlałam się z jednego końca na drugi, następnie przy ścianach, na jej prześcieradle.

– Mała wojowniczka – mówi ona. – Cholerna kometa chaosu!

– Bóg jest raczej wielorybem niż człowiekiem – mówi.

Właśnie w tym miejscu krew zostaje wyrzucona na brzeg, tutaj topi lód. Moje nagie stopy są zachlapane, zabarwione na czerwono. Zimny śnieg. Krew ciepła, płynąca z brzucha wieloryba. Odkroili skórę i warstwę tłuszczu piłami spalinowymi. Wieloryb poza morzem to góra, horyzont, nowe zakrzywienie nieba.

– Umyłaś włosy? – pyta ona. – Błyszczą jak tran.

Tran jest najgorszy. Kazali jej przełykać łyżkę przed kolacją czy po niej, a do jedzenia zawsze dostawała wtedy potrawkę z zająca albo chili z łosiną. Kiedyś znalazła ukryty w szafce słoik ojca, pełen kapsułek z tranem. Lis z nikim się nimi nie dzielił.

– Nie chciał przełknąć ani łyżki takiego paskudztwa. Ale nas, dzieciaki, zmuszał.

– Umyłam włosy – mówię.

– Nie wierzę ci – mówi ona. Ale i tak zaplata mi warkocz. Jej warkocze nigdy nie są proste ani równe, są postrzępione, dzikie, nie śmiem ich rozplątać.

Płyniemy przez zatokę Chinitna na łodzi rybackiej. Moi kuzyni i ja ciśniemy się w kabinie i czekamy, aż minie nas straż przybrzeżna. Mamy na pokładzie za dużo osób. Potem słychać krzyki:

– Chodźcie, chodźcie!

Wieloryb. Wyłazimy na pokład. Humbak wyskakuje z wody, skręca się w powietrzu, białe płetwy sięgają nieba, szary grzbiet uderza w powierzchnię. Moi wujkowie krzyczą, obryzgują piwem cały nasz tłumek. Kolejny wieloryb wyskakuje z wody tuż obok łodzi, jego brzuch jest na wyciągnięcie ręki od relingu. Wszyscy się cofamy, chwytam matkę za kaptur. Tymczasem ona stoi z wyciągniętą dłonią, sięga, muska palcami biały brzuch



zdjęcie THE MET, domena publiczna

spadającego wieloryba, woda ją obryzguje. Wujkowie wyławiają butelki, które cisnęli za burtę w radosnym uniesieniu.

– Dotknij swojego oka – mówi mi ona. – Takie to jest uczucie.

Znam opowieść o tym, jak mało brakowało, żeby w ogóle nie było mnie na świecie. Moja matka rusza na łososie czerwone w towarzystwie braci, którzy dopiero co zaczęli zawodowo łowić w Zatoce Cooka. Wszyscy czekają w linii na styku wód, gdzie mieszają się barwy. Jedną łódź dzieli od drugiej po trzysta metrów, każda ma zarzuconą dziewięćsetmetrową sieć. Łódź matki i jej braci jest aluminiowa, a pijany kapitan obok nich – Sarge – kieruje starym drewnianym kutrem. Wszystkie załogi walczą z dwumetrowymi falami, a potem nagle zmienia się wiatr. Łodzie robią zwrot, sieci wpadają jedna na drugą, sieć matki i jej braci jest splątana z siecią Sarge'a. Cumują do niego, żeby w spokoju rozplątać kłąb, a Sarge dalej pije, więc żadna z niego pomoc. Nie mogą znaleźć dobrego miejsca do cumowania, ich łódź raz po raz uderza w drewnianą łajbę. Potem cuma strzela na bok, wyłamując knagę z portburty, a Sarge uznaje, że do diabła z tym, rusza naprzód, aż w jego śrubę wkręca się sieć i linka z obciążnikiem, a silnik gaśnie na środku oceanu. Warunki są coraz gorsze, fale coraz wyższe, w końcu osiągają siedem metrów wysokości, łódź mamy spada w doliny, trzaska dnem o wodę, ale wreszcie udaje im się przycumować do całkiem niesprawnej łajby Sarge'a. Ben wysyła moją matkę na dziób, żeby zwiesiła z burt wielkie pomarańczowe bojki, mające służyć za zderzaki. W drodze powrotnej ona trzyma się barierki lewą dłonią, widzi, że Ben obserwuje ją zza steru, z kabiny, i nagle dostrzega na jego twarzy przerażenie, gdy łódź opada niespodziewanie, a pokład ucieka jej spod nóg. Choć matka zaciska dłonie na relingu, wpada do wody, ale natychmiast uderza w nią następna fala i matka znowu jest na pokładzie, jakby nigdy go nie opuściła, a mina Bena mówi „nie miałaś prawa tego przeżyć". Matka, przemoczona do suchej nitki, pomaga rozwiązać splątane sieci, potem wspólnie chwytają za korbę i zwijają swoją sieć – pełną ryb, palet i kawałków drewna – bo muszą uciec przed sztormem. Po kilku godzinach rzucają kotwicę i dokładnie oglądają zdobycz. Ponad siedemset łososi czerwonych, tak ściśniętych podczas zwijania sieci, że bebechy wylatują im z pysków. Bracia nie wytrzymują tego widoku, szczególnie że mocno buja, i na zmianę wymiotują przez burtę, a matka drwi z nich, wcinając kanapkę z łosiową wątróbką.

– Cały ten dzień – mówi – zmienił się w jeden wielki rozpierdolnik.

To jedno z jej ulubionych słów.

Jestem z tych, co toną. Ona mnie podtrzymuje, więc się unoszę, jedną dłoń wsunęła mi pod kark, drugą pod plecy, jestem nieważka, szybuję, woda łaskocze mnie w uszy, moje włosy się wiją. Opływa całe jezioro Goose Lake, a ja na nią czekam, zanurzona po szyję, ugniatając stopami muliste dno. Kiedy wychodzę na brzeg, najpierw widzę je na moich nogach. Brzydkie, czarne, nabrzmiałe. Pijawki. Wrzeszczę. Ona patrzy na mnie z góry, całkiem spokojna, i mówi:

– Co byś zrobiła, gdyby mnie nie było?

Ludzie się na nas gapią, jakiś facet podbiega pomóc, ale ona przegania go machnięciem ręki. Mówi, że ściągnie pierwszą, i pokazuje mi sposób.

– Wsuń paznokieć kciuka z tej strony i podważ.

Nie chcę dotykać pijawek. Chcę do taty. Kopię ją z całej siły. Podnosi mnie i zaciąga z powrotem do pikapa, zaciskając dłoń na ustach. Jadę z twarzą wciśniętą w ręcznik i szlocham.

– Hej – mówi ona. – Spójrz na mnie.

Nie patrzę. Włącza radio. Postanawiam uciec. Nienawidzę jej, ucieknę gdzieś daleko, a jeśli to zrobię i umrę, będzie żałować. Wyłącza radio.

– Jedna z pijawek odpadła. Kiedy są już pełne, puszczają.

Spójrz: oko wieloryba jest bardzo małe jak na to, jaki jest wieloryb. Wieloryb jest

MELINDA MOUSTAKIS, amerykańska pisarka. Autorka powieści *Homestead* i zbioru opowiadań *Alaskę masz we krwi*, za który otrzymała Nagrodę im. Flannery O'Connor i Nagrodę Maurice'a. Publikowała na łamach m.in. „American Short Fiction", „Alaska Quarterly Review", „Kenyon Review", „New England Review" i magazynu „Granta".

mały jak na to, jaki jest świat. Wycinam oko wieloryba i kładę je sobie na dłoni. W oku jest ocean: głęboki, czarny, wzburzony.

– Wiesz – mówi mi ojciec. – Ona często blefuje.

– Często nie potrafię tego dostrzec.

Jej „cześć" brzmi jak „sześć". Nie wiem, z czego to wynika, ale moi wujkowie i ciotki mówią tak samo. Myślę o makach arktycznych, o jasnych papierowych czaszach ich koron, wyrastających z cieniutkich łodyg, o ich korzeniach zapuszczonych w żwirze, górskich kamieniach, w tundrze. Ona każdego lata wybiera się do Denali, żeby je oglądać: małe słoneczka rozrzucone na nieskończonej połaci zieleni.

– Mają barwę gór o wschodzie słońca – mówi.

Ja mam dwanaście lat i jestem wściekła, że zaciągnęła mnie ze sobą.

– Wcale nie – mówię i więcej mnie już nie zabiera.

Moja matka pierwszy raz leci samolotem, tuż po starcie zaciska dłonie aż do zbielenia knykci. Wskazuje na błękit za oknem.

– Ocean – mówi.

– To jest niebo – mówię.

– Nie, siedzimy w brzuchu wieloryba. Czekamy, aż będziemy się mogły urodzić.

– Jak? – pytam.

– Opowiem ci.

Mówi, że kiedy byłam mała, uwielbiałam drążyć jamy, byłam jak mała nornica. Do dzisiaj odruchowo szukam bliskości, choć ona zawsze się odsuwa. Pewnego razu, kiedy mój ojciec wyjechał na polowanie, zwijam się w kłębek na jej łóżku, a ona zerka na mnie i mówi:

– Duszę się. Czemu ty ciągle jesteś tuż obok mnie?

Teraz myślę, że pytała zupełnie szczerze, z ciekawości, ale ja usłyszałam tylko: „Wynoś się stąd" i pobiegłam do swojego pokoju. Sześcioro rodzeństwa, ślub w wieku siedemnastu lat, chyba nigdy nie miała własnej sypialni ani łóżka.

– Wszystko to ściema – mówi ojciec. – Tylko zgrywa twardzielkę nie do zdarcia.

Wiedziałam o tym i wiem o tym, i zapominam o tym, a potem znowu pamiętam. Nigdy nie rozplatałam krzywych warkoczy jej roboty. Nie narzekałam na to, jak niedelikatnie posługuje się szczotką. Przez kilka minut, kiedy rozczesywała moje świeżo umyte włosy, bywała prawie taka, jakiej pragnęłam.

– Cieszę się, że przeżyłam tyle popierdolonych sytuacji, bo przynajmniej będziesz miała dużo ciekawych historii dla swoich dzieci – mówi. – No bo o czym innym miałabyś im opowiadać?

Chyba o tym, jak zdołałam przy tobie przetrwać, myślę. Ale na podobną uwagę odparłaby tylko, że dramatyzuję. I że ona w dzieciństwie była zbyt biedna, żeby dramatyzować.

– Nie będę miała dzieci – mówię.

– Tak, to przerażające zadanie – mówi ona. – Być może najstraszniejsze ze wszystkich.



Patrzcie, ocean jest niebem, a niebo oceanem, moje wiosło przecina oczy gwiazd. Siedzę w kajaku nocą, płynę wokół wyspy pozbawionej zatoczek czy ujść strumieni. Ciągnę ją za sobą, w jej własnym kajaku, a ona ciągnie wieloryba, który śpiewa jękliwą, buczącą pieśń.

– Odezwę się do ciebie później – mawia na pożegnanie. Za każdym razem mnie tym zaskakuje. Nie „pogadamy później" czy „do usłyszenia", jej słowa mkną niczym chmura śrutu, są tłuste jak lipcowe komary o zachodzie słońca. Matka mówi, że została pogryziona tak wiele razy, że w końcu wykształciła odporność i komary dały jej spokój. A podczas łowienia zawsze pali papierosy, żeby je przeganiać. Nie wierzy, gdy mówię, że nadal żądlą jak osy. Ale potem zmienia zdanie, gdy jeden gryzie mnie tuż nad brwią – oko mi puchnie, aż całkiem się zamyka, całe czoło pęcznieje. Łowimy łososie czerwone na długi przypon, a matka, gdy tylko na mnie spojrzy, za każdym razem wybucha śmiechem. Kilka miesięcy później przyznaje, że trochę się martwiła. Gdybym spuchła jeszcze bardziej, zabrałaby mnie do szpitala.

– Przez Kalifornię zrobiłaś się miękka – mówi, gdy ją odwiedzam. A ja zawsze myślę: „Przez Alaskę zrobiłaś się okrutna", ale tego nie mówię. Rąbiemy drewno na ognisko, jej stosik jest zawsze dwa razy większy od mojego, kłody elegancko rozszczepione. Nie wie, że celowo opóźniam uderzenia, udaję zmęczenie, bo wiem, z jaką satysfakcją gwiżdże na wujków, pokazuje im swój stosik i mówi:

– Dacie wiarę?

Pamiętam, że byłam już wystarczająco dorosła, żeby się wstydzić. Wrzucam pidżamę i pościel do wanny, puszczam gorącą wodę i wylewam pół butelki szamponu na wszystko, co zapaskudziłam. Jest środek nocy, ona puka do zamkniętych drzwi łazienki. Mówię, że zaraz skończę.

– Otwieraj – mówi. – Patrzyłaś na zegarek? Szkołę masz dopiero za cztery godziny. Natychmiast otwórz drzwi.

Otwieram. Zerka do wanny, potem na mnie, uśmiecha się.

– Śmiało, wysikaj z siebie cały ocean – mówi. – W czym problem? Kiedyś z tego wyrośniesz.

Mówią o tym we wszystkich programach informacyjnych, piszą w gazetach. Humbaki u wybrzeży Kalifornii, zagubione i zdezorientowane, zboczyły z kursu podczas migracji na Alaskę. Płyną rzeką Sacramento, matka z młodymi, i dotarły już sto pięćdziesiąt kilometrów w głąb lądu. Biolodzy puszczają wielorybi śpiew z podwodnych głośników, żeby zwabić je z powrotem do oceanu. Problemem są mosty – humbaki nie lubią pod nimi przepływać. Moja matka wycina artykuł i wysyła mi go z dopiskiem: „Wieloryby zgubione w gównianej kalifornijskiej rzeczułce, od razu pomyślałam o tobie".

Kiedy rodzice mnie odwiedzają, zabieram ich na plażę Avila Beach. Uczę matkę surfować na brzuchu. Nie pozwala, by fale

zdjęcie THE MET, domena publiczna

ją poniosły, walczy z nimi. Czeka, aż fala osiągnie maksymalną wysokość, po czym skacze w nią, przebija się na drugą stronę, wyskakuje tam, gdzie morze jest spokojne. Śmieje się.

– A macie, dranie!

Dryfuje na plecach, niesiona przez przypływ. Ja surfuję na fali, a góra mojego kostiumu kąpielowego pęka, puszcza metalowy zatrzask na plecach. Proszę, żeby przytrzymała materiał, kiedy idziemy po ręczniki.

– Dam radę to naprawić – mówi. – Zaczekaj.

Rusza do naszych rzeczy, sięga do torebki, wraca ze szpulką żyłki wędkarskiej. Nigdzie się bez niej nie rusza. Naprawiła za jej pomocą niezliczone rzeczy – buty, którym brakuje sznurówek, wiadra bez rączek, kamizelki ratunkowe, mleczaki w sam raz do wyrwania. Teraz przewleka żyłkę przez dwie wszyte pętelki, związuje ją, przegryza.

– Utrzyma dwudziestokilogramową rybę – mówi. – Bankowo nie pęknie.

Gdy jesteśmy nad basenami pływowymi, mój ojciec wskazuje na morskiego ślimaka, którego fale wyrzuciły na brzeg; fioletowy płat wilgotnego ciała przypomina wyrwaną wątrobę.

– W życiu nie widziałam takiej ogromnej pijawki – mówi matka i do mnie mruga.

– To nie pijawka – odpowiadam odruchowo, nie umiem się powstrzymać.

Lepszych przeprosin nigdy od niej nie usłyszę.

Zobacz, gdy całe ciało zostanie już wykrojone, kości wieloryba są wysokim szkieletem statku widma. Kości są suche i gładkie, kręgosłup osiada w śniegu. Kości sięgają w górę, żebra wzrastają po łuku, obejmują mnie. Kładę się i dociskam ciało, mój drobny kręgosłup do kręgosłupa wieloryba.

Jej puszkowany wędzony łosoś co roku podczas jarmarku zostaje nagrodzony niebieską wstążką. Matka nie zdradza swoich sekretów – nawet braciom i siostrom. Kazała mi przysiąc, że też ich nie wyjawię. Wędzarnię, którą zbudował dla niej mój ojciec, zawsze trzyma zamkniętą. Nauczyła mnie sztuczki z solą kamienną, właściwego czasu wędzenia, tego, jak ciąć łososia w pasy, jak wieszać je w dymie, bo „Przecież nie będę żyła wiecznie", jak mówi, „Musisz coś w życiu umieć".

Gdy po raz pierwszy spędzam wrzesień w Kalifornii, przysyła mi paczkę słoików pełnych jej słynnego wędzonego łososia. To dar cenniejszy od skrzynki rubinów. Racjonuję łososia przez cały rok, wyjadam go ze słoików palcami, olej ścieka mi po brodzie. Odsyłam puste słoiki oraz pomarańcze, mandarynki i czereśnie z Bakersfield. Potem ojciec dzwoni i prosi, żebym więcej nie wysyłała pomarańczy, bo ona ich nie znosi. Znam przecież opowieść o tym, jak w dzieciństwie zmoczyła łóżko, więc przestała dostawać obiady, a kiedy umierała z głodu, znalazła w dziupli ukryte przez ojca wojskowe racje żywnościowe i zgniłe pomarańcze. Następnym razem wysyłam jej czereśnie, nektarynki i śliwki, przyrzekam sobie nigdy więcej o czymś podobnym nie zapomnieć.

– Czemu nie może zapamiętać tej jednej rzeczy? – woła mój ojciec.

Ona nigdy nie spuszcza wody w toalecie. Gdy dorastała, korzystała z wychodka.

– Już wiem – mówi ojciec. – Jeśli tak dalej pójdzie, zbuduję w ogródku wygódkę specjalnie dla niej. – Kręci głową. – Zabiłaby mnie. Ale przynajmniej dałbym jej do myślenia.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – pytam.

– Byłoby zabawnie – mówi.

– Ona by się nie śmiała.

– Ale my owszem – mówi. – A czasem zostaje już tylko śmiech, bo przecież wiemy, że ona nigdy się nie zmieni.

Północne słońce tonie gdzieś za mną, osuwa się za horyzont. Przede mną łuna zabarwia góry na złoto. Nie sposób wyznaczyć linii prostej łączącej światło za moimi plecami ze światłem, które widzę przed sobą. Blask zachodzącego słońca odbija się od horyzontu, od nieba i powietrza, od chmur i lodu, i powraca, blade odbicie samego siebie, dopiero po drugiej stronie. Nie sposób wyznaczyć linii prostej, która łączyłaby mnie i moją matkę. Dzielą nas gospodarstwo, zwyżka, hektary gęstego lasu, i ona biegnie, a ja biegnę za nią.

– Nigdy nie kończy historii o tym, jak porzucono ją w lesie – mówi ojciec. – Zauważyłaś?

Dotychczas zawsze sama dopowiadałam sobie zakończenie. Zakładałam, że dotarła do domu. Odnalazła drogę.

– Ben mi wszystko opowiedział. Zgubiła się – mówi ojciec. – Wpadła w rozpacz. Myślała, że tropi ją niedźwiedź. Strzeliła w powietrze. Jej matka wyrwała ojcu strzelbę i oddawała kolejne strzały, żeby wskazywać drogę z powrotem do domu.

Moja matka opowiada historię o pierwszych marynarzach, którzy dotarli na Alaskę. Nigdy wcześniej nie widzieli wielorybów. Dwa humbaki wyskakują nad powierzchnię tuż obok ich łodzi, wyrzucają cielska wysoko w niebo. Marynarze łapią za broń, strzelają do wody, czekają na powrót zwierząt. Humbaki wyskakują znów, a dziwne białe wzory na ich ciałach stanowią doskonały cel. Skąd marynarze mieli wiedzieć? Wieloryby nie chciały zrobić im krzywdy. Nie mają zębów. Wypływają jedynie, by zaczerpnąć tchu.

Opowiadanie pochodzi ze zbioru *Alaskę masz we krwi*, który w przekładzie Jarka Westermarka ukaże się 24 czerwca nakładem Wydawnictwa Czarne.

Śledzimy nowości wydawnicze i wybieramy te najciekawsze. Więcej fragmentów książek udostępniamy bezpłatnie na **magazynpismo.pl/czytaj**



MAGDALENA BIGAJ, twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

Cykl *Listy z cyfrowego roju* sponsoruje **Orange**.

orange™

FELIETON // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

O ADHD z TikToka i medykalizacji życia

tekst MAGDALENA BIGAJ

– Prelegent ewidentnie miał problem z opanowaniem stresu na scenie. W końcu po pierwszych kilku zdaniach powiedział: „Państwo wybaczą, że tak chaotycznie mówię, ale mam ADHD, tylko nieleczone". Widownia zareagowała entuzjastycznie: „I ja!", „I ja też!", „Witaj w klubie!". A ja miałam ochotę zapytać: „Nieleczone czy zdiagnozowane na TikToku?".

Nie kwestionuję faktu, że pokolenia współczesnych dorosłych są niezdiagnozowane nie tylko pod kątem ADHD czy autyzmu, ale także wielu innych chorób i zaburzeń, o których wiedzę i związane z nią narzędzia badawcze rozwinęliśmy dopiero w XXI wieku. Wiem także, że ADHD, czyli zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi, potrafi być prawdziwym brzemieniem. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że w pewnych środowiskach bycie w spektrum stało się wręcz modne.

Kapitałocen napędzany przez platformy algorytmiczne – jak wspomniany TikTok, ale też Instagram, YouTube czy Facebook – przemieliły ADHD i spektrum autyzmu w kolejne trendy, które poza popularyzacją tematu przyniosły masę psychowashingu i treści tworzonych przez amatorów. Powstały tysiące podcastów, rolek, postów z poradami, z których wiele sprowadzało spektrum do zabawnych scenek. Da się na tym zrobić zasięgi i dobrze zarobić. Ceną za to jest rozmywanie wagi problemu, a płacą ją rzeczywiście cierpiący ludzie, którzy w gronie „sławnych autyków" czy „wybitnych osób z ADHD" stają się po prostu niewidoczni.

Zwraca na to uwagę brytyjska neurolożka Suzanne O'Sullivan w rozmowie z Agnieszką Jucewicz dla „Gazety Wyborczej": „Duże poszerzenie diagnozy ogranicza też dostęp do pomocy i zasobów – terapii, różnego rodzaju wsparcia – tym najbardziej potrzebującym". W swojej książce *Wiek diagnozy* stawia odważną tezę: kiedy diagnoza nie niesie za sobą obietnicy wyzdrowienia, może spowodować pogorszenie stanu zdrowia. „Czy nie wyrządza się ludziom krzywdy, kiedy mówi się im, że mają zaburzenie mózgu niedające się leczyć? Owszem, w pierwszej chwili poczują ulgę, że przynajmniej ktoś znalazł wyjaśnienie ich dolegliwości – ale co potem?" – pyta neurolożka. A ja dodam: czy nie wyrządza się ludziom krzywdy, wmawiając im zaburzenia dla zasięgów? Istnieje bowiem efekt *nocebo* – rewers bardziej znanego *placebo* – polegający na tym, że jeśli uznamy coś za szkodliwe, mogą wystąpić u nas oczekiwane niepożądane objawy. A na to tylko czekają algorytmy mediów społecznościowych, które chętnie dopasują do naszych zachowań odpowiednią diagnozę, wyświetlając nam coraz więcej postów i rolek na ten temat. Poranek osoby z ADHD, autyk na imprezie – no boki zrywać. Tylko nie wiem, czy śmieszy to rodziców dzieci w samym epicentrum spektrum tych zaburzeń.

– Magda, nie mówi się zaburzeń, tylko neuroróżnorodności – upomina znajoma. Ale O'Sullivan – z perspektywy wielu lat swojej praktyki lekarskiej i naukowej – zwraca uwagę, że wiele funkcjonujących dzisiaj określeń to wytwory kulturowe. A ten, o którym mowa, to niemedyczny termin obejmujący między innymi ADHD, autyzm, dysleksję i zespół Tourette'a. Czy każdy, kto metkuje siebie lub innych tym terminem, ma tego świadomość?

Któregoś razu na spotkaniu absolwentów dawno niewidziany znajomy na pytanie: „Co u ciebie?" poinformował mnie, że otrzymał diagnozę ADHD i postanowił zmienić swoje życie. Otóż zamierzał założyć fundację (to

rysunek ANNA GŁĄBICKA

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne?

Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

dzisiaj takie Bieszczady dla ludzi z korpo, którzy chcą rzucić wszystko) dla osób takich jak on. W odpowiedzi na pytanie o misję i finansowanie organizacji przedstawił mi wizję *perpetuum mobile*. Otóż chciał zarabiać na odzyskiwaniu nadwyżki energii, którą mają osoby z ADHD. – No wiesz, my wszyscy robimy tyle rzeczy naraz, więc jak jesteś na przykład grafikiem i nie dajesz rady zrealizować w pracy wszystkich pomysłów, to ja tę nadwyżkę biorę i sprzedaję klientom – tłumaczył z miną geniusza.

A może jednak wielu z nas odnajduje coś o sobie w rolkach i postach o ADHD dlatego, że po kilkunastu latach scrollowania – żyjąc w społeczeństwie przyspieszenia – jesteśmy po prostu koszmarnie przebodźcowani? Sięganie po telefon co najmniej kilkadziesiąt razy dziennie zakłóca wykonywane czynności i tnie koncentrację na strzępy. Przyswajanie w mediach społecznościowych krótkich informacji niezwiązanych ze sobą kontekstowo rujnuje naszą pamięć prospektywną, która odpowiada za przypominanie sobie o wykonaniu zaplanowanych zadań. Posiadanie pod ręką narzędzia pozwalającego jednocześnie spacerować z psem, słuchać podcastu i płacić rachunki utrudnia nam odpoczywanie od informacyjnego smogu. A rozmaite aplikacje, które pamiętają za nas, zwalniają naszą pamięć z tego obowiązku.

Trudno się dziwić, że w takich warunkach wielu z nas ma wrażenie ciągle grającego w głowie radia, trudności z kończeniem czynności, nie potrafi się skupić dłużej na jednej rzeczy i stale o czymś zapomina. Nie musi to być ADHD, lecz objawy przeładowania informacyjnego (ang. *information overload*) i technostresu.

Przywoływana przeze mnie często profesorka Maria Ledzińska w swoim artykule *Stres informacyjny jako zagrożenie dla rozwoju* prawie ćwierć wieku temu, przed Facebookiem, pisała, że nadmiar informacji powoduje w nas ogromne napięcie wynikające z potrzeby przetworzenia wszystkiego, co odnotowujemy, i jednoczesnej niemożliwości zrobienia tego. Co wtedy? Naukowo dowiedziono istnienie kilku reakcji obronnych umysłu. Jeśli bodziec jest zbyt silny, następuje podniesienie progu wrażliwości. To dzięki tej odpowiedzi adaptacyjnej po pewnym czasie zdjęcia i rolki o wojnie nie robią już na nas tak dużego wrażenia. Inną reakcją jest tak zwane opuszczenie wejścia. Upraszczając, gdy wiadomości pojawia się zbyt dużo, zostają przekazane w umyśle dalej bez korekty, czyli weryfikacji lub refleksji. Ledzińska pisze też o skrajnych przypadkach, w których przy silnym przeciążeniu „wejście zostaje zamknięte i następuje zamknięcie dopływu informacji". Nasza percepcja nie tylko nie odnotowuje wówczas szczegółów, ale w ogóle żadnych nowych informacji – mamy problemy z koncentracją, trudności z zapamiętywaniem. Brzmi znajomo?

Ale stres informacyjny nie jest seksi. Trudno wokół niego zbudować poczucie wspólnoty i wyjątkowości, nie przynosi też ulgi, jaką często daje diagnoza. Nie jest chorobą, lecz reakcją organizmu na przeciążenie bodźcami. Niektórym z nas trudno tego uniknąć. Ot, po prostu wiecznie jest coś do załatwienia w tym mądrofonie. Kompulsywne używanie mediów społecznościowych też nie pomaga. Wiodąc żywot współczesnego *homo sapiens*, łatwo nabawić się technostresu. Nie zmienia to jednak faktu, że z przeciążenia informacyjnego można wyjść, choć wymaga to wysiłku.

Tymczasem diagnoza ADHD oferuje coś wyjątkowego – ulgę, że taki się już urodziłeś i niewiele możesz z tym zrobić. W czasach diaspory rodzin, upadku autorytetów i erozji lokalnych wspólnot – uzyskana od psychiatry czy od szamana z TikToka – daje nam poczucie wspólnoty i prawo do niedoskonałości. A to towary w dzisiejszych czasach niezwykle deficytowe.

Może więc gwałtowne pragnienie diagnoz mówi nam tak naprawdę wiele o ludzkiej kruchości i coraz bardziej doskwierającym poczuciu nieadekwatności? O'Sullivan twierdzi, że jest to proszenie o pomoc w kulturowo zrozumiały w danym momencie sposób. Medykalizacja języka, którą tak dobrze widać w mediach algorytmicznych, może stanowić dla wielu tarczę bezpieczeństwa, bo pozwala się skryć we wspólnocie i profesjonalnych pojęciach.

Rozumiem to doskonale, jednak dopóki nie wrócimy do rozmowy najbardziej adekwatnym językiem, dopóty nie dotkniemy istoty rzeczy, czyli życia w czasach nadmiaru. Nie potrzebujemy diagnoz z internetu, by usprawiedliwić to, że wciąż mamy osobowość, temperament czy sposób bycia, które nie przystają do tempa współczesnego świata, a różnią nas upodobania, lęki i wrażliwość. Bywamy cholerykami i flegmatykami, introwertykami i ekstrawertykami, wiecznie bujającymi w obłokach marzycielami i kochającymi porządek pedantami. Czym byłyby dzieła literackie, gdyby zamiast charakteryzować bohaterów, autorzy po prostu informowaliby nas o ich neuroróżnorodności? Ania z Zielonego Wzgórza byłaby osobą z ADHD, a u Dostojewskiego co drugi bohater wykazywałby jakieś zaburzenie. Czy etykiety nie przysłoniłyby nam wtedy postaci, wtłaczając złożoność ludzkiej natury w kryteria diagnostyczne? Różnorodność jest piękna i mamy do niej prawo, ale nie każda wymaga diagnozy.



AGATA ROMANIUK, doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

Najwyżej odlecę

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

Od kilku miesięcy budzi mnie ten sam dźwięk. Monotonne szu-szu-szu. To starszy mężczyzna zamiata kamienną uliczkę przed naszym domem. Nie spieszy się. Co chwilę przystaje, żeby z kimś się przywitać albo zamienić słowo. Nosi wypłowiały kaszkiet i niebieską koszulę z przetartym kołnierzem. Nikomu nie szczędzi uśmiechów. Jego płaska miotła ma trzonek z pobielałej od słońca sosny. Mocny, bez udziwnień, taki sam od stuleci. Jasne, miotłowe włosy to wiechy suszonego sorgo. Elastyczne, dobrze zbierają kurz, pomarańczową kalimę znad Sahary. Charakterystyczne płaskie szwy trzymają włosie mocno, a miotła nie ślizga się po wypolerowanych przez czas kamieniach. *Escoba de mijo*, jak tu na nią mówią, w rękach starca staje się moją codzienną pastylką na uspokojenie.

Nic w niej nie świeci, nic nie pika, nikogo do niczego nie ponagla. Nic się w niej nagle nie zepsuje, nie zawiedzie, nie skończą się baterie ani gwarancja. Nie trzeba jej robić upgrade'u oprogramowania. Tym samym miotła nigdy nikogo nie upokorzy – że czegoś nie wie, nie nadąża, nie umie, nie jest wystarczająco biegły, cyfrowo zaawansowany, koniecznie i zawsze *au courant*. Czy jest precyzyjna? Nie. Czy czasem przepuści kocie kłaki, kruszące się tynki, zeschnięte płatki bugenwilli? Owszem. O zgrozo, zdarza się, że „przymknie oko" na niedopałek papierosa wyrzucony przez dziadka, który dwa domy dalej wieczorami gra na gitarze rzewne kawałki. I nic. Jakoś jej to uchodzi.

Miotła z sorgo, sama o tym nie wiedząc, jest ikoną podejścia „żyć wystarczająco dobrze". Mogłabym się od niej wiele nauczyć. Podobnie jak od mieszkańców tego miejsca na szczycie góry, w którym zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Od pozornie surowej Fideli, krewkiej staruszki, która nadzoruje swoje dwie córki i prowadzony przez nie spółdzielczy sklep, a także – jak się jej wydaje – trzyma pieczę nad światem, a w każdym razie nad naszym miasteczkiem. W tym nade mną; z jej: „jakbyś potrzebowała pomocy, to wal jak w dym". Od małomównego Miguela, sąsiada, który podrzuca nam jajka, awokado i słodkie wino robione hobbystycznie przez piekarza, nie oczekując niczego w zamian. Od marokańskiej dziewczynki Marii, która woła do mnie na powitanie z drugiego końca placu za każdym razem, kiedy mnie widzi, choćby to było cztery razy dziennie.

Wiem, wiem, powiecie, że przyjechała z wielkiego miasta i zachwyca się małą społecznością. Tak jest. Zachwycam się i to bez wstydu. Bo kiedy przestaliśmy się zachwycać rzeczami najprostszymi? Jak doszło do tego, że zwykła codzienna, wzajemna życzliwość nie jest normą? I że dziwi mnie, że stary mężczyzna, który zamiata ulicę z nadania gminy, podnosi przewrócone przez nasze koty donice, zgarnia ziemię i z troską próbuje ratować opuncje, choć nikt go o to nie prosił? Szu-szu-szu robi jego miotła, a ja patrzę z okna sypialni i się do siebie uśmiecham. Proste gesty, proste przedmioty. Po kilku tygodniach i ja kupiłam sobie miotłę z sorga. Od tego czasu zamiatanie to moje zen. Nic tak nie pomaga na docierające przez cyfrowe szpary wieści ze świata. O wojnach, kryzysach, niepokojach. Szu-szu-szu robię i jest mi ciut lepiej. Może jadąc do Polski, zabiorę ze sobą miotłę? Jakoś przemycę ją w luku bagażowym, jakoś wytłumaczę się na lotnisku. Miotła jako emocjonalne wsparcie. Widzę to, może się udać. A jeśli przerosną mnie hejty, konflikty, polskie piekiełko polityczne, to najwyżej na niej odlecę.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

17. PRZEGLĄD NOWEGO KINA FRANCUSKIEGO

INSTITUT FRANÇAIS
Pologne

Czerwiec
2026

13 miast



MAGAZYN OPINII
Pismo.

PNKF.INSTITUTFRANCAIS.PL



Czytaj i słuchaj treści z „Pisma", by lepiej zrozumieć rzeczywistość, w której żyjesz.

Zamów roczną prenumeratę z dostępem online, a otrzymasz:

- najnowsze wydanie specjalne „Wokół miłości" w prezencie,
- dwanaście numerów miesięcznika w wersji papierowej i na czytniki,
- wydania audio czytane przez lektorów i lektorki.

Darmowa dostawa na terenie Polski.

Kupując prenumeratę „Pisma" oszczędzasz 40 zł rocznie.
Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata
i skorzystaj z oferty.